RAPORT SPECJALNY

Co powinna robić Polska wobec inwazji Rosji na Ukrainę – piszą Marek Jurek, Piotr Semka i Wojciech Golonka

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 10/466 7–13 MARCA 2022

OSTATNIA KRUCJATA ZAWISZY CZARNEGO

Historia katastrofy Polskiego Ładu

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

JAK SILNA JEST POLSKA ARMIA?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 10 >

Nakład: 54 000 egzemplarzy

epraca.pl 7c5b88ceb9

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NUMER SPECJALNY NA 80. ROCZNICĘ POWSTANIA ARMII KRAJOWEJ!

Wojciech Königsberg – **Śmierć wrogom AK!**
Tomasz Stańczyk – **Zdrada Kalksteina**
Piotr Włoczyk – **Brawurowa likwidacja Kutschery**
Krzysztof Masłoń – **Wyrok na Józefa Mackiewicza**
Marzena Ożarek-Szilke – **Mumia z embrionem**
Jacek Bartosiak – **Klęska w Afganistanie**
Piotr Zychowicz – **Marynarze U.S. Navy pożarci przez rekiny**
Arkadiusz Karbowiak – **Czeskie zbrodnie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7c5b88ceb9

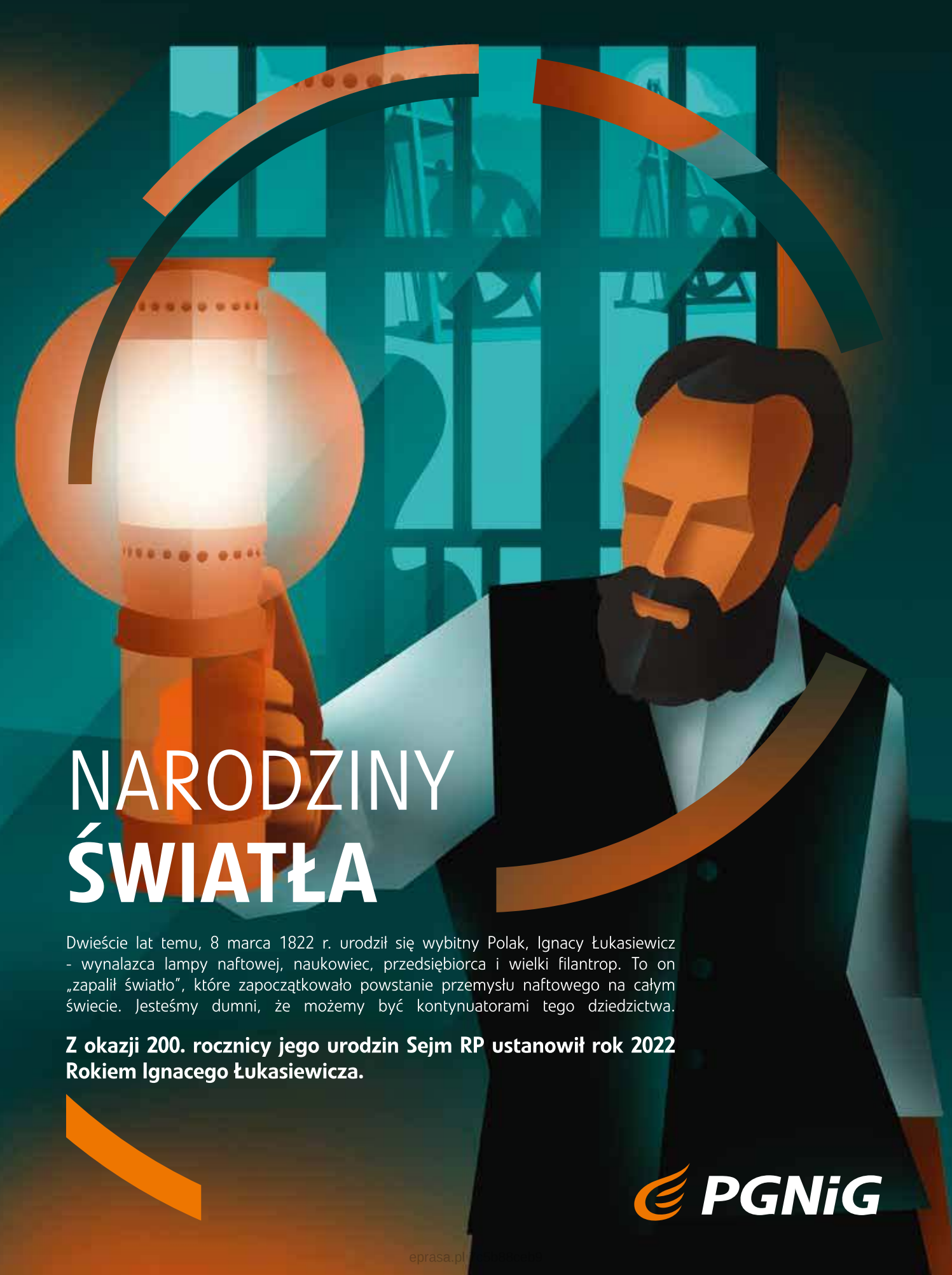
NARODZINY
ŚWIATŁA
Dwieście lat temu, 8 marca 1822 r. urodził się wybitny Polak, Ignacy Łukasiewicz - wynalazca lampy naftowej, naukowiec, przedsiębiorca i wielki filantrop. To on „zapalił światło", które zapoczątkowało powstanie przemysłu naftowego na całym świecie. Jesteśmy dumni, że możemy być kontynuatorami tego dziedzictwa.
Z okazji 200. rocznicy jego urodzin Sejm RP ustanowił rok 2022 Rokiem Ignacego Łukasiewicza.
PGNiG

eprasa.pl

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jaką cenę zapłaci Putin?

Po pierwszych dniach, kiedy to mogło się wydawać, że atakując Ukrainę, Rosjanie realizują przemyślany i przebiegły plan, coraz częściej można zauważyć chaos i brak pomysłu. Zamiast precyzyjnych uderzeń nie sposób nie odnieść wrażenia, że widać typowy rosyjski „bardak". Nie tylko dotyczy to kwestii militarnych. Nawet jeśli wojskom rosyjskim uda się ostatecznie zająć kolejne cele czy miasta, to powstaje pytanie: Co dalej? Najwięcej, co może osiągnąć Kreml, to ustanowienie marionetkowego reżimu – wiele mediów wspomina o tym, że na jego czele miałby stanąć Wiktor Janukowycz, który w 2014 r. salwował się ucieczką z Kijowa.

Nie można tego wykluczyć. Tylko jaki miałoby to sens? Nawet gdyby ostatecznie Rosjanom udało się opanować Kijów i obwołać Janukowycza szefem nowego, „nienazistowskiego" rządu, to nie miałoby to żadnego praktycznego znaczenia. Krótko: Rosja nie będzie w stanie strawić Ukrainy.

Dlaczego zatem doszło do tej wojny? Przecież o tym wszystkim, o czym piszę, było wiadomo wcześniej. To, że Ukraińcy w 2022 r. nie są tymi samymi Ukraińcami co w roku 2014, można było dostrzec, śledząc powszechnie dostępne badania opinii publicznej. To, że ich wojsko jest lepiej wyposażone niż kilka lat temu, też nie było tajemnicą. Mimo tego Putin zdecydował się na atak. A więc dlaczego? Czy zwiodły go doniesienia wywiadu? Czy zaślepiła pycha? Nie można wykluczyć, że stał się ofiarą własnej propagandy, co było doskonale widoczne, kiedy to opowiadał, w niedawnym wystąpieniu, jak to Lenin stworzył Ukrainę w 1917 r. Nie tylko pominął istnienie księstwa kijowskiego i epokę wojen kozackich, lecz także zapomniał o tym, że to sami Ukraińcy tuż po abdykacji cara w marcu 1917 r. (Lenin siedział wtedy jeszcze w Szwajcarii, czekając na podstawiony przez Niemców pociąg) powołali władzę, która w czerwcu ogłosiła powstanie autonomicznego państwa. Nie zamierzam tu wykazywać wszystkich łgarstw Putina: to nie dyskusja historyczna. Wspominam o tym, by pokazać, że mając tak spaczone pojęcie przeszłości, Putin mógł podjąć decyzję o napaści. To, że popełnił błąd, jest bardzo prawdopodobne, wciąż jednak nie wiadomo, jaką zapłaci za to cenę.

Scenariusz pierwszy to kontynuacja. Liczba ofiar wojny na Ukrainie będzie rosła, opór nie zelżeje. Rosja będzie coraz bardziej krwawić, ale bez wyraźnego symbolicznego zwycięstwa Putin się nie cofnie. Przedstawiając swoje warunki – uznanie aneksji Krymu, neutralizacja Ukrainy i uznanie dla dwóch „autonomicznych" republik – sam związał sobie ręce.

Może to prowadzić do przewrotu pałacowego w samej Moskwie, obalenia dyktatora i pojawienia się kogoś, kto go zastąpi, wycofa wojska rosyjskie i doprowadzi do zniesienia sankcji. Putin skończy wówczas jak Ceaușescu (ewentualnie, wersja bardziej humanitarna, zostanie postawiony przed sądem). Nie jest to niemożliwe: w podobny sposób dochodziło do zmiany reżimu w Rosji w 1905 r. (wprawdzie Mikołaj II nie ustąpił, ale wprowadził Dumę), w 1917 r. (upadek caratu) czy po 1989 r. – klęska w Afganistanie i erozja władzy Związku Sowieckiego.

Może jednak być tak, scenariusz drugi, że Putin wytrzyma, licząc na zmęczenie drugiej strony. Rosjanie opanują kolejne miasta. Opór przygaśnie. Masowy, milionowy napływ uchodźców, związane z tym problemy, może rozruchy społeczne, może prowokacje, dodatkowo gwałtowne pogorszenie się stanu zachodnich gospodarek – każdy kij ma dwa końce i sankcje, które uderzają w Rosję, rykoszetem trafiają w Zachód – sprawią, że po okresie entuzjazmu i euforii pojawią się próby dogadania się z Moskwą. Zachód w końcu ustąpi, a dyktator zrealizuje większość planu. Ten wariant jest obecnie mniej prawdopodobny, ale nie można go, niestety, wykluczyć.

Scenariusz trzeci to próba uwikłania w wojnę państw NATO. Trudno powiedzieć, co by to miało Rosji dać. Skoro ma tyle problemów z wojskiem Ukrainy, to miałaby jeszcze więcej z wojskami państw zachodnich. Więc po co? Ponadto wciągnięcie w wojnę NATO mogłoby zmobilizować Rosjan do walki i wymusić, gdyby straty ludzkie zaczęły dotykać obywateli państw Zachodu, negocjacje pokojowe, których elementem byłyby cofnięcie sankcji i ustępstwa w sprawie Ukrainy. W skrajnym przypadku, najmniej prawdopodobnym, Rosja ma zawsze w ręku broń nuklearną. Jej użycie jest bardzo wątpliwe, ale tonący brzytwy się chwyta.

Wreszcie scenariusz czwarty, kiedy to na świecie dojdzie do innego poważnego konfliktu, na przykład Stanów Zjednoczonych z Chinami o Tajwan, dzięki czemu pozycja przetargowa Moskwy wzrośnie.

Na razie Putin znalazł się we wnykach, które sam na siebie zastawił. Trzeba mieć nadzieję, że się z nich już nie wywinie. Ale historia bywa kapryśna. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

TEMAT TYGODNIA

28 ŁUKASZ WARZECHA
BROŃ NA TRUDNE CZASY
Armia musi stać się lepsza

32 ROZMOWA Z ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
TRZEBA PRZYWRÓCIĆ POBÓR DO WOJSKA

RAPORT SPECJALNY

14 MACIEJ PIECZYŃSKI
SŁUGA NARODU NIE NA ŻARTY
Obawiali się, że zdradzi, a okazał się bohaterem

20 MAREK JUREK
UKRAIŃSKIE MEMENTO

22 PIOTR SEMKA
NAJTRUDNIEJSZY EGZAMIN

24 WOJCIECH GOLONKA
MUSIMY POMAGAĆ Z GŁOWĄ

26 ŁUKASZ ZBORALSKI
POSPOLITE RUSZENIE

KRAJ

34 JAN FIEDORCZUK
KRONIKA NIEŁADU
Historia pewnej katastrofy

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DOM, CZYLI BIURO

40 ZUZANNA DĄBROWSKA
CELEBRYCI – HIPOKRYCI

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
POWRÓT SZEREGOWCA IWANA
Kino w służbie imperium

46 PIOTR SEMKA
MENORA W CIENIU PÓŁKSIĘŻYCA

50 ROZMOWA Z JERZYM OLESZKOWICZEM
SZLAGWORTY SCHLECHTERA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
WYPRZEDAŻ ZŁUDZEŃ
To jest też nasz moment

61 PAWEŁ MILCAREK
MANIFEST GENIUSZA

62 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONIEC ŚWIATA LIBERALISTOKRACJI

HISTORIA

64 JACEK KOMUDA
OSTATNIA KRUCJATA ZAWISZY CZARNEGO
Jak umarł legendarny rycerz

ŚWIAT

70 WITOLD REPETOWICZ
ATOM: BROŃ DO ODSTRASZANIA
Putin stanowi egzystencjalne zagrożenie dla świata

72 ROZMOWA Z DR. SI-FU OU
CZARNE CHMURY NAD CIEŚNINĄ TAJWAŃSKĄ

74 TERESA STYLIŃSKA
DZIWNY TRÓJKĄT CZARNOMORSKI

EKONOMIA

76 JAKUB WOZINSKI
INWAZJA NA PALIWIE PRZEJŚCIOWYM
Energetyczny koń trojański

80 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PUDĄ
MYŚLĘ, ŻE UE SIĘ OTRZĄŚNIE

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), GMYZ, GOCIEK (7), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (68), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (82), KOMUDA (85), KARWELIS, POSPIESZALSKI (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), ROSZKOWSKI (89), CEJROWSKI (90)

eprasa.pl 7c5b88ceb9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Nowe zasady gry?", Kamila Baranowska, „DRz" 5/2022

Szanowna Redakcjo!
Chciałbym się odnieść do treści artykułu pani redaktor K. Baranowskiej „Nowe zasady gry?" (nr 5/2022). O ile Kukiz w wielu sprawach ma moim zdaniem ciekawe pomysły, o tyle od lat nie mogę zrozumieć jego „zafiksowania" na punkcie okręgów jednomandatowych. Tym bardziej że w naszym kraju taka ordynacja obowiązuje w wyborach do Senatu oraz do części rad gmin i w najmniejszym stopniu nie potwierdza utopijnej wizji Kukiza. Senatorem z mojego okręgu jest pani Rotnicka z PO, która w żaden sposób mnie nie reprezentuje. Mój głos w wyborach do Senatu od lat jest po prostu marnowany. Inaczej jest w wyborach do Sejmu. Dlatego proponowane zmiany traktuję jako zamach na moje czynne prawo wyborcze.

W obecnym systemie z okręgu wyborczego wchodzi do Sejmu od kilku do kilkunastu posłów z różnych ugrupowań, tak jak różne są poglądy jego mieszkańców. Marnowane są jedynie głosy oddane na ugrupowania, które nie przekroczyły progu wyborczego. Ponadto głosując na daną partię, mogę wybrać kandydata, który najbardziej mi odpowiada, a niekoniecznie jest faworytem jej kierownictwa. I zdarza się, że kandydaci umieszczeni na dalszych miejscach zdobywają mandat, czego przykładem jest pan poseł Bartłomiej Wróblewski z Poznania. Tymczasem tę właśnie możliwość prof. Flis nazywa „toksyczną".

Moim zdaniem zmiana ordynacji wyborczej przyniosłaby efekt odwrotny do deklarowanego, dlatego mam nadzieję, że do niej nie dojdzie. [...]

Z poważaniem
Andrzej Łuczak

eprasa.pl 7c5b88ceb9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Back in the USSR

Długie kolejki przed sklepami Ikei i salonami komputerowymi objawiły światu, że Rosjanie szykują się na nową epokę sowiecką. Powrót do świata, w którym zachodnie towary mogą być rzadko dostępne albo osiągalne jedynie na czarnym rynku za bajońskie sumy. Jedyne produkowane w Rosji samochody Łady natychmiast podrożały, a producenci rozmaitych rosyjskich produktów, które dotąd przegrywały w konkurencji handlowej, pewnie zacierają ręce. Teraz będą łatwo sprzedawać swoje towary, bo konkurencji nie będzie.

W studiu jednej z rosyjskich telewizji analityk giełdowy wzniósł wodą mineralną toast za nieboszczyka rynek kapitałowy w Rosji. Giełda moskiewska słania się na nogach, a kurs dolara szybuje w górę. Skoro kantory otrzymały limity sprzedaży zachodnich walut, to natychmiast uruchomił się świat cinkciarzy. Już niedługo w Rosji dojdzie do sytuacji, w której będzie znacznie mniej żywej, papierowej gotówki dolarowej czy banknotów euro. Owszem, jeszcze spore sumy w dolarach będą przybywać przelewami bankowymi za sprzedaż ropy i gazu, ale banknoty zaczną docierać do Rosji znacznie węższym strumykiem. Nastąpi zubożenie całego społeczeństwa i jednocześnie – jak to bywa w ponurej rosyjskiej tradycji – wszyscy ci, którzy będą mieli rozmaite dojścia do banków i firm państwowych, mogą zacząć wykorzystywać swoją pozycję do interesów na boku.

Mój znajomy z Rosji przebywający w Polsce przepowiada, że wywołać to musi nadzwyczajne sposoby wyciągania walut z rezerw pochowanych w „skarpecie" po domach. Łatwo można sobie wyobrazić sytuację, w której np. pewne rzadkie leki będą dostępne w specjalistycznych aptekach za dewizy. Wobec groźby śmiertelnej choroby bliskich ludzie staną na głowie, aby zdobyć dolary czy franki, a państwo chętnie na tym skorzysta. Ale gdy się powiedziało A, trzeba będzie powiedzieć B i C. Być może z czasem dojdzie do powrotu czegoś, czego młodsi Rosjanie nie znają – zjawiska tzw. wiz wyjazdowych. Oznaczać to będzie, że nawet jeżeli ktoś zdobędzie wizę do Ameryki czy Niemiec, to państwo będzie miało ostatnie słowo w kwestii zgody na wyjazd. A to, że młodzi i wykształceni będą chcieli czmychnąć za granicę, jest tylko kwestią czasu. Wszystko to może być powiązane z rosnącą brutalnością systemu. Już teraz kary za demonstracje przeciw wojnie na Ukrainie są drakońskie. Likwidacja ostatnich niezależnych mediów w postaci Radia Echo Moskwy i telewizji Dożd pokazuje, że kończą się nisze wolnej opinii. A to już zła wróżba dla wszystkich sieci społecznościowych typu TikTok, Facebook i Twitter, które zderzą się z ograniczeniami wynikłymi czy to z sankcji zachodnich, czy to z dokręcania śruby przez Kreml.

Putin jak zły czarodziej, czego się dotknie, zamienia to w popiół. Nie da się prowadzić bandyckiej wojny bez reakcji świata. A ta z kolei wpływa na gospodarkę rosyjską. Aby to ukryć, czynownicy Putina będą musieli coraz bardziej ograniczać swobodę obiegu informacji. Pytanie, czy Rosjanie to wytrzymają i czy ewentualne próby protestów znajdą szersze poparcie. W grudniu tego roku Rosja doczeka dokładnie stulecia od stworzenia Związku Sowieckiego. Tylko wyczekiwać chichotu Lenina zza grubych ścian mauzoleum na placu Czerwonym. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

ZŁOTY MOCNO TRACI

Eskalacja konfliktu zbrojnego na Ukrainie doprowadziła do osłabienia wartości walut Polski, Czech oraz Węgier, a więc złotego, korony i forinta. Mimo interwencji NBP, gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", dolar był najdroższy od 21 lat i kosztował 4,42 zł, a kurs euro nie był tak wysoko od 18 lat (4,87 zł), czyli od akcesji Polski do UE. Frank kosztował w piątek ponad 4,86 zł. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tusk Południa

Frustracja w lemingradzie narasta. PiS rządzi i rządzi, i jeśli nawet przez chwilę się wydaje, że mu wreszcie spadnie, to zdarza się coś, co wszystkie jego błędy unieważnia i przywraca sondażową dominację; opozycja wciąż potyka się o własne nogi i – co najgorsze – zachwiała się lemingom podstawa tożsamości. Okazało się, że Niemcy, zamiast jako protektor i opiekun dzielić się z nami swym dobrobytem i chronić przed Putinem, ratują swój dobrobyt naszym kosztem, a u Putina robią za – by nie nazwać tego mocniej – konia trojańskiego i jedynego obrońcę. W tej sprawie znowu jest w Unii 26:1, tak jak wtedy, gdy lemingrad triumfował, tylko że teraz ten jeden to właśnie proputinowskie Niemcy, a nie Polska.

W tej ponurej rzeczywistości jedynej pociechy dostarcza kibicom PO Viktor Orbán. Orbán popiera Putina! – zachłystują się jeden przez drugiego ci, którzy latami zachwalali nordstreamy i neobismarckowską politykę Merkel – popiera Putina, a Orbána z kolei popiera Kaczyński – tu go mamy!

Ale to pozory. Orbán nie prowadzi wcale polityki proputinowskiej, choć nie prowadzi też oczywiście antyputinowskiej. Prowadzi politykę otwarcie cwaniacką: my tam się nie mieszajmy, kombinujmy tak, żeby Węgry brały kasę od obu stron i nie narażały się na rosyjską zemstę. Jakiejś części Węgrów to się bardzo podoba, choć oczywiście jak wielkiej, okaże się podczas bliskich już wyborów.

Pamiętają państwo takie słowa: „Wojny przecież Rosji nie wypowiem”? Tak, to była właśnie taka sama polityka. Może i zabili nam prezydenta, na pewno coś kręcą z tym wrakiem, śledztwem i trumnami. Ale po co to drążyć? Nie róbmy polityki, dójmy kasę z Unii, a Unia stawia taki warunek, że jeśli chcemy tę kasę dostać, to mamy być dla Rosji – „takiej, jaka jest” – grzeczni.

Stereotyp, jakoby Orbán był „węgierskim Kaczyńskim”, jest całkowicie chybiony. Ktokolwiek zna jego karierę, wie, że to raczej właśnie węgierski Tusk – tylko taki, który pozostał w czasach „deklaracji wawelskiej” i obietnicy „rozbicia postkomunistycznego układu”, bo na Węgrzech nie było afery Rywina, no i inna jest ich geopolityka. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Mały atut w rękawie

Przegrane wojny przynosiły Rosji zmiany. Wojna krymska – odwilż posewastopolską i liberalne reformy Aleksandra II; pierwsza wojna światowa – rewolucję, w pierwszej fazie demokratyczną, a potem dziesiątki lat bolszewizmu; wojna afgańska – upadek Związku Sowieckiego. Teraz też marzymy o antywojennych protestach na ulicach Moskwy, po których nastąpi prawdziwa rewolucja – pałacowa, na Kremlu. Ale to tylko marzenia.

Na razie rosyjską reakcją na opór będzie eskalacja przemocy. Ta wojna zmieni i Rosję, i porządek międzynarodowy. Przed nami powrót do zimnej wojny, nie z jej końcowej fazy, którą pamiętamy, ale z pierwszej, kiedy świat był na krawędzi wojny bardzo gorącej. Będziemy w niej państwem frontowym. To nie jest perspektywa, której przyglądać się można z fatalistycznym spokojem.

Ciągle jednak między marzeniami a koszmarami biegnie ścieżka negocjacji, którymi kończy się większość wojen, niezależnie od intensywności i wyniku. Ukraińcy właśnie (w chwili, gdy to piszę) przygotowują się do ich drugiej tury. To dziś jedyny sposób na przerwanie rosyjskiej agresji i ratowanie ukraińskiej suwerenności. Opór, dozbrojenie, sankcje – wszystko to sprowadza się do zbudowania i wzmocnienia pozycji negocjacyjnej.

Do tej pory prowadzimy politykę tak, jakby naszym narodowym powołaniem było być pawiem i trybunem narodów. Rozwiązywanie kryzysów pozostawiamy mocarstwom. Oczywiście do prowadzenia rozmów trzeba mieć tytuł, ale na przykład Turcja zakłada, że ma dostateczny. My jesteśmy w innej sytuacji, ale Opatrzność w tej właśnie chwili dała nam szansę przewodnictwa OBWE, a wielostronny mandat tej organizacji może być w naszym wypadku jedynym, w ramach którego moglibyśmy nakłaniać Rosję do rozmów. Trybu warunkowego używam świadomie, bo nic nie wskazuje na to, że – jako Rzeczpospolita – taką rolą jesteśmy zainteresowani. A szkoda, bo nawet niewielkich atutów nie można nonszalancko wyrzucać. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Kolokwia włoskie

Wobec wojny na Ukrainie Włosi zachowują się wzorowo. I władze, i mieszkańcy. Premier Draghi nie wahał się porównać Putina do Hitlera. Odbywają się masowe proukraińskie demonstracje. Na stadionach wykwitły ukraińskie flagi. Ciepło przyjmowani są ukraińscy uchodźcy. Ale...

W mediach bez przerwy występują eksperci i znawcy Rosji, a także czołowi komentatorzy polityczni i autorytety wszelkiej maści. Dyskutując nad genezą rosyjskiej inwazji, szybko doszli do wniosku, że grzechem pierworodnym „starego" Zachodu było przyjęcie do NATO „demoludów", a więc i Polski, a przede wszystkim państw bałtyckich. Ich zdaniem Zachód niepotrzebnie niedźwiedzia sprowokował i rozdrażnił. Nie brak też opinii, że gdyby po rozpadzie sowieckiej satrapii NATO się rozwiązało, żylibyśmy w przyjaźni, szczęściu, dobrobycie i pokoju.

Z pewnym zdumieniem przyjąłem, że intelektualna czołówka państwa, które mnie gości, wymuskani mężowie, eleganckie damy, demokraci pełną gębą, internacjonaliści, multilateraliści, czempioni i czempionki walki o wolność wszelką, apostołowie otwartego społeczeństwa obywatelskiego dla własnej wygody, bogactwa i bezpieczeństwa, gdyby mogli, wepchnęliby mój kraj i kilkanaście innych z powrotem do postsowieckiej paszczy. To nic innego jak przyznanie Rosji pośrednio prawa do decydowania o losach swoich sąsiadów. Innymi słowy – na pytanie: „Z kim graniczy Rosja?" odpowiadają: „Z kim zechce".

Do tej tragifarsy wystawianej we włoskich mediach wpisuje się również antywojenna i proukraińska demonstracja w Brescii, zdominowana przez – wydawałoby się – wymarłą już skrajną lewicę. Pojawiły się transparenty z napisem „Nie dla imperialistycznej wojny NATO". Przede wszystkim jednak wznoszono z dumą wielkie czerwone flagi z sierpem i młotem.

Zaproszeni Ukraińcy zaczęli się burzyć, więc usłyszeli od organizatorów: „Jak się nie podoba, możecie iść do domu". Więc poszli. Spektakl toczył się dalej z aktywnym udziałem antyszczepionkowców, którzy przekonywali, że cierpią tak samo jak Ukraińcy na Ukrainie. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Nowy z Tarnowa, supervisor (czy też – jak sam mówi – kierownik) naszego teamu sprzedażowego w korpo, od jakiegoś czasu chodził taki wyraźnie wyciszony i wycofany. Trochę się nawet o niego martwiliśmy, aż w końcu któreś/któraś z nas nie wytrzymałx i zapytałx Nowego, o co mu chodzi.

Nowy powiedział, że zaczął się przygotowywać na wielki post. Dlatego nie bierze udziału w kłótniach, tj. dyskusjach światopoglądowych, nie angażuje się w bieżące plotki i generalnie chce się odciąć od tego wszystkiego, co go rozprasza.

Od tamtej pory ciągle więc czuwaliśmy nad jego facebookowym profilem, iż byliśmy niesamowicie ciekawi, o czym będzie ten wielki post i co Nowy postanowi ogłosić w nim światu.

Niestety, pomyliliśmy się i zamiast przełomowego oświadczenia w mediach społecznościowych nadszedł Popielec – Nowy wparował do korpo z jakąś torebką z dziwną substancją, po czym wszystkich nas obsypał, jak się okazało, popiołem.

No i jak już się pewnie domyślacie, ten cały wielki post to nie jest żaden ciekawy tekst na fejsie, tylko okres, w którym Nowy się będzie umartwiał, ale za to nie będzie chodził na imprezy. Czyli dla niego w sumie bez zmian, więc serio nie czaimy, po co te wszystkie przygotowania.

Już jutro wąsate podkarpackie janusze oraz młode niewyedukowane sebastiany po technikum czy politechnice będą obchodzić w całym kraju tzw. Dzień Kobiet. Ba, nie tyle obchodzić, ile terroryzować nim osoby waginopozytywne, bez wrażliwości i wyczulenia na niuanse związane z tożsamością płciową osoby.

Dlatego, kochani, bardzo Was prosimy, abyście zachowali w tym dniu spokój i nie przyłączyli się do histerii, która zagna przedstawicieli podkarpacia niczym jakieś lemingi do kwiaciarni, monopolowego i tego sklepu, gdzie się kupuje rajstopy. Pamiętajcie, iż nie tylko jest bardzo łatwo kogoś zmisgenderować, ale też Dzień Kobiet ma jeszcze jedną wadę, wynikającą wprost z ciemnych tradycji polskiego patriarchatu.

Otósh, jak myślicie, dlaczego kobietom przyznano w roku tylko jeden dzień? I to w dodatku w większości przypadków celebrowany i hucznie obchodzony przez osoby fallusoiwąsododatnie? To wszystko tylko po to, iżby podkreślić męską dominację, patriarchat i co tam jeszcze przy tej okazji można podkreślić. Że oto świat męskich decydentów wskazuje: 8 marca to Dzień Kobiet, nic więcej i nic mniej, wtedy sobie świętujcie, a potem z powrotem do kuchni.

I my temu mówimy stanowcze: NIEDLA i nie będziemy w tym brać udziału, i mamy nadzieję, iż wy również.

Na koniec mamy dla was lifehack, iż wiemy, że nie wszyscy z nas są wystarczająco eko, iżby korzystać z rowerów.

Jakby coś, to my przecież nie oceniamy xD i pewnie macie jakieś swoje ważne powody, iżby korzystać z samochodów, emitować ślad węglowy i niszczyć planetę.

No ale do rzeczy, a więc jeśli martwicie się rosnącymi cenami paliw, to polecamy tankować zawsze za stówkę – w ten sposób w portfelu zostanie wam tyle samo, a wy przechytrzycie Orlen. Nie musicie dziękować. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Siła odstraszania

Panie prezesie, ale ta armia na trzysta tysięcy... To takie trochę bez sensu.
No nie, panie generale. Jak bez sensu, jak z sensem? Sam to wymyśliłem!

A czym się pan kierował, jeśli można spytać?
No jak to czym? Przecież dużo ludzi to lepiej niż mniej. Każdemu się tam da jakiś karabin czy, bo ja wiem, granat albo nawet dwa i już jest siła odstraszania!

Ale to tak dzisiaj nie działa. Ludzie muszą mieć coś więcej. Jakieś wyrzutnie rakiet choćby, takie javeliny...
A, no to mamy. Mówili mi.

Sześćdziesiąt.
Właśnie. Sześćdziesiąt tysięcy.

Nie. Sześćdziesiąt sztuk.
Oj, to się przesłyszałem widocznie. To się dokupi.

No tak, ale jedna sztuka to ponad dwieście tysięcy.
To tanio.

Dolarów.
Ja nie mam czasu na szczegóły. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie zapominajmy, że mamy własnych najeźdźców, którzy rządzą nami od siedmiu lat".

PIOTR NAJSZTUB, *publicysta, na antenie Radia TOK FM w kontekście napaści Rosji na Ukrainę*

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Już 14 marca w „Do Rzeczy” dodatek

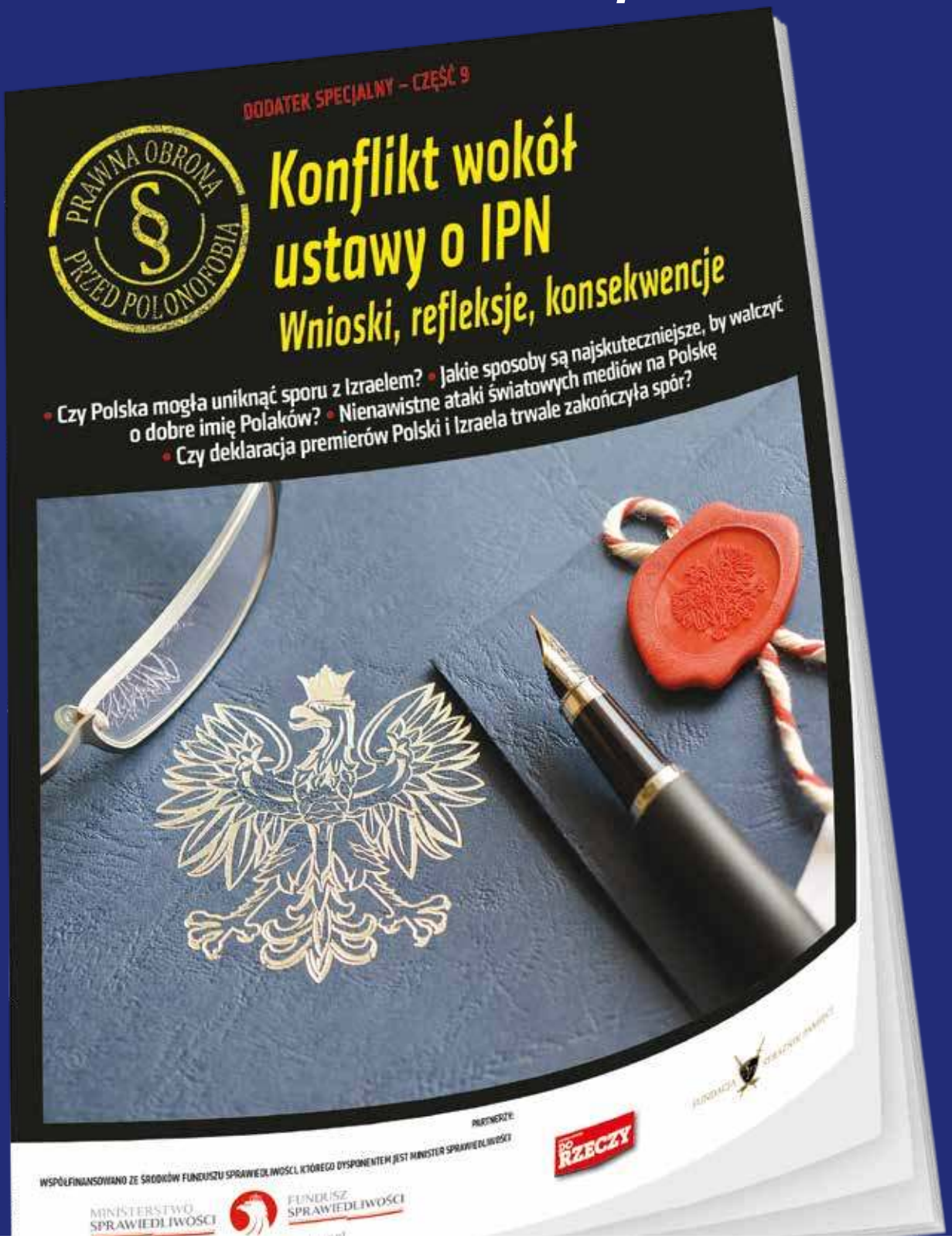

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 7c5b88ceb9

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z powodu wyjątkowej sytuacji ogłaszamy, że powstrzymujemy się od publikowania doniesień wiewiórek związanych z bezpieczeństwem Polski i Ukrainy. Trochę szkoda, bo wiele ostatnio widzieliśmy i słyszeliśmy. Takiej liczby różnych rzeczy lądujących w różnych miejscach, żeby potem trafiły w pewne inne miejsca, gdzie zostaną użyte, nie było u nas od 1945 r.

W odpowiedzi na apel prezydenta Andrzeja Sebastiana o jedność i niedolewanie oliwy do ognia w politycznych swarach to my się owszem dostosujemy. Jednocześnie rezerwujemy sobie prawo tego, by kiedy ktoś zachowuje się jak cymbał, to jednak o tym napisać.

A zatem: grupa posłów opozycji postanowiła udać się na Ukrainę, by wspomóc naszych braci. W tym człowiek, który historię Dzikich Pól wyssał z mlekiem matki lub herbatą ojca, słynny prawnuk noblisty Henryka Sienkiewicza i minister spraw wewnętrznych w czasach, gdy płonęły budki pod ruską ambasadą – Bart Sienkiewicz. Niestety, jego podróż już na przejściu granicznym zakończyli jego byli podwładni ze Straży Granicznej. Okazało się, że termin ważności paszportu Barta upłynął w roku 2019.

Jeszcze lepsza okazała się przedstawicielka Całkiem Nowej Lewicy, posłanka Katarzyna Ueberhan. Ona w ogóle nie miała ze sobą żadnych dokumentów. Oczywiście wspieramy z całego serca ideę podróżowania na Ukrainę bez paszportów. Obawiamy się jednak, że przyjęcie naszych braci do strefy Schengen jeszcze trochę potrwa.

Pewien prezydent pewnego miasta w Polsce, które przypadkowo jest stolicą (nazwa miasta znana redakcji), oświadczył z kolei: „Kolejny dzień apelujemy do rządzących o włączenie się w pomoc". Zrobił to w dniu, kiedy Polska rękami jej władz i służb przyjęła już prawie pół miliona uchodźców. Takie kadry ma PeŁo. Widzicie, są jednak jakieś powody, dla których taki Tusk to jednak były premier, a Trzaskowski – to tylko były Trzaskowski.

Pozdrawiamy Mariusza Dworczyka! Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński przedstawił tak w Sejmie szefa MON przed wystąpieniem tegoż podczas debaty nad ustawą o obronności kraju. Posłowie szybko go poprawili. Rozumiejąc emocje chwili, tak sobie myślimy, że skoro szef MSWiA to Mariusz i szef MON to też Mariusz, cóżby szkodziło przyznać i innym skutecznym ministrom tytuł honorowego Mariusza. Włączając Dworczyka.

Nasi dyplomaci odnotowują złagodzenie tonu Brukseli w sprawie Polski. Odnotowują też, że część naszej opozycji błaga na kolanach, by Polsce nie odpuszczać, bo inaczej PiS będzie rządził wiecznie, a wewnętrzne sondaże wskazują, że Zjednoczona Prawica znów może liczyć na samodzielną większość. Jak to było? Cztery kolumny maszerują na Madryt, piąta kolumna czeka w mieście, aby nas powitać

Za kilka miesięcy wakacje, wielu wybierze się w podróż pociągiem. Uwaga, podajemy sposób na skuteczne zajmowanie miejsc w wagonie. Jest to metoda „na studenta". Wybieramy pięciu najsilniejszych. Dwóch blokuje wejście do wagonu, jeden odpycha ludzi, dwóch innych ładuje się do przedziałów i je zajmuje. Skuteczna metoda, wypróbowana przez „studentów" na peronach Lwowa, gdzie grupki o nieukraińskim kolorze skóry opanowały ją do perfekcji. Opowiadali nam to ludzie, którzy widzieli to na własne oczy.

Ze wszystkich wydarzeń można wyciągnąć jakąś naukę. Na przykład wiemy już, że granicę polsko-białoruską od lata ubiegłego roku atakują studenci. Kto wie, może nawet na Białorusi odbyły się wtedy Światowe Dni Młodzieży, o których nie wiemy, gdyż jesteśmy rasistowskim ciemnogrodem? Albo przynajmniej Światowe Dni Studenta.

Wspomniane wyżej byczki, to znaczy „studenci", nazywane są w światowych mediach ofiarami polskiego rasizmu i dyskryminacji, gdyż na granicy lekkie zdumienie budzi fakt, że zajmują siłą w pociągach miejsce matek z dziećmi. W poszukiwaniu powyższych „ofiar" specjalizują się reporterzy BBC World na granicy w Medyce. Aha, gdyby ktoś miał złudzenia co do apolityczności tzw. prasy fachowej – „The Financial Times" też pojechał artykułem o dyskryminacji.

Dostaliśmy w ubiegłym tygodniu propozycję zaciągnięcia się do Legionu Polskiego Obrony Lwowa. Tworzy go nieco już zapomniany były poseł Adam Słomka. W pierwszej chwili ogarnął nas zapał, ale okazał się słomiany. Panowie G. mają tylko jedną umiejętność przydatną na wojnie – umieją gotować (jeden dobrze, drugi tylko dużo). Będziemy więc pomagać w Polsce.

Na koniec element humorystyczny. Jak wyznał Mariusz Lewandowski, polski piłkarz i trener, który przez wiele lat grał na Ukrainie, kiedy w 2008 r. w Szachtarze Donieck obchodził urodziny, to główną atrakcją imprezy był kabaret Kwartał 95. Filarem kabaretu był Wołodymyr Zełenski. Mamy pomysł na rewanż. Kolejne urodziny Zełenskiego przypadają 25 stycznia 2023 r. Proponujemy, żeby Mariusz Lewandowski i inni polscy piłkarze uczcili je występem dla prezydenta. Może nie zagrają skeczów, ale jakiś meczyk z ukraińskimi kolegami po fachu. Czemu nie? O szóstej wieczorem, na rynku po wojnie. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

DZIEŃ Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA

Rozmowy na żywo, ciekawi goście,
komentarze dnia, konferencje
i najważniejsze wydarzenia dnia

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Sługa narodu nie na żarty

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Wołodymyr Zełenski przemawiał na telebimie w Parlamencie Europejskim 1 marca 2022 r. Otrzymał owacje na stojąco (na pierwszym planie szef Rady Europejskiej Charles Michel)

FOT. EUROPEAN PARLIAMENT MULTIMEDIA CENTRE

Maciej Pieczyński

Mylili się ci, którzy uważali, że rosyjskojęzyczny komik i celebryta jako prezydent Ukrainy będzie ustępować Moskwie. Wiele razy powtarzałem, że Wołodymyr Zełenski nie jest zwolennikiem „rosyjskiego świata". Dziś zdaje egzamin na męża stanu

Podobno w pierwszym tygodniu wojny udaremniono już trzy próby zamachu na życie ukraińskiego prezydenta, podjęte przez wagnerowców i ludzi Kadyrowa. „Walka toczy się tutaj. Potrzebuję amunicji, nie podwózki" – tak Wołodymyr Zełenski miał odpowiedzieć Amerykanom, gdy proponowali, że ewakuują go z Kijowa. Mało kto spodziewał się takiego heroizmu po byłym komiku i celebrycie, który nie tylko w poważnej, lecz także w ogóle w polityce jest zaledwie od trzech lat. Eksperci są właściwie zgodni, że jedną z przyczyn rosyjskich niepowodzeń na froncie w pierwszych dniach wojny było zlekceważenie Ukraińców i samego Zełenskiego. Wielu profesjonalnych polityków z wieloletnim stażem i o zdecydowanie patriotycznych poglądach mogłoby nie wytrzymać ciśnienia i albo uciec, albo skapitulować. A cóż dopiero showman, zaprawiony w walce o dobry humor swoich fanów, a nie o niepodległość i integralność terytorialną własnego kraju.

ROSYJSKOJĘZYCZNY KABARECIARZ

Wołodymyr Zełenski niedawno skończył 44 lata. Pochodzi z rodziny ukraińskich Żydów. Syn profesora cybernetyki. Urodził się w Krzywym Rogu, na południowym wschodzie (wówczas jeszcze sowieckiej) Ukrainy.

Karierę komika zaczął w latach 90. Wraz z lokalną grupą kabaretową występował w „lidze" kabaretowej KWN (Klub Wesołych i Pomysłowych). Była to bardzo popularna forma rozrywki zarówno w ZSRS, jak i – po jego upadku – w państwach postsowieckich.

W 1997 r. założył własne studio Kwartał 95. Pisał większość skeczów. Na przełomie wieków grupa Zełenskiego

eprasa.pl 7c5b88ceb9

występowała przed rosyjskojęzyczną publicznością w wielu państwach postsowieckich. W 2003 r. komikowi zaproponowano porzucenie grupy i indywidualne występy w ramach KWN. Zełenski tę propozycję odrzucił.

Wraz z Kwartałem odszedł z KWN i zaczął występować na Ukrainie, wyśmiewając m.in. tamtejszych polityków. Swoje kabaretowe studio prowadził aż do 2019 r., kiedy przeszedł do polityki po wygraniu w drugiej turze wyborów prezydenckich z ówczesną głową państwa Petrem Poroszenką.

MIAŁ BYĆ „PROJEKTEM"

Skecze Kwartału 95 były emitowane w telewizji 1+1, należącej do oligarchy Ihora Kołomojskiego. Kołomojski po wybuchu wojny w 2014 r. stanął po stronie Ukrainy, finansował prywatne oddziały do walki z separatystami. Został mianowany gubernatorem graniczącego z Donbasem obwodu dniepropietrowskiego. Później popadł w konflikt z Poroszenką. W efekcie pożegnał się ze stanowiskiem i został nieprzejednanym politycznym wrogiem urzędującego prezydenta. Dlatego też powszechne było przekonanie, że Zełenski nie jest samodzielnym kandydatem, tylko „projektem Kołomojskiego", narzędziem do walki z Poroszenką. Szczególnie że właśnie po wybuchu konfliktu pomiędzy oligarchą a ówczesnym prezydentem miał pojawić się pomysł na serial „Sługa narodu", wyemitowany na antenie telewizji 1+1. Zełenski grał w nim prostego nauczyciela, „zwykłego Ukraińca" Wasyla Hołoborodkę. Serial rozpoczyna się tym, że uczniowie nagrali z ukrycia, jak Hołoborodko w niecenzuralnych słowach pomstuje na władzę i zapowiada, że gdyby został prezydentem, to zrobiłby w kraju porządek. Po tym, jak nagranie trafiło do Internetu, stało się hitem, a prosty nauczyciel zdobył ogromną popularność. Wystartował więc w wyborach prezydenckich. I wygrał.

Serial – co istotne, rosyjskojęzyczny, podobnie jak skecze Kwartału 95 – zyskał ogromną popularność nad Dnieprem. Możliwe, że wielu Ukraińców w 2019 r. głosowało nie tyle na Zełenskiego – o jego programie wiadomo było niewiele, za to oczywisty był jego brak doświadczenia i kompetencji – ile na serialowego Hołoborodkę. Kilka miesięcy po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Radę Najwyższą zawojowała związana z Zełenskim partia Sługa Narodu, zdobywając większość bezwzględną w wyborach parlamentarnych.

Serialowy Hołoborodko mieszkał biednie i do pracy jeździł rowerem. Prawdziwy Zełenski jest człowiekiem bardzo bogatym. W oświadczeniu majątkowym za 2020 r. zadeklarował, w przeliczeniu na złotówki, ponad 3 mln dochodu. Przy czym prezydencka pensja to mniej niż minimalne wynagrodzenie w Polsce. Zełenski świetnie za to zarabia na tantiemach i (wraz z żoną Ołeną) na wynajmie nieruchomości.

Jesienią 2021 r. nazwisko ukraińskiego prezydenta pojawiło się w kontekście afery Pandora Papers. Według ustaleń dziennikarzy śledczych rodzina Zełenskich czerpała zyski ze spółek zarejestrowanych w rajach podatkowych. Między 2012 a 2019 r. znany komik miał zarejestrować co najmniej 10 firm na Wyspach Dziewiczych, Cyprze i Belize. Po wyborczym zwycięstwie zrzekł się spółek, jednak jego rodzina nadal ma dostęp do zarobionych przez nie pieniędzy.

Zełenski swoje kabaretowe studio prowadził aż do 2019 r., kiedy przeszedł do polityki po wygraniu wyborów prezydenckich

Niezależnie od osobistego bogactwa Zełenski jako polityk zawsze deklarował walkę z korupcją. Początkowo był wobec oligarchów raczej neutralny, ale w 2021 r. zmienił retorykę i zapowiedział walkę z ich wszechwładzą. Od słów przeszedł do czynów. W listopadzie podpisał ustawę, której celem było ograniczenie wpływu oligarchów na politykę.

BLUZA ZAMIAST GARNITURU

Gdy późną jesienią zaczęła narastać groźba rosyjskiej agresji, Zełenski skupił się na dyplomatycznych zabiegach o wsparcie Zachodu. W pierwszych godzinach wojny zamienił garnitur na wojskową bluzę i stanął na pierwszej linii informacyjnego frontu, nagłaśniając rosyjskie zbrodnie, zagrzewając rodaków do boju, a świat Zachodu – do pomocy Ukrainie.

Szybko pojawiły się, rozsiewane przez Kreml, plotki, że prezydent uciekł ze stolicy. Zełenski zdementował je w charakterystyczny dla siebie sposób. Nagrał telefonem krótkie wideo na tle słynnego domu z chimerami, stojącego przy ul. Bankowej, naprzeciwko budynku administracji prezydenta. Uśmiechnięty, bez śladu stresu czy strachu, mówi na nim: „Żadnej broni nie składamy, będziemy bronić naszego państwa, dlatego że nasza broń to nasza prawda, a prawda jest taka, że to jest nasza ziemia, nasz kraj, nasze dzieci, i my tego wszystkiego będziemy bronić".

Wieczorem drugiego dnia inwazji, również pod miejscem swojej pracy, również telefonem, nagrał film tym razem z udziałem kilku najważniejszych osób w państwie, pokazując, że władze wciąż stoją na posterunku. „Nasi żołnierze są tutaj, obywatele, społeczeństwo jest tutaj, my wszyscy jesteśmy tutaj, bronimy naszej niepodległości, naszego państwa i tak będzie dalej" – mówił Zełenski, ponownie z uśmiechem od ucha do ucha. Uśmiechem już nie komika, tylko pewnego siebie przywódcy. Aktorskie zacięcie wykorzystał w pełni, dzień w dzień nagrywając – już nie telefonem, w bardziej oficjalnej formie – orędzia zagrzewające naród do walki, a Zachód do udzielenia pomocy Ukrainie.

„Tej nocy musimy wytrwać. Los Ukrainy rozstrzyga się właśnie teraz" – mówił w nocy z 25 na 26 lutego. Zagrzewał rodaków do obrony i pomagania sobie nawzajem. „Zatrzymujcie wroga wszędzie, gdzie tylko możecie […]. Niszczcie sprzęt wroga wszystkim, czym tylko możecie. Jeśli dla najeźdźców nawet przedszkola są dopuszczalnym celem [ataku], to wy nie powinniście pozostawić mu żadnej szansy. Wszystkie nasze myśli, wszystkie modlitwy są z naszymi żołnierzami. Wierzymy w nich, dbamy o nich, bronimy naszego państwa" – mówił. I zakończył: „Ta noc będzie ciężka, bardzo ciężka. Ale przyjdzie poranek!".

Zełenski potrafi mówić tak, aby wstrząsnąć słuchaczem. Przekonał się o tym tłumacz, który rozpłakał się na wizji, przekładając w czasie rzeczywistym na język angielski zdalne wystąpienie ukraińskiego prezydenta na forum Parlamentu Europejskiego. „Wierzę, że oddajemy życie za wartości, aby być wolnymi, tak jak wy jesteście" – w ten sposób Zełenski zwrócił się do eurodeputowanych. Stał się symbolem, personifikacją walczącej o niepodległość Ukrainy. W trudnej chwili okazuje

eprasa.pl 7c5b88ceb9

się stosunkowo zdolnym dyplomatą. Do tego efektownym, potrafiącym zdobyć słuchacza niczym sprawny populista, który umiejętnie maskuje się sprawną grą aktorską. Przemawiając przed PE, demonstracyjnie odłożył kartki, zapowiadając, że nie będzie czytał przemówienia, bo w jego kraju papier już się kończy. Skutecznie pozycjonuje siebie i swój kraj jako obrońców zachodnich wartości i w ogóle „wolnego świata" przed agresją barbarzyńcy Putina. Czasem krytykuje Zachód za niewystarczające wsparcie. Jednocześnie codziennie informuje o kolejnych rozmowach z zachodnimi partnerami, dziękuje za wszelkie okazane wsparcie. Przemówienia Zełenskiego pełne są słów o jedności Ukraińców w obliczu agresji z zewnątrz. W jednym z wystąpień przekonywał: „Wczoraj rano my wszyscy byliśmy charkowianami na pl. Wolności, potem nas wszystkich niszczył wróg uderzeniami w Borodiance, wczoraj wieczorem nas wszystkich bombardowano w Kijowie i my wszyscy znów zginęliśmy w Babim Jarze od uderzenia rakietowego. Mimo że cały świat obiecuje: nigdy więcej".

BEZLITOSNY DLA PROPAGANDY

Zełenski umiejętnie trafia w samo serce rosyjskiej propagandy głoszącej potrzebę denazyfikacji Ukrainy. Rakiety spadające na miejsce kaźni 100 tys. Żydów, zamordowanych w czasie drugiej wojny światowej przez niemieckiego okupanta, stały się teraz bronią propagandową Kijowa przeciwko Moskwie. Okazuje się jednak, że informacja, z której Zełenski uczynił ważny oręż propagandowy, została zdementowana przez dziennikarza AFP, następnie przez reportera izraelskiego serwisu Ynet. Na wojnie pierwszą ofiarą jest prawda – po obu stronach. News o zniszczeniu Babiego Jaru przebił się jednak bardziej niż dementi. Ukraiński Żyd jest przekonujący, gdy oskarża Rosjan, że bombardując Babi Jar, „zabijają po raz drugi ofiary Holokaustu". To mocny propagandowy cios pod adresem narodu, który chełpi się „zwycięstwem nad faszyzmem", a teraz „denazyfikuje" Ukrainę. Trudno też o bardziej zrozumiały przekaz dla Zachodu, nie tyle nawet czułego, ile wręcz przeczulonego na „brunatnym" punkcie. Zełenski zwrócił się do Żydów na całym świecie z apelem, by nie milczeli, bo właśnie z milczenia rodzi się nazizm. „Co dalej, skoro już Babi Jar zbombardowali?! Jakie jeszcze obiekty wojskowe zagrażają Federacji Rosyjskiej?! Jakie jeszcze bazy NATO – może sobór sofijski w Kijowa? Ławra Kijowsko-Peczerska?! Cerkiew św. Andrzeja?! O czym by oni [Rosjanie] nie marzyli, czort z nimi, bo z nami Bóg" – podsumował.

Od apelu do społeczności żydowskiej gładko przechodzi do słów troski o dziedzictwo chrześcijaństwa na Ukrainie. To również celny cios w Rosję, która przecież mieni się „przedmurzem wartości konserwatywnych", prawosławnym Trzecim Rzymem. Z kolei informując o ostrzelaniu przedszkola, z gorzkim sarkazmem zadawał retoryczne pytanie: „Co to za wojna przeciwko dzieciom? Czyżby one były neonazistami?! Albo żołnierzami NATO, którzy niby tak zagrażają Rosji?!". W innym przemówieniu Zełenski grzmiał: „Wczoraj zginęło 16 dzieci. I co, Putin znowu powie, że to jakaś operacja, że Rosjanie ostrzeliwują infrastrukturę militarną?! Gdzie nasze dzieci?! W których fabrykach broni pracują? Jakie rakiety obsługują?! A może jeżdżą czołgami?!".

W nocy z 23 na 24 lutego, kilkadziesiąt minut przed inwazją, ukraiński prezydent, jeszcze w garniturze, jeszcze mając najpewniej resztki nadziei, że nie będzie musiał przebrać się w wojskową bluzę, opublikował w Internecie emocjonalne orędzie adresowane do „obywateli Federacji Rosyjskiej". „Dziś zainicjowałem rozmowę telefoniczną z prezydentem Putinem. Rezultat – cisza, chociaż cisza powinna panować w Donbasie" – zaczął w swoim stylu. Mówił po rosyjsku. W swoim pierwszym języku. „Mówią wam, że to ma być wyzwolenie Ukrainy, ale Ukraina to naród wolny, który pamięta swoją przeszłość i sam buduje swoją przyszłość. Buduje, a nie niszczy, jak wam wmawiają w waszej telewizji […]. Mówią wam, że jesteśmy nazistami. Ale czy może popierać nazizm naród, który za zwycięstwo nad nazizmem oddał ponad 8 mln istnień ludzkich?! Jak nazistą mogę być ja – opowiedzcie o tym mojemu dziadkowi, który całą wojnę przeszedł w piechocie armii sowieckiej, a umarł, jako pułkownik, już na niepodległej Ukrainie" – te słowa zapewne mogłyby stać się kroplą, która powoli drąży skałę, gdyby oczywiście trafiły do szerokiego grona rosyjskich odbiorców. Tych, którzy wiedzę o Ukrainie czerpią z państwowej telewizji. Zełenski przekonująco opowiedział o swoich związkach z Donbasem, o tym, jak kibicował reprezentacji Ukrainy na donieckim stadionie podczas Euro, a nawet gdzie pił z kolegami po przegranych meczach. Odwoływał się też do związków rodzinnych i przyjacielskich pomiędzy mieszkającymi na pograniczu Rosjanami i Ukraińcami. Jednocześnie zaznaczył, że Donbas to ukraińska ziemia, za którą Rosjanie nie powinni walczyć, bo ziemi tej nie rozumieją, nie znają, nie jest im potrzebna.

RETORYCZNE SOWIECKIE DZIEDZICTWO

Zełenski wyraźnie już wtedy zaznaczył, że Ukraińcy chcą pokoju, ale bynajmniej nie pokoju za wszelką cenę. „My nie potrzebujemy wojny – ani zimnej, ani gorącej, ani hybrydowej. Ale jeśli zaatakuje nas [wasza] armia, jeśli spróbuje nam odebrać nasz kraju, naszą wolość, nasze życie, to będziemy się bronić. Nie atakować, ale się bronić. Atakując, będziecie widzieć nasze twarze, a nie plecy". Zapewnił też, że jego celem jest pokój i że, tak jak Rosja żąda gwarancji bezpieczeństwa od NATO, Ukraina żąda gwarancji bezpieczeństwa od Rosji. Rano drugiego dnia wojny Zełenski relacjonował: „Dziś w nocy [Rosjanie] zaczęli bombardować domy mieszkalne miasta-bohatera Kijowa. To wszystko przypomina rok 1941. Wszystkim obywatelom Federacji Rosyjskiej, którzy wyszli na protesty, chcę powiedzieć […]: walczcie za nas, przeciwko wojnie". 3 marca rano mówił: „My całkowicie naszą wolność ochronimy i jej nie oddamy. Dla nas, Ukraińców, jest to wielka wojna ojczyźniana".

Ta retoryka, odwołująca się do sowieckich mitów, to potencjalnie bodaj najsilniejsza propagandowa broń Zełenskiego przeciwko Putinowi. Gdyby prezydent Ukrainy publicznie odwoływał się do „heroizmu UPA", głosił peany na cześć Bandery i Szuchewycza, słowem: gdyby postawił jednoznacznie na zachodnioukraiński nacjonalizm, do którego tak bardzo byli przywiązani Petro Poroszenko czy wcześniej Wiktor Juszczenko, nie pociągnąłby za sobą całego narodu, a propagandową rywalizację z Moskwą przegrałby już na starcie. Podarowałby Putinowi w prezencie dodatkowe argumenty na rzecz „denazyfikacji Ukrainy". Siłą Zełenskiego od zawsze było to, że jest politykiem, który nie musi się oglądać na „neobanderowski" elektorat, bo to nie jest jego elektorat. Nacjonaliści spod znaku Poroszenki i bardziej radykalnych sympatyków OUN-UPA od samego początku próbowali zaszufladkować „sługę narodu" albo jako potencjalnie uległego wobec Rosji słabeusza, albo wprost jako agenta Putina. To jednak nie oznacza, że Zełenski całkowicie i demonstracyjnie zerwał z banderowską tradycją. Nigdy jej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

nie potępił, ale też nie wynosił na sztandary. Od początku politycznej kariery, jako Ukrainiec z rosyjskojęzycznego południowego wschodu, ale wolny od prorosyjskich sympatii czy jakiegoś szczególnego sentymentu do ZSRS, starał się, jakkolwiek to banalnie brzmi, „łączyć, a nie dzielić" i być „otwartym na ludzi".

Dlatego też świetnym zabiegiem jest odwoływanie się do sowieckiego dziedzictwa. W retoryce Zełenskiego 24 lutego to nie jest 1 września, tylko 22 czerwca. Rosjanie, bombardujący Kijów i inne miasta ukraińskie, są przedstawiani jako ci, od których chcą rzekomo Ukraińców wyzwolić – jako faszyści. To narracja przekonująca zarówno dla Rosjan, jak i dla rosyjskojęzycznych Ukraińców, wychowanych na sowieckich mitach. Rosyjskojęzyczny Żyd jest w tej narracji bardziej wiarygodny, niż gdyby wymachiwał banderowską flagą. Każdy swój filmik, każde swoje wystąpienie Zełenski wieńczy zawołaniem: „Sława Ukrajini!", które w tym konkretnym kontekście nie ma kompletnie nic wspólnego z kultem OUN czy UPA.

Do rangi symbolu urasta gest, który wykonał podczas debaty z Poroszenką na kijowskim stadionie podczas kampanii wyborczej przed drugą turą. Urzędujący wówczas prezydent postanowił demonstracyjnie paść na kolana w hołdzie przed bohaterami wojny w Donbasie. Liczył na to, że zawstydzi Zełenskiego i na jego tle wypadnie jak wielki patriota na tle człowieka, który nie zamierza walczyć z agresorem. Klęknął przed flagą ukraińską. Tak się złożyło, że wisiała ona z tyłu sceny, w rezultacie więc Poroszenko, padając na kolana przed symbolem narodowym, odwrócił się plecami do zgromadzonej na stadionie publiczności. Zełenski też uklęknął, tyle że przodem do ludzi. „Przodem do narodu".

Zełenski unikał patetycznej, patriotycznej retoryki, przekonywał natomiast, że najbardziej zależy mu nie tyle na tym, by pokonać Rosję, ile na tym, aby zakończyć wojnę i aby nie ginęli ludzie. Z tego względu początkowo Moskwa liczyła na ustępstwa, a wewnętrzna opozycja przed nimi ostrzegała. Również wielu polskich komentatorów prognozowało, że „sługa narodu" będzie dla Putina łatwiejszym przeciwnikiem niż Poroszenko, o ile w ogóle będzie przeciwnikiem. W końcu Zełenski jest rosyjskojęzyczny, co z polskiej perspektywy może się wydawać dowodem na jego prorosyjskość. Nic bardziej mylnego. Na Ukrainie rosyjskojęzyczność nie oznacza automatycznie prorosyjskości.

Zełenskiemu wychowanemu na wolnej Ukrainie mentalnie bliżej do zachodniej wolności niż rosyjskiej autokracji

Zachowanie prezydenta Ukrainy w obliczu inwazji może być zaskakujące z uwagi na wielką odwagę, którą – niezależnie od poglądów, ale z czysto ludzkiego punktu widzenia – musiał się wykazać, decydując o pozostaniu w stolicy. Natomiast dla kogoś, kto śledził działalność, decyzje, wypowiedzi Zełenskiego, nie może być niespodzianką, że „sługa narodu" nie okazał się „sługą Putina". Przeciwnie: nie ustąpił Rosji. Twardo obstawał przy tym, że porozumienia mińskie mogą być wykonane tylko zgodnie z ich ukraińską interpretacją. Walczył też z rosyjską agenturą wpływu, podnosząc rękę na „kuma Putina" Wiktora Medwedczuka, czego nie zrobił nawet ultrapatriota Poroszenko. Doprowadził też do wymiany jeńców, realizując częściowo swoje pacyfistyczne obietnice.

ORĘŻ ODWAGI

Wspomniana odwaga to również silny propagandowy oręż. 3 marca Zełenski tak „zachęcał" Putina do rozmów: „Opuść naszą ziemię. Jeśli nie chcesz teraz tego zrobić, to zasiądź ze mną do stołu negocjacyjnego. Jestem otwarty na propozycje. Tylko niech nie będzie między nami 30-metrowego dystansu jak w czasie rozmów z Macronem i Scholzem. Jestem sąsiadem. Nie gryzę […]. Usiądź ze mną, porozmawiaj ze mną. Czego się boisz?". Cały świat zobaczył różnicę pomiędzy Putinem a Zełenskim. Podczas gdy pierwszy ukrywa się w bunkrze na Uralu, a podczas oficjalnych spotkań siedzi daleko od rozmówców, drugi odmawia ucieczki z Kijowa i deklaruje walkę do końca. Takie porównanie też mogłoby dać do myślenia wyznającym kult siły i odwagi Rosjanom. Podobnie jak wspomniane analogie do wielkiej wojny ojczyźnianej i zwycięstwa nad faszyzmem. Problem w tym, że przekaz Zełenskiego nie znajdzie drogi do szerokiego, rosyjskiego odbiorcy – na to Kreml nie pozwoli.

Dziś Zełenski walczy z Rosją, ośmiesza Putina na polu walki, ale przecież już jako komik wyśmiewał Putina i Rosję. Polscy internauci odkrywają nagle „antyrosyjskie" skecze studia Kwartał 95. Ale jeszcze jakiś czas temu, gdy dominowała raczej negatywna opinia na temat patriotyzmu „sługi narodu", chętniej przypominano te przedstawienia, w których Zełenski śmiał się z Ukraińców. Jeden i drugi obraz jest prawdziwy. Zełenski, jako artysta, człowiek niezależny, urodzony na wschodzie kraju, ale wychowany już na wolnej Ukrainie, sprawny przedsiębiorca, który bez pomocy państwa zawojował rynek rozrywkowy swoimi skeczami, mentalnie bliżej ma do zachodniej wolności niż rosyjskiej autokracji. Po objęciu fotela prezydenta też szukał przyjaciół na Zachodzie, najpierw w osobie Macrona. Zamordystyczna, Putinowska Rosja nie może być dla niego jakimkolwiek punktem odniesienia. Dobrze pokazał to w skeczu pod wymownym tytułem „Wybory Putina Federacji Rosyjskiej". To bardzo ostra satyra zarówno na kremlowskiego despotę, jak i na bezgranicznie uległych jego woli Rosjan.

A stosunek do relacji rosyjsko-ukraińskich sugestywnie pokazał w jednym ze skeczy, nagranych niedługo po wybuchu wojny w 2014 r. Punktem wyjścia było przywołanie przez Putina słynnej, historycznej frazy, w myśl której Kijów to „mat' russkich gorodow (matka grodów ruskich/rosyjskich)". „Mam pytanie do Rosjan – a dlaczego o mamusi takie straszne rzeczy wygadujecie w swojej telewizji? Mówicie, że ona bez swoich dzieci nie przeżyje?" – zaczął Zełenski. Po czym zauważył, że normalne dzieci chcą żyć bez mamy. A „rosyjskie dzieci" nie tylko dalej siedzą w rodzinnym domu, ale jeszcze niedawno „jeden pokój zabrali, z widokiem na morze" (Krym). Na szczęście „matka jest niezależna, już sobie adoratora znalazła, Europejczyka […]. Mama jest wierna, pójdzie z tym, kto ma więcej kasy". Od swojego dziecka mama nic nie chce, „tylko ciepło, tani gaz". A dziecko ciągle czegoś chce – ma tyle zabawek, taki wielki teren, tylko statków nie ma gdzie postawić, tylko musi koniecznie u mamy (Flota Czarnomorska na Krymie). Konkluzja była następująca: „Dzieci – wystarczy już dymać swoją mamę! Podrośniecie, zmądrzejecie i będziemy znów pić herbatkę na letnim tarasie (Krym). Na matczynym letnim tarasie!". Wizja, rzecz jasna, dziś nieprawdopodobna. Nawet jeśli Zełenski nie obroni Ukrainy, to już – cynicznie rzecz ujmując – pod względem wizerunkowym wygrał wszystko, co mógł. Być może powinien otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla. Oby nie pośmiertnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

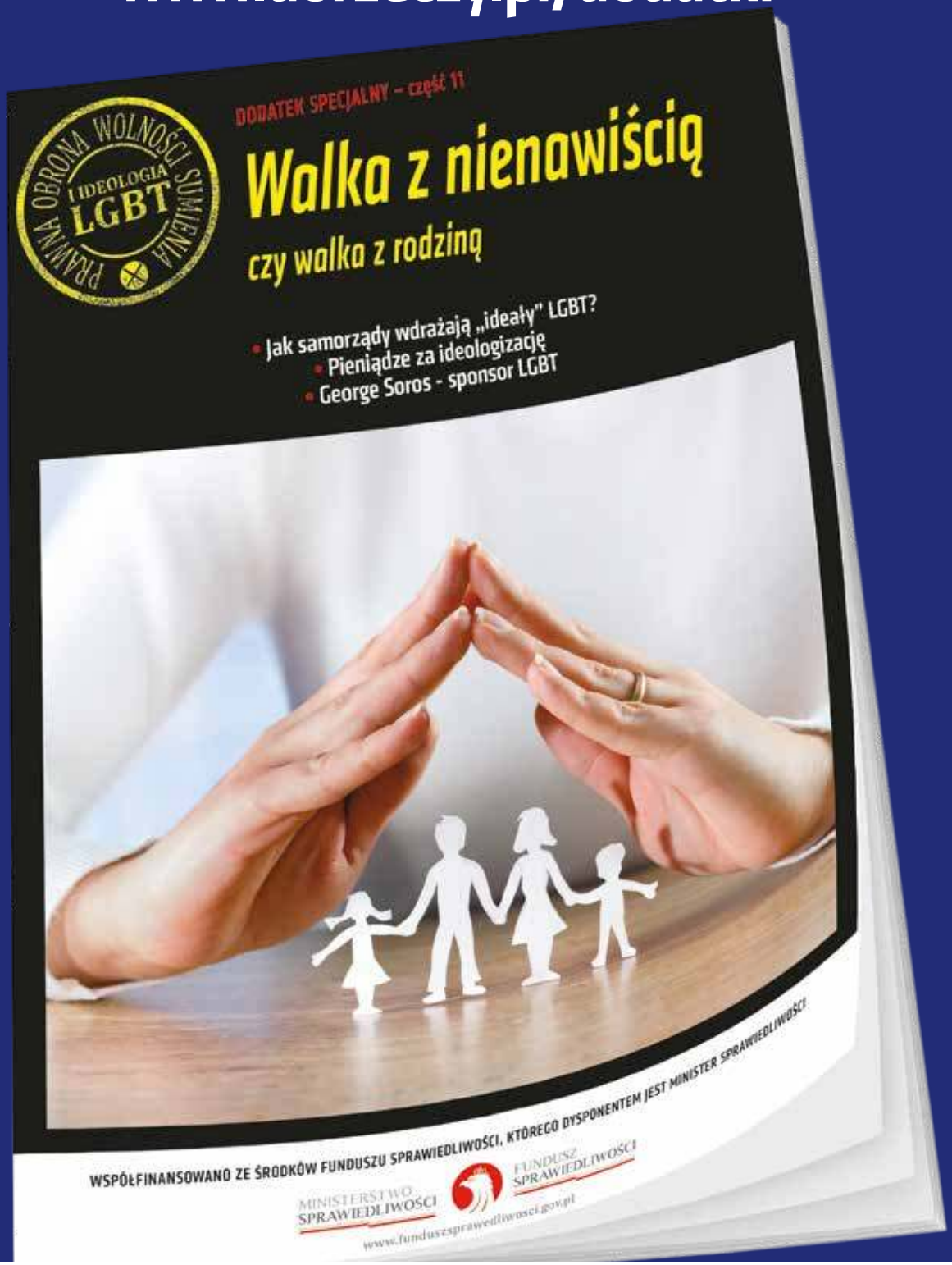

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 7c5b88ceb9

WOBEC INWAZJI ROSJI NA UKRAINĘ POLSKA

Marek Jurek

Najazd na Gruzję należało traktować jako moment zwrotny, jak znak nowej gotowości do kolejnych agresji w „bliskiej zagranicy"

FOT. EFREM LUKATSKY/AP/EAST NEWS

Ukraińskie memento

Dzień po agresji Rosji na Ukrainę prezydent Wołodymyr Zełenski dramatycznie pytał świat: „Kto jest gotów walczyć razem z nami? Nikogo nie widzę. Kto jest gotowy dać Ukrainie gwarancję członkostwa w NATO? Wszyscy się boją". Powtarzanie w kółko, że Ukraina ma prawo przystąpić do NATO, że ma prawo wyboru sojuszników, zawierało tylko małą część prawdy. Bo prawo wyboru sojuszników ma również każdy z krajów przymierza. Właśnie dlatego Ukraina ciągle nie jest członkiem NATO, jego państwa nie mają wobec niej twardych militarnych zobowiązań i walczy samotnie. Niektórzy porównują jej los do Polski w 1939 r., wtedy jednak nasi nielojalni sprzymierzeńcy wypowiedzieli Niemcom wojnę. Sytuacja Ukrainy jest raczej podobna do Węgier w 1956 r., którym Amerykanie robili złudzenia pomocy i które zostały pozostawione same sobie.

TYRANIA CHWILI

Jak uczył Henry Kissinger – realizm polega na rozeznaniu momentu. Prawdziwy realizm to nie obsesyjna ostrożność, ale emocjonalna elastyczność, branie pod uwagę zmiennych okoliczności, a nie tylko niezmiennych uczuć. Czasem wymaga przyspieszenia działania, czasem jego zaniechania czy wycofania. To również sztuka przewidywania i znajomość względnie stałych tendencji rzeczywistości. Można wykorzystać chwilę, kiedy stałe reguły słabną, ale trzeba natychmiast zacząć je brać pod uwagę, gdy momentum minie.

Marszałek Piłsudski podjął wojnę o wyzwolenie Ukrainy w chwili szczególnej. Gdy Rosja była rozdarta rewolucją i wojną domową, a Ukraińcy prowadzili walkę o swą niepodległość. Potem, po załamaniu się tych planów, zawarł pokój, a prometejskie marzenia zamknął w placówkach typu Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej. Na politykę zagraniczną bezpośredniego wpływu już nie miały.

Dziś Ukraina prowadzi wojnę w imię chęci (bo nawet nie dla) zawarcia sojuszu obronnego z państwami, które nie zamierzają jej militarnie bronić. Jej pragnienia były całkiem zrozumiałe, bo dla umocnienia ukraińskiej niepodległości droga państw bałtyckich, przyjętych do NATO w 2004 r., była bardzo atrakcyjna. Jednak założenia należy zawsze testować, umiejąc je zmieniać, jeśli test dotychczasowych wypada negatywnie. Tak właśnie było z postulatem przyłączenia się Ukrainy do przymierza atlantyckiego. Sens tego postulatu zawierał się w ochronie Ukrainy przed najazdem ze wschodu. Radykalnie zmalał więc w momencie, gdy okazało się, że Rosja jest już gotowa do wojny, że najazd jest groźbą poważną, a jeśli się ziści, to Ukraina będzie musiała stawić mu czoła samotnie.

KTÓŻ MÓGŁ SIĘ SPODZIEWAĆ?

„Rządzić to znaczy przewidywać" – jak mówił Adolphe Thiers. A w tym wypadku chodziło nawet nie o przewidywanie, ale po prostu o świadomość jednej z kluczowych prawd geopolityki.

Wśród zapomnianych prekursorów porozumienia polsko-ukraińskiego szczególne miejsce ma Wojciech Wasiutyński (1910–1994), najwybitniejszy publicysta narodowo-demokratyczny powojennej emigracji. Już w 1940 r., na rumuńskim

eprasa.pl 7c5b88ceb9

postoju w drodze do 1. Dywizji Pancernej w Wielkiej Brytanii, w książce „Powstanie Wielka Polska", pisał o konieczności niepodległości Ukrainy po wojnie oraz pewnych cesji granicznych na Wołyniu i Podolu, które skompensować miały Polsce poszerzenie granic na zachodzie. Towarzyszyć temu miała „dobrowolna wymiana ludności", która miała stworzyć „możliwość zgodnego współżycia obu państw". Wizja ta szła dalej niż przedwojenne rozważania Adolfa Bocheńskiego i Jerzego Giedroycia.

Wasiutyński pisał to w 1940 r., w okresie niemiecko-sowieckiej okupacji Polski. Zakładał, jak duża część polskiej opinii w tamtym czasie, że Stany Zjednoczone staną po stronie Wielkiej Brytanii, ale bez sojuszu z Sowietami.

Po wojnie Wasiutyński został jednym z najważniejszych dziennikarzy Radia Wolna Europa, oczywiście pisał i publikował dalej. W 1975 r. wydał „Źródła niepodległości", bardzo ważną książkę dla budzącej się wówczas młodej prawicy. Ale o Ukrainie pisał już inaczej. Zakładał, że Polska – silna odrębnością narodową, z niezależnym Kościołem i rolnictwem – może w drogę do niepodległości wyruszyć sama. Przestrzegał przed żywotnością nacjonalizmu rosyjskiego, reprezentowanego w czasach postalinowskich przez „coś w rodzaju opinii publicznej", wyrażającej poglądy zwykłej inteligencji, ani dysydenckiej, ani nomenklaturowej. „Dla tych ludzi istnieje wielka różnica między Warszawą a Kijowem, między Pragą a Mińskiem. W Europę Środkową Rosja weszła po drugiej wojnie światowej. Gdyby z niej musiała się wycofać, byłaby to porażka polityki imperialnej, ale nie klęska narodowa. […] Natomiast Rosja bez Ukrainy, Białorusi i Kaukazu byłaby kadłubem pozbawionym dostępu do morza, połowy przemysłu, z otwartymi nieokreślonymi granicami". Uważał więc – inaczej niż szkoła „Kultury" – że nie należy stawiać iunctim między niepodległością polską a ukraińską.

Oczywiście zdolność prognozowania przyszłości ma zawsze charakter częściowy, dotyczy danych dostępnych, a nie okoliczności nieprzewidywalnych. Polska istotnie w solidarnościową drogę do niepodległości wyruszyła sama i dużą jej część wykonała w latach 80. Potem jednak Związek Sowiecki się rozpadł. W tym czasie historia zdezaktualizowała polsko-ukraiński konflikt graniczny. Polska i Ukraina mogły żyć razem, ale nie zmieniła się geopolityka rosyjska. Oni nadal Ukrainę traktowali jako państwo kluczowe, o czym zresztą całe życie pisał Zbigniew Brzeziński. To, że Rosja byłaby gotowa podjąć wojnę o Ukrainę, było oczywiste. Na szczęście długo nie miała takich możliwości.

Przynajmniej najazd na Gruzję należało traktować jako moment zwrotny, jak znak nowej gotowości do kolejnych agresji w „bliskiej zagranicy". Wojna ta bowiem – jak mówił wówczas Fiodor Łukjanow, jeden z czołowych putinowskich politologów – „pokazała, że możemy przeciwstawić się naciskom z zewnątrz. Jeśli nakreślamy czerwoną linię, mówiąc Zachodowi, że nie wolno jej przekroczyć, to rzeczywiście, choćby siłą, nie pozwolimy jej naruszyć. I po 20 latach ciągłego ustępowania Zachodowi pokazaliśmy, że mamy dosyć siły i zdecydowania, by nie pozwolić. Dla nas to była taka zbiorowa psychoterapia, która pozwoliła nam wyzbyć się kompleksów, jakich nabawiliśmy się przez ostatnie dwie dekady".

Zachód zaś i wtedy, i później, w czasie aneksji Krymu, pokazał, że będzie zachowywał się tak, jakby ciągle obowiązywała doktryna Breżniewa.

GEOSTRATEGICZNY PAT

Aktywna polska promocja NATO-wskiej orientacji Ukrainy miała służyć zwiększeniu naszego bezpieczeństwa, niestety, kończy się wojną na Ukrainie i zwiększeniem zagrożeń dla Polski. Założenia tej polityki pomijały dwa elementy. Po pierwsze, traktowanie samego partnerstwa Ukrainy z NATO jako gwarancji jej nietykalności. Po drugie, założenie, że dla Stanów Zjednoczonych Rosja pozostaje głównym wyzwaniem, tak jak kiedyś Związek Sowiecki, podczas gdy największym zagrożeniem, wobec którego powinniśmy definiować naszą politykę, stała się wojna światowa. Perspektywa globalnego konfliktu zwielokrotnia zagrożenie rosyjskie.

To nie małoduszność bowiem powstrzymuje Amerykanów od czynnej obrony Ukrainy, ale ryzyko osłabienia na innych potencjalnych frontach. Istnieje bowiem już dziś porozumienie trzech mocarstw, pragnących zburzyć obecny porządek międzynarodowy. To Chiny, Rosja i Iran. Każde z nich ma jednak własne interesy i chętnie skorzysta z uwikłania Stanów Zjednoczonych w jeden z regionalnych konfliktów, by do wojny przystąpić w dogodniejszych warunkach. Wtedy jednak, jeśli załamie się powszechne bezpieczeństwo, Amerykanie będą musieli bronić nie tylko Ukrainy i Polski, lecz także Izraela, Arabii Saudyjskiej, Tajwanu, Japonii i Republiki Korei. To ta sytuacja stanowi największe wyzwanie. Wtedy możemy znaleźć się w próżni bezpieczeństwa, gdy mocarstwa europejskie uznają, że dla uniknięcia wojny nie tylko należy „rozważyć" regionalne rewindykacje Rosji, lecz także można żądać tego również od tych, którzy pod presją rosyjską się znajdą.

GRANICE PRZYMIERZA

Zresztą pamiętać należy również o zakresie traktatu waszyngtońskiego. Zobowiązuje on do „pomocy" ofierze agresji „łącznie z użyciem siły zbrojnej, w celu przywrócenia i utrzymania bezpieczeństwa obszaru północno-atlantyckiego", ale nie mówi wyraźnie o gwarancjach granic. Nawet jeśli w wypadku ich naruszenia nasi sprzymierzeńcy podejmą „wojnę polską", to czy – skuszeni perspektywą „deeskalacji" – będą umierać za okupowane Białystok, Suwałki czy Elbląg? A przecież jeśli będziemy musieli ich bronić i jeśli ich nie obronimy, to możemy je trwale stracić. Wojnom współczesnym z reguły towarzyszy natychmiastowy exodus ludności. Potem okupant może sprowadzać własną, dla tymczasowego „uruchomienia gospodarki". Konflikt się zamraża, ale życie trwa. Fakty stają się nieodwracalne.

Pokój w ogóle i stabilizacja regionalna w szczególności powinny były być w przeszłości i powinny stać się w przyszłości głównymi wyzwaniami naszej polityki. Nic nie zastąpi koniecznego, natychmiastowego dozbrojenia Polski i w ogóle systematycznego wysiłku obronnego. Zresztą już dziś nasza polityka obronna jest podstawą naszej pozycji w NATO.

Natomiast w przyszłości – oprócz najpiękniejszej nawet propagandy – dać trzeba więcej pola dyplomacji i rzeczywistej polityce.

Tymczasem teraz toczy się wojna. Polska wypełnia oczywiste powinności sąsiedztwa, wynikające z samej geopolityki. Do nas przede wszystkim kierują się uchodźcy wojenni i przez Polskę Zachód będzie wysyłał pomoc na Ukrainę. Szanse na pokój zależą od oporu Ukraińców. Bierzmy z nich przykład, bo jutro możemy znaleźć się w podobnej sytuacji. I medytujmy ukraińskie memento.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Konferencja premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona i premiera RP Mateusza Morawieckiego

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

Najtrudniejszy egzamin

Piotr Semka

Zahartowany kolejnymi kryzysami aparat rządowy nabiera doświadczenia i pewności siebie. Sprawne administrowanie w dzisiejszym niepewnym świecie może być najlepszą inwestycją w przyszły sukces wyborczy PiS

Polska przyjęła blisko 600 tys. uchodźców z Ukrainy w ciągu siedmiu dni. To absolutny rekord w ostatnim półwieczu. Owszem, w Europie po przegranej rewolucji antysowieckiej w 1956 r. Austria przyjęła 180 tys. Węgrów, a w 1968 r., po zmiażdżeniu przez sowieckie czołgi Praskiej Wiosny, na Zachód przedostało się ok. 25 tys. Czechów i Słowaków, ale tak dużej liczby uchodźców w tak krótkim czasie w ciągu ostatnich 80 lat w Europie nie było. Jedyne porównanie można przeprowadzić z wielką falą migracyjną, która przybyła do Niemiec we wrześniu 2015 r., jednak i w tamtym wypadku rozłożona ona była na okres ok. półtora miesiąca.

Można już stwierdzić, że polskie państwo zdało egzamin. W naszym kraju mamy ciągle kompleks „państwa z dykty". Tym razem jednak sprawność MSW, MSZ i agencji rządowych musi wzbudzać szacunek. Równie ważna jest atmosfera masowego wsparcia dla ukraińskich uchodźców, która doskonale uzupełnia działania organów państwa. To kolejny „gwiezdny czas", kiedy Polacy sami sobie wydają się lepsi niż w okresach szarej codzienności. Starszemu pokoleniu przypomina się karnawał Solidarności z lat 1980–1981, a młodsze pokolenia mają skojarzenia z atmosferą żegnania gasnącego życia Jana Pawła II i poruszenia sumień po katastrofie smoleńskiej. Wszystko to dzieje się w kraju, w którym intelektualiści wiecznie uwielbiają oskarżać swój naród o bezduszność. Dokładnie trzy tygodnie przed rozpoczęciem akcji pomocy dla Ukraińców filmowy recenzent Tomasz Raczek, widząc film „Sukienka" na liście nominacji do Oscara, autorytarnie ogłaszał, że Polska nie zasługuje na to wyróżnienie, bo „jesteśmy jednym z najmniej empatycznych narodów świata". Teraz zawodowi krytycy polskiego egoizmu jakoś milczą.

ĆWICZENIA CZYNIĄ MISTRZA

Polacy wsparli tak masowo Ukraińców, bo sami Ukraińcy zrobili wiele, aby zyskać sympatię Polaków. Od ponad dekady nasi obywatele stykają się z przybyszami znad Dniestru i Dniepru w setkach tysięcy zwykłych ludzkich interakcji.

Przybysze zza wschodniej granicy obsługują Polaków w sklepach, pielęgnują ich w szpitalach, pracują przy drążeniu warszawskiego metra lub zakładają ukraińskie restauracje. A wszystko to, wbrew obawom o ewentualne spięcia narodowościowe, nie przekłada się na zbyt wiele sytuacji konfliktowych.

Bez tego oswojenia się z Ukraińcami nie byłoby dzisiaj tak dużej skali gotowości do niesienia pomocy. Ale temu przekroczeniu granicy obcości towarzyszy od 2014 r. szacunek dla walki Ukraińców o wyzwolenie się spod wpływów Rosji. Ważna jest też struktura społeczna mas uchodźców przybywających do Medyki czy Dorohuska. Polacy w pełni rozumieją potrzebę udzielenia schronienia matkom z dziećmi i osobom starszym, a jednocześnie robi na nich wrażenie zasada, w myśl której mężczyźni w sile wieku nie otrzymują zgody na wyjazd za granicę i zobowiązywani są do walczenia o własny kraj.

To dlatego Polacy zachowują się tak odmiennie niż w wypadku fali uchodźców aranżowanej przez reżim Łukaszenki na Białorusi. Wówczas wielu naszych rodaków zadawało pytanie: Dlaczego młodzi Syryjczycy czy Afgańczycy nie walczą o lepsze jutro dla swoich krajów, zamiast wyjeżdżać na Białoruś? Tak jak w czasie wojny Polacy zauważali w powstaniu w getcie warszawskim rysy bardzo bliskiego dla siebie myślenia o sensie zbrojnej walki i ofiary z życia – tak teraz w obrazkach z bombardowanego Charkowa widzą cienie płonącej Warszawy z sierpnia 1944 r. A w młodych ochotnikach ukraińskich szykujących butelki z benzyną widzą podobieństwo do młodych AK-owców z takimi samymi butelkami przygotowywanymi przeciw niemieckim tygrysom.

Zresztą cały przejmujący spektakl walki Ukrainy o wolność wprawia zachód Europy w konsternację. Oto na zasadzie kontrastu Ukraińcy przypominają światu o znaczeniu takich wartości jak męska, ale i kobieca odwaga, więź narodowa i zdolność do poświęcenia. Często rozmaite wartości łączą się ze sobą w wyjątkowo przemawiający sposób. Oto wielu Ukraińców doprowadza swoje żony i dzieci do polskiej granicy, czule się z nimi żegna i wraca walczyć do Czernichowa czy Odessy. I znów Polacy niezwykle szanują taką logikę działania. Najpierw dbamy o bezpieczeństwo najbliższych, a potem wracamy, aby stanąć oko w oko z rosyjskim niedźwiedziem.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Lewica dość kwaśno przyjmuje logikę wydarzeń, które przypominają o znaczeniu wartości, które w świecie Zachodu spychano na margines jako nieprzystające do nowej rzeczywistości. Postępowi ideolodzy z zakłopotaniem milczą, skupiając się na tej części lewicowej ideologii, która akurat tu ma zastosowanie. Czyli potępianiu wojny czy wielkorosyjskiego nacjonalizmu. Największy szok oczywiście ten dysonans poznawczy wywołał w Niemczech, w kraju, który najmocniej uwierzył w „koniec historii" pozwalający już jedynie martwić się o los topniejących lodowców i uznania dziesiątek rodzajów płci. To, co pokazują migawki telewizyjne z Ukrainy, jest bezceremonialnym przypomnieniem, jak wszelka tego typu utopia zderzyć się może z brutalną agresją wyrosłą na nieskompromitowanym do końca komunizmie sowieckim.

ODDECH DLA PREMIERA – POLE DLA PREZYDENTA

Mateusz Morawiecki czuje się w tej kryzysowej sytuacji całkiem dobrze. Konflikt na Ukrainie odciągnął uwagę od niedoskonałości Polskiego Ładu. W dramatycznej sytuacji ostatnich tygodni rząd działa bardzo sprawnie, bo kryzys na granicy z Białorusią był dla polskich służb doskonałym sprawdzianem przed obecnymi wyzwaniami. Morawiecki wykorzystuje też swoje coraz większe doświadczenie dyplomatyczne, które pozwala mu całkiem swobodnie kontaktować się z przywódcami Europy. Tym bardziej że zmiana na stanowisku szefa dyplomacji, która wyniosła prof. Zbigniewa Raua, okazała się znacznym wzmocnieniem skuteczności polskiej polityki zagranicznej.

Dodatkowo konflikt na Ukrainie pozwolił prezydentowi Andrzejowi Dudzie powrócić do swojej roli rozgrywającego w relacjach z Waszyngtonem. Oczywiście ma to konsekwencje w obozie Zjednoczonej Prawicy. Znów wyraźnie dochodzi do głosu polityka łagodzenia konfliktów wewnętrznych, co w praktyce oznaczało np. weto prezydenta wobec ustawy oświatowej ministra Przemysława Czarnka. Pozwala to też przewidywać, że premier Morawiecki przeforsuje jakąś ugodę z Brukselą w sprawie cofnięcia części reform wymiaru sprawiedliwości. Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry to nie zachwyci, ale w chwili, gdy kwestia bezpieczeństwa Polski jest paląca, duża część wyborców PiS jest gotowa zaakceptować takie osłabienie pryncypialności ideowej.

Pytanie: Jak długo trwać będzie polityczny Pax et Treuga Dei? Donald Tusk, który wyjątkowo wrażliwy jest na wypominanie mu jego osobistych prób resetu relacji z Putinem z lat 2007–2014, nie ma dziś najłatwiejszej pozycji. Dlatego woli przybierać ugodowy ton: „Kto chce podzielić Polaków, ten działa na szkodę całego naszego społeczeństwa. Mówię o dojrzałej jedności w sprawach fundamentalnych, jak przyszłość Polski czy pomoc Ukrainie. Za tę jedność odpowiadają opozycja i rząd, i inni uczestnicy życia politycznego w Polsce. Wszystkie opinie i czyny muszą być nakierowane na jeden cel: bezpieczeństwa Polek i Polaków". Wszystko wskazuje na to, że w tej nowej aurze bez większych kontrowersji zostanie uchwalona Ustawa o obronie ojczyzny.

W tę atmosferę wpisuje się też część obozu Zjednoczonej Prawicy. Kluby „Gazety Polskiej" odwołały swój coroczny wyjazd na Węgry. Oficjalnym powodem jest chęć zadbania o to, aby wszystkie pociągi służyły transportowi uchodźców i rannych z Ukrainy, ale faktycznie nie sposób zauważyć w tym wyraźnego sygnału dla Viktora Orbána, który nie zgadza się na to, by broń Zachodu docierała na Ukrainę poprzez Węgry. Poza tym rozejmem na linii prawica – lewica jest tylko część środowisk mających wyraźne uczulenie na Ukrainę, na czele ze znaną reżyserką Ewą Szakalicką, w tym nieuleczalnie prorosyjscy posłowie Konfederacji – Janusz Korwin-Mikke i Grzegorz Braun. W obozie zwolenników opozycji swoiste votum separatum już zdążył zgłosić Mariusz Janicki z „Polityki". Jak poucza opozycję: „Teraz w ramach wojennego uświęcania PiS mówi się, że trzeba rozliczanie Kaczyńskiego odłożyć, ale tylko »na razie«, do »lepszych czasów«, a potem się powróci do normalnej polityki. Reset polskiej polityki, jej wyzerowanie – mają być chwilowe, sytuacyjne. [...] PR-owcy partii Kaczyńskiego, słysząc to, muszą się zwijać ze śmiechu. W polityce nie ma czegoś takiego jak zawieszenie, a potem powrót do pierwotnego stanu. Wszystko się zmienia nieodwracalnie, nabiera nowej dynamiki. PiS jak zwykle na chłodno wykorzysta te wojenne wzruszenia, w ich cieniu będzie robił swoje".

Niezawodna Eliza Michalik idzie Janickiemu w sukurs, bijąc na alarm: „Nie bądźmy naiwni, nic się nie zmieniło. PiS to wciąż PiS. Napaść Rosji na Ukrainę nie zmieni postępowania ani celów PiS, choć z konieczności Partia Kaczyńskiego na jakiś czas zmieni retorykę".

PIS-OWSKA SOFT POWER

Wróćmy na chwilę do wywodu Mariusza Janickiego. Jego obawy, że atmosfera wywołana przez konflikt na Ukrainie może spowodować nową dynamikę polityczną, jest swoistym hołdem dla polityki Mateusza Morawieckiego. Wywalczył on dla siebie pozycję jednego z ważnych rozgrywających w Unii Europejskiej. Jeśli zażegna ostrą fazę kryzysu z Komisją Europejską, to opozycji osunie się spod nóg sporo politycznego gruntu. Przecież jeszcze nie tak dawno Donald Tusk chciał uczynić linią podziału w Polsce wybór: albo z Europą w Unii, albo z PiS ku polexitowi.

Konflikt Zachodu z Putinem na dłuższą metę będzie działał na rzecz ponownego uznawania przez Waszyngton, Paryż czy nawet Berlin, że rząd PiS trzeba traktować serio. Pytanie: Jak długo trwać będzie konflikt na Ukrainie? Jeśli Putin utrzyma się u władzy, to Polska stanie się krajem frontowym i siłą rzeczy jej pozycja będzie mocniejsza. Jeśli gospodarz Kremla przegra rozrywkę o Ukrainę, to może to oznaczać obalenie jego władzy i kolejną falę miłości Zachodu wobec Rosji.

Na razie Morawiecki zdobywa punkty za sprawne przeprowadzanie Polski przez kolejne kryzysy zagrażające jej bezpieczeństwu. Polacy obserwujący to, co się dzieje na ulicach Charkowa czy Kijowa, będą to doceniać. Sam fakt, że Polska stanie się hubem pomocy wojskowej i ekonomicznej z zachodu dla Ukrainy, wpłynie pozytywnie na polską gospodarkę. Akurat takie szanse Morawiecki umie wykorzystywać. A zahartowany kolejnymi kryzysami aparat rządowy nabiera doświadczenia i pewności siebie. O ile w wypadku Węgier dotychczasowa polityka flirtu Orbána z Moskwą może się rzucić cieniem na kampanię Fideszu, o tyle w wypadku PiS sprawne administrowanie w dzisiejszym niepewnym świecie może być najlepszą inwestycją w przyszły sukces wyborczy. I to jest wizja, której opozycja dzisiaj obawia się najbardziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Wojciech Golonka

Wszystkie kursy jakiejkolwiek formy ratownictwa uczą, że ratownik w pierwszej kolejności powinien zadbać o własne bezpieczeństwo. Pomaganie naszym wschodnim sąsiadom nie może odbiegać od tej reguły

Musimy pomagać z głową

Rosyjska agresja na Ukrainę wywołała w Polsce zrozumiałą burzę emocji, ta jednak bardzo szybko okazała się dla nas pewną psychologiczną pułapką, mogącą przesłaniać racjonalne myślenie. Oprócz słów potępienia agresji, ze strony dwóch głównych obozów politycznych w Polsce, rozpoczął się festiwal wzajemnych oskarżeń o ruski onucyzm, w którym na wszelki sposób, choćby absurdalny, doklejano przeciwnikom łatki agentów Putina współodpowiedzialnych za ten krwawy konflikt. I choć Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego sprawy najwyraźniej nie wzięła na poważnie – nie zatrzymano przecież nikogo w Polsce za wywołanie wojny na Ukrainie – niemniej już na początku konfliktu wzbudzano falę wzajemnej, ochoczej nienawiści, która przelała się przez media i media społecznościowe.

Był w tym zresztą pewien paradoks, bo jeśli brać te wszystkie oskarżenia na poważnie, to należałoby przyznać, że dwie główne partie w Polsce to wzajemnie zwalczające się stronnictwa Putina, którego Donald Tusk i Jarosław Kaczyński są żywymi wcieleniami. W tej atmosferze solennych inwektyw i oskarżeń pytania o kontekst wojny wykraczające poza infantylizm pokroju „Putin oszalał" czy „ruskie onuce", okazały się zakazane, zwłaszcza kwestia stawiania przez USA na ostrzu noża z Moskwą perspektywy przynależności Ukrainy do NATO.

NA KRAWĘDZI WOJNY

Tymczasem kontekst ten jest bardzo ważny (nie wspominając, że na początku lutego Pekin sformułował w tej sprawie stanowisko zbieżne z pozycją Moskwy, stając się de facto jej gwarantem): jeśli dotychczasowa euroatlantycka narracja brzmiała, że dążenia Ukrainy do członkostwa w NATO były rzeczą bezwzględnie niepodważalną, stanowisko to siłą rzeczy narzucało w obliczu wojny obowiązek solidarności NATO z Ukrainą, która nie ograniczałaby się do pomocy czysto humanitarnej. Mechanizm ten oraz narracja, że Polska będzie następnym celem Putina, w spirali emocji zaprowadziły Polskę aż na krawędź formalnego przystąpienia do tej nieformalnej wojny. Nie bez powodu w ubiegłym tygodniu sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg przyjechał studzić emocje nad Wisłą. Oświadczył, w obecności prezydenta Andrzeja Dudy, że NATO nie jest i nie będzie stroną tego konfliktu, co też potwierdził sam prezydent. Powinniśmy się jednak przyjrzeć, jak doszło do tego stanu rzeczy, aby w niedalekiej przyszłości nie doprowadzić do działań, które mogłyby zakończyć się katastrofą dla naszego bezpieczeństwa narodowego.

Otóż przełamaniu oporów państw zachodniej Europy wobec nałożenia na Rosję radykalnych sankcji towarzyszyła fala deklaracji dostarczenia Ukrainie uzbrojenia, które umożliwiłoby powstrzymanie rosyjskiej ofensywy. Skończyły się kpiny o niemieckich hełmach wysyłanych na Ukrainę w żółwim tempie, gdy 26 lutego wieczorem kanclerz Niemiec ogłosił dostarczenie naszym wschodnim sąsiadom tysiąc panzerfaustów nowej generacji oraz 500 stingerów, a zatem potężną dostawę podręcznej broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej dla ukraińskiej piechoty. Kanclerzowi wtórowała Holandia, obiecując 200 stingerów. Belgia oferowała 2 tys. karabinów maszynowych i przeszło 4 tys. ton paliwa, Czechy – karabiny maszynowe, snajperskie, pistolety, Dania – znów broń przeciwpancerną, Szwecja, zrywając ze swą tradycją neutralności – 5 tys. granatników jednorazowego użytku, ponad 100 tys. polowych racji żywnościowych, kamizelki kuloodporne, hełmy…

Kiedy światowe media rozpisywały się o zapowiadanych olbrzymich dostawach broni, 27 lutego w odpowiedzi na te kroki Władimir Putin ogłosił postawienie rosyjskich jednostek odstraszania nuklearnego w stan alarmowy.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Prezydent Andrzej Duda i sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg podczas spotkania w Polsce, 1 marca 2022 r. FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Najwyraźniej nie zrobił tym wrażenia na Komisji Europejskiej, skoro jeszcze tego samego dnia jej przewodnicząca zakomunikowała bezprecedensową decyzję, że Unia Europejska przeznaczy 450 mln euro na zakup broni i środków zaopatrzenia dla sąsiedniego państwa objętego wojną. Na konferencji prasowej wtórował jej odpowiedzialny za politykę zagraniczną Unii Josep Borrell, dziękując Polsce za to, że zgodziła się zostać „hubem logistycznym" dla całego tego sprzętu, co czyni z nas poniekąd zbiorcze zaplecze zaopatrzeniowe dla ukraińskiej armii, a zatem – potencjalny cel ataku.

SPRAWA MYŚLIWCÓW

Ryzyko to zostało wywindowane na znacznie wyższy poziom, kiedy 28 lutego ukraińskie siły powietrzne poinformowały o planowanym dostarczeniu na Ukrainę z Bułgarii, Polski i Słowacji 70 myśliwców bojowych MiG-29 i Su-25, z czego aż 28 z Polski. Co więcej, jak informował portal TVP Info, w zasadzie portal rządowej telewizji informacyjnej, „przekazano, że jeśli zajdzie taka konieczność, to myśliwce będą mogły stacjonować na polskich lotniskach, z których ukraińscy piloci będą wykonywać misje bojowe". Informacje te następnie z portalu usunięto i zmuszony był je dementować sam prezydent, bo – jak wskazywał m.in. dr Wojciech Szewko – w myśl zdefiniowanego przez rezolucję narodów zjednoczonych z 1974 r. pojęcia „agresji" podobny akt oznaczałby formalne przystąpienie do konfliktu zbrojnego za naszą wschodnią granicą.

Od tego czasu pojawiające się to tu, to tam wypowiedzi niektórych polityków próbują studzić wywołane wojenne nastroje, choć po podsycanej burzy emocji nie jest łatwo przekonać wszystkich, że w interesie Polski absolutnie nie leży narażanie się na przystąpienie do wojny na Ukrainie. Abstrahując od braku obecnie casus belli ze strony Polski w stosunku do Rosji, nikt w Europie na podobną wojnę w ogóle nie jest gotów, a zważywszy na formalny sojusz obronny Rosji z Chinami, ewentualny bezpośredni konflikt mocarstw nuklearnych z Rosją po prostu nie wchodzi w grę, jak dał do zrozumienia na konferencji prasowej 1 marca w Warszawie premier Boris Johnson, odpowiadając na pytanie, dlaczego NATO nie utworzy nad częścią Ukrainy „no fly zone" – lotniczej strefy zakazanej. Innymi słowy – w teoretycznym konflikcie z Rosją (i Białorusią) w dobie obecnej na naszym terytorium walczylibyśmy najprawdopodobniej sami. Co istotne, rozmawiająca z Johnsonem ukraińska dziennikarka Daria Kaleniuk argumentowała: „Obawiacie się, że ogłoszenie tej strefy doprowadzi do trzeciej wojny światowej, ale otwórzcie oczy, przecież trzecia wojna światowa już się toczy", na co brytyjski premier odparł, że trzecia wojna światowa to jest właśnie to, czego należy obecnie uniknąć.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale to pytanie Darii Kaleniuk wyraźnie wskazuje, że w interesie walczącej Ukrainy jest wciągnięcie nas do tego konfliktu zbrojnego jako strony walczącej. Do tego czynnika „podżegania" dochodzi wspomniana już podsycana atmosfera emocji przesłaniająca chłodne myślenie. Czytając różne przekazy i komentarze, można odnieść wrażenie, że dzięki sankcjom i bohaterskiej postawie ukraińskiej armii Moskwa jest już na kolanach, a prezydent Rosji lada dzień straci władze. Podobnie sporo komentatorów w porywie emocji neguje podstawowe prawa logiki, najpierw nazywając Putina szaleńcem, a następnie tłumacząc, że opcja atomowa to z jego strony tylko blef – bo przecież byłby to akt szalony z jego strony. Podobne sprzeczności raczej nie świadczą o trzeźwej ocenie sytuacji.

NA JAKĄ POMOC NAS STAĆ?

Tymczasem po pełnym entuzjazmu zrywie pomocy humanitarnej zaczyna się zderzenie z twardą rzeczywistością: ilu jeszcze uchodźców dotrze do Polski i jak długo trwający konflikt uniemożliwi im powrót do domu? Po dwunastu dniach wojny zbliżamy się już do miliona uchodźców przybyłych do Polski, co było pierwotnym minimalistycznym założeniem; obecnie mówi się o perspektywie pięciu, a w zagranicznej prasie – nawet siedmiu milionów uchodźców. Ma się rozumieć, że inne kraje europejskie przyjdą nam z pewną pomocą, a Komisja Europejska prawdopodobnie wygeneruje jakieś wspólne środki na przeciwdziałanie temu możliwie największemu kryzysowi humanitarnemu w Europie doby współczesnej.

Trzeba jednak pamiętać, że mamy obowiązek zadbać najpierw o własne bezpieczeństwo. Jeśli np. Ministerstwo Zdrowia zapowiada równouprawnienia i pełen dostęp uchodźców do publicznej służby zdrowia w Polsce, to ten hojny gest w praktyce oznacza kolejny zator w terminach zabiegów, dodatkowe koszty, które z punktu widzenia miesięcy i lat (bo przecież sporo osób życzy Rosjanom powtórki na Ukrainie wariantu afgańskiego czy czeczeńskiego, nie zdając sobie sprawy, że życzą Ukrainie wyniszczającej wojny, a nam gigantycznego kryzysu humanitarnego) mogą łącznie oznaczać niebotyczne wręcz wydatki, a także, co też trzeba brać pod uwagę, osiedlenie na stałe tych mas uchodźców w Polsce, które zaznają tu wyższego poziomu życia niż w ojczystym kraju, tworzących kilkumilionową mniejszość narodową.

Ostatni, w końcu, ważny element, który powinien skłonić do studzenia emocji, to spektakularne błędy obozu władzy w ostatnim czasie. Mieliśmy odtrąbiony sukces historycznych dotacji unijnych – zamrożonych na dobre, a przepychany w pośpiechu Polski Ład okazał się synonimem chaosu.

Rząd popełnia błędy natury merytorycznej (co tłumaczyłoby wspomnianą groźną zapowiedź wykorzystania polskich lotnisk przez ukraińskie myśliwce), a w perspektywie wygrania kolejnych wyborów będzie podejmował działania kierując się głównie sondażami, nie oglądając się zbytnio na wszystkie możliwe konsekwencje swoich ruchów, a tym bardziej nie na te, które możemy odczuć dopiero za jakiś czas.

Z tych wszystkich powodów, a wymieniłem ich tylko kilka, trzeba dążyć do przywrócenia myślenia w kategoriach prymatu bezpieczeństwa Polski: bezpieczeństwa zewnętrznego, wewnętrznego, a także ekonomicznego. Tego imperatywu nie mogą zagłuszyć żadne emocje i oskarżenia o ruski onucyzm – w obliczu tragicznej wojny rosyjsko-ukraińskiej pomagajmy, ale zawsze z głową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Pospolite ruszenie

Krzysztof Powolny i jego żona Dagmara z rodziną Isaienko z Charkowa (Taras, Ołena, Diana, Milena), której w Polsce udostępnili mieszkanie FOT. KRZYSZTOF POWOLNY

Łukasz Zboralski

Po wybuchu wojny na Ukrainie przy polskich granicach nie wyrosły obozy dla uchodźców. Bo Polacy spontanicznie ruszyli po nich sami i zabierają ich do własnych domów. Pomóc musi jednak cała UE – będzie na to 500 mln euro

Taras Isaienko jest z Charkowa. Z żoną Ołeną i córkami – Mileną i Dianą – mieli mieszkanie w wielkim bloku, przy stacji metra. Postsowiecki kompleks budynków w tym miejscu widziany z lotu ptaka układa się w wielkie litery CCCP. Taras prowadził tam mały spożywczy sklep. Oferował dobra z Zachodu. Ołena opiekowała się córką z niepełnosprawnością, dorabiała, wykonując manicure. Piętnastoletnia Diana uczyła się w rosyjskojęzycznej szkole średniej, a 20-letnia Milena studiowała na miejscowym uniwersytecie PR i komunikację oraz pracowała w administracji firmy IT.

W jednej chwili Rosjanie zniszczyli całe ich życie. Zaczęła się wojna. Codzienne ucieczki do metra, do schronu. – Do szóstej rano tam koczowaliśmy, a potem szybko do domu, umyć się i znów to samo – wspomina Ołena.

– Ja nie mogłem tam usiedzieć. A do obrony terytorialnej przyjmowali najpierw tylko tych, którzy mieli wojskowe przeszkolenie. Ja w wojsku nie byłem – mówi Taras. Nie usiedział. Nocami z innymi mężczyznami kanałami metra przenosili do centrum artykuły pierwszej potrzeby dla innych – głównie dla dzieci.

CENA PRZEŻYCIA

Po czterech dnia w schronie, gdy zamykano już nawet żelazne postsowieckie zasłony w obawie przed atakiem atomowym, nie wytrzymali. Rosyjskie czołgi były 3 km od nich. W domu zrobili głosowanie. Taras chciał zostać. Młodsza córka też. – Ja tam mam swoje życie, przyjaciół. Nie bałam się tak bardzo – przyznaje Diana. Starsza córka i żona optowały za wyjazdem. W końcu przekonały rodzinę.

Zostawili wszystko tak, jak stało. Mieszkanie, sklep. Królika oddali sąsiadom na przechowanie, kot powędrował z nimi. Wzięli jedną walizkę i małą torbę. Podstawowe rzeczy. Niewiele jedzenia. Na ostatni pociąg metra spóźnili się trzy minuty. – Na dworzec kolejowy pojechaliśmy taksówką – relacjonuje Taras. – Trasa, która kosztowała 12 zł, teraz kosztowała nas już ok. 330 zł. Trudno, trzeba było zapłacić.

Postanowili pociągiem dotrzeć do Lwowa. Tam wciąż było jeszcze bezpieczniej niż w Charkowie. – Podczas podróży w pociągu przez telefon dowiedzieliśmy się, że wynajem mieszkania na miesiąc we Lwowie kosztujący wcześniej ok. 2 tys. zł, obecnie kosztuje 26 tys. zł. No to już nie wiedzieliśmy, co zrobić – wspomina Taras. Wówczas inna podróżna przekonała ich, by jechali do Polski. Mówiła, że tam we wszystkim pomagają.

Na trasie mieszkańcy biednych ukraińskich wsi dzielili się z nimi tym, co mieli – przynosili przetwory, wodę, chleb. Drogi usiane były porzuconymi samochodami, w których zabrakło paliwa. Postanowili skierować się na przejście graniczne w miejscowości Uściłóg, które nie było jeszcze tak oblężone. Ostatni wydatek – taksówka z Włodzimierza na samą granicę.

POLACY DAJĄ, CO MOGĄ

Po przekroczeniu granicy byli zdumieni. Bo nagle wszystko nie okazywało się dramatycznie droższe, tylko… darmowe. – Podchodzili do nas wolontariusze i wszystko nam oferowali. Ubrania, jedzenie, i to nawet dla kota! Staliśmy i płakaliśmy – relacjonuje Ołena.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Inny Ukraińcy doradzili im, by jechać do Warszawy. Był transport, zabrali się. A tam czekał już na nich Krzysztof Powolny z Nowej Iwicznej.

– To była niedziela, wstałem rano i zobaczyłem, co się dzieje. To było poczucie bezsilności. A jak każdy chciałem coś jednak zrobić – opowiada „Do Rzeczy" pan Krzysztof. Zarejestrował się na facebookowych grupach, napisał, że może oddać puste mieszkanie. W końcu sam zobaczył informację o rodzinie, która zmierza do Warszawy. O godz. 4 w poniedziałek odebrał ich i zawiózł do siebie.

Dał rodzinie Isaienko nie tylko mieszkanie. Zabrał ich też od razu na zakupy. Mają jedzenie i ubrania. Wzbraniali się nawet przed tym, ale pan Krzysztof chciał to podarować. – Moja mama ze mną w ciąży w 1968 r. była w Czechosłowacji i uciekała do rodzinnej miejscowości. Wcześniej uciekała moja babcia przed Rosjanami – mówi Krzysztof Powolny. – Znam te historie i uważam, że kiedy mnie stać na taką pomoc, to mogę to zrobić. Będę ich utrzymywał. Nie muszą się martwić. Niech pomyślą, że to wakacje – deklaruje.

– Jesteśmy wdzięczni Krzysztofowi, jesteśmy wdzięczni wszystkim Polakom – mówi Taras. I prosi, żebym to napisał w artykule.

Krzysztof Powolny zrobił więcej. Pracując w branży stomatologicznej, zainteresował Polskie Towarzystwo Stomatologiczne, firmy PR i doprowadził do stworzenia strony Dentysciukrainie.pl, na której już dziś 350 gabinetów stomatologicznych oferuje uchodźcom darmową pomoc.

Takich historii są dziś w Polsce już tysiące, jeśli nie setki tysięcy. Pospolite ruszenie polskich serc samo jednak nie wystarczy. Do oddania tego tekstu do druku nasz kraj przyjął już ponad 600 tys. uchodźców przed wojną i każdego dnia przybywać będą następne dziesiątki tysięcy ludzi szukających miejsca, gdzie na ulicach nie trzeba przemykać się z duszą na ramieniu i oglądać trupów zabitych przez rosyjskie bomby.

Polskie państwo i instytucje zadziałały szybko i sprawnie. Uchodźcy mają prawo do bezpłatnego transportu publicznego, każdy potrzebujący pomocy medycznej też ją otrzymuje. Ministerstwo Zdrowia pracuje już nad przepisami, które umożliwią Ukraińcom korzystanie z opieki medycznej w podmiotach mających umowę z NFZ.

Z kolei minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg poinformowała już, że polski rynek pracy otworzy się szerzej na obywateli Ukrainy – będą mieli prawo do pracy u nas, a pracodawca tylko będzie powiadamiał urząd pracy o zatrudnieniu obywatela Ukrainy. Pojawiła się też deklaracja, że uchodźcy będą otrzymywać pieniądze na dzieci z programu „500+". Jednocześnie do tej pory nie przedstawiono żadnych wyliczeń, ile to w sumie miałoby kosztować i czy w ogóle polskich podatników będzie na to stać.

Taras Isaienko tunelami metra w Charkowie roznosił zaopatrzenie – głównie produkty dla dzieci FOT. TARAS ISAIENKO

Milena Isaienko w schronie w charkowskim metrze podczas alarmu FOT. TARAS ISAIENKO

Według szacunków nasz rynek pracy w ciągu kilku miesięcy może wchłonąć ok. 500 tys. pracowników z Ukrainy. A oni pracować chcą. Taras i Ołena Isaienko mówią, że jeśli będą musieli spędzić tu miesiąc czy trzy, to chcą szukać pracy, żeby móc się utrzymać. – Jeszcze na granicy córka Milena miała nadzieję, że jedziemy pewnie na tydzień, może dwa… – mówi Ołena. Teraz wiedzą, że ta wojna może szybko się nie skończyć. – Oczywiście, jeśli tylko będzie do czego wracać, to my wracamy do Charkowa – zastrzega Taras. Ale zaraz dodaje: – Tylko nie do Ukrainy, która będzie rosyjska. Ruskij mir to coś strasznego, my już wiemy, co to okupacja, mieliśmy niemiecką. Wtedy na pewno już nie pojedziemy do domu...

Sytuacja na rynku pracy nie będzie jednak prosta. Bo uchodźcy to głównie matki z dziećmi. Często z małymi dziećmi, wymagającymi opieki.

Wiadomo też, że nie damy rady przyjąć wszystkich uchodźców. A według ONZ tylko przez tydzień wojny Ukrainę opuściło w sumie milion ludzi. UE szacuje, że uchodźców będzie co najmniej 4 mln. To przekracza możliwości Polaków. Bo już wcześniej, po konfliktach w Donbasie, odebraliśmy falę imigracji zarobkowej właśnie z Ukrainy. Po latach się ustabilizowała i ok. 1,5–2 mln Ukraińców już od dawna u nas pracuje. Choć – co też należy zauważyć – część mężczyzn teraz wyjeżdża bronić własnej ojczyzny przed najeźdźcą. Ten odpływ pracowników dość poważnie dotyka już np. branżę transportową. Według Związku Pracodawców Transport i Logistyka Polska już nawet 30 proc. pracowników z Ukrainy wystąpiło o bezpłatne urlopy. A nawet z nimi za kierownicami branża miała jeszcze wciąż wakaty sięgające nawet 200 tys.

JAK POMOŻE UE?

Do gry musi wkroczyć cała UE. I chce to zrobić. Pod koniec ubiegłego tygodnia szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła podczas wizyty w Bukareszcie, że na pomoc dla uchodźców z Ukrainy przeznaczonych zostanie co najmniej 500 mln euro. Von der Leyen zakomunikowała też, że hub pomocy humanitarnej dla Ukrainy zostanie zorganizowany właśnie w Rumunii.

Oczywiste jest także, że część Ukraińców wjeżdżających do Polski podąża dalej. Mają rodziny, znajomych w innych krajach Unii. Z pewnością wielu z nich, układając swoje życie na nowo, przemyśli też warunki i zarobki na wschodzie i zachodzie. Komisja Europejska chce bowiem, by osoby uciekające przed rosyjską agresją otrzymywały na ternie Unii roczną ochronę. W praktyce sprowadza się to do takich samych mechanizmów, które zamierza wprowadzić Polska. Ukraińcy otrzymają zezwolenie na roczny pobyt oraz dostęp do edukacji i rynków pracy we wszystkich krajach wspólnoty. Będzie to też oznaczało dostęp do pomocy społecznej i pomocy medycznej.

Tymczasem – i muszą mieć tego świadomość wszyscy – gospodarcza wojna z Rosją, choć nieunikniona ze względu na bezpieczeństwo, dotknie każdego z nas finansowo. Pomoc innym wymagać będzie od nas już tylko coraz większych wyrzeczeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Broń na trudne czasy

Łukasz Warzecha

To dziś niezwykle prawdziwe: Polska musi być na tyle silna, by poradzić sobie choćby w początkowej fazie napaści. Tego nie zapewnią PR-owskie posunięcia, ale porządny, ponadpartyjny plan

W obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę nie ma wątpliwości, że – niezależnie od finału wojny – obronność będzie jednym z najważniejszych tematów najbliższych lat. Dla niektórych krajów – tak jak Niemiec, gdzie Bundeswehra od dawna jest w kiepskim stanie – to nowość. Kanclerz Olaf Scholz zapowiedział nowe zakupy i wzrost budżetu na wojsko do 2 proc. PKB, czyli poziomu od dawna rekomendowanego państwom NATO, ale przez Berlin nieosiąganego.

W Polsce koncentracja na obronności nie jest nowa, a 2 proc. PKB wydajemy na wojsko kolejny rok. W aktualnym budżecie MON dostał blisko 60 mld zł. Sprawy nabiorą teraz tempa w związku z przesłanym do Sejmu projektem Ustawy o obronie ojczyzny. I tu zaczynają się schody.

WOT TO SIŁA

Pierwsza kwestia to ustalenie, w jakim właściwie stanie jest polska armia. Wątpliwości co do jej zdolności i możliwego do zmobilizowania stanu pojawiły się już podczas kryzysu imigracyjnego na granicy z Białorusią. Kwestia druga to założenia ustawy o obronie ojczyzny, zakładające m.in. dwukrotne powiększenie stanu osobowego polskiego wojska, a także sam sposób prac nad projektem. Kwestia ostatnia to tocząca się niezależnie dyskusja o tym, w kierunku którego modelu powinniśmy iść i czy warto na przykład – o czym wspominał niedawno były minister obrony Antoni Macierewicz – przywrócić obowiązkowy powszechny pobór.

Ustalenie stanu polskiej armii nie jest łatwe, bo nawet eksperci często różnią się w ocenach. Są jednak pewne kluczowe punkty – w większości te słabe – które nie budzą wątpliwości.

W rankingu Global Firepower – jednym z najbardziej prestiżowych tego typu – Polska znalazła się na relatywnie wysokim 24. miejscu na 140 klasyfi-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. MICHAŁ FLUDRA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

kowanych krajów (pierwsze są USA, druga – Rosja, ostatni – leżący u podnóża Himalajów malutki Bhutan). Co ciekawe, Ukraina została sklasyfikowana o dwa miejsca wyżej od Polski.

Indeks wskazuje mocne i słabe punkty każdej armii, lecz również dotyczące krytycznej infrastruktury (drogi, koleje, porty). Jako nasze mocne punkty wskazano m.in. wojska specjalne, helikoptery szturmowe, artylerię samobieżną, czołgi czy myśliwce. Słabymi punktami są z kolei niszczyciele, artyleria czy helikoptery transportowe. Indeks pokazuje jako najbliższe nam pod względem zdolności armie tajwańską, wietnamską i właśnie ukraińską.

Teoretycznie rzecz biorąc, nie wygląda to tak źle. Jednak indeks jest tylko swego rodzaju zabawą i w zbyt małym stopniu bierze pod uwagę choćby jakość sprzętu. Na przykład dobra pozycja Polski, gdy idzie o helikoptery szturmowe, jest złudna, bo wszystkie nasze ciężkie helikoptery bojowe to posowieckie Mi-24. Nie mamy nic nowszego, wyprodukowanego na Zachodzie.

Oto lista naszych problemów. Pierwsza sprawa to stany osobowe jednostek zdolnych do walki i to właśnie wywołało ferment w czasie operacji zabezpieczania wschodniej granicy. Strzegło jej ok. 15 tys. żołnierzy, zaczęły się jednak pojawiać pytania, czy mogłoby się ich w razie potrzeby pojawić wielu więcej, a to z powodu niedostatecznego skompletowania jednostek. Na ten problem w rozmowie z „Do Rzeczy" wskazuje też Juliusz Sabak z serwisu Defence24, tłumacząc, że stany te częściowo uzupełniają żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, przechodzący do służby zawodowej, ale to z kolei nieco opóźnia dojście do zakładanej liczby 50 tys. żołnierzy WOT. Ten pułap miał być osiągnięty już na koniec ubiegłego roku. Na razie jest jednak tylko 32 tys. żołnierzy.

Inna sprawa, że wojna na Ukrainie prawdopodobnie ostatecznie zakończy dyskusję o przydatności tej formacji (w Polsce jest to odrębny rodzaj wojsk, obok armii lądowej, lotnictwa, marynarki i wojsk specjalnych). Ukraińcy swoją obronę terytorialną wzorowali bowiem właśnie na WOT i – jak widać – sprawdza się ona naprawdę dobrze. Oczywiście to również kwestia sprzętu i uzbrojenia, jakim dysponują żołnierze. Jak tłumaczy gen. Roman Polko, nowoczesne uzbrojenie, które otrzymały te wojska, budziło, owszem, zazdrość, może nawet zawiść innych rodzajów wojsk. Lecz był w tym świadomy zamysł. W WOT służą ludzie, którzy na co dzień pracują w swoich zawodach, często technicznych, i posiadają wiedzę wystarczającą, żeby szybko opanować nawet zaawansowane systemy. Służba w WOT musi być dla nich szczególnie atrakcyjna, bo motywacją nie jest tam sama praca czy zarobki, jak to jest nierzadko w przypadku zawodowych żołnierzy, ale – poza chęcią obrony kraju – również chęć zdobycia nowych umiejętności. Nie można takich ludzi z pasją – tłumaczy Polko – wyposażać w stary, zużyty sprzęt, bo to ich zniechęci. Przy okazji Polko chwali WOT za motywację właśnie. Jego zdaniem to prawdopodobnie najbardziej pełen zapału rodzaj polskich sił zbrojnych – a to na wojnie ma znaczenie, co także pokazuje konflikt ukraiński.

REZERWIŚCI I STARY SPRZĘT

Bardzo niepokojąco brzmiały informacje zawarte w raporcie, do którego w połowie lutego – niemal tuż przed wybuchem wojny – dotarło Radio Zet. Raport o zdolnościach polskiej armii, stworzony kilka lat temu przez ówczesnego urzędnika MON za czasów Antoniego Macierewicza, brzmiał bardzo pesymistycznie. Wskazywał m.in., że spośród 13 brygad operacyjnych tylko jedna może skompletować więcej niż 90 proc. stanu, dwie – trochę ponad 70 proc., a reszta – ok. 40 proc. Zatem do walki były wówczas zdolne jedynie trzy brygady.

Problemem są tutaj rezerwy, których Polska praktycznie nie posiada. Wskazuje też na to indeks Global Firepower. Mowa oczywiście o rezerwistach przeszkolonych, a nie osobach zdolnych do służby. Tych ostatnich mamy ok. 15 mln, ale to w praktyce cywile, których udział w konflikcie nie na wiele by się zdał. Obowiązkowy pobór został w Polsce zakończony w 2008 r. Według raportu przeciętny rezerwista po ukończeniu zasadniczej służby wojskowej był na szkoleniu tylko raz.

Raport wskazywał także na bardzo zaawansowany wiek sprzętu mimo trwającej od lat – w niektórych przypadkach ślimaczącej się – modernizacji naszych sił zbrojnych. Polska ma teoretycznie dużą liczbę czołgów, ponad 800, ale zdecydowana większość z nich, według raportu – ponad 70 proc., to sprzęt posowiecki. Juliusz Sabak dodaje, że wiele z nich w ogóle nie było modernizowanych, a niektóre T-72 przeszły tylko kosmetyczne unowocześnienia. Również 70 proc. sięga odsetek posowieckich wozów bojowych piechoty.

Dodatkowym problemem, na który wskazuje ekspert, jest różnorodność parku maszynowego. Obok sprzętu postsowieckiego są leopardy z Niemiec, a mają być amerykańskie abramsy, ale to już sprzęt w standardzie NATO, co oznacza, że potrzebuje innego rodzaju amunicji niż ten odziedziczony po PRL. Niektórzy eksperci kwestionują zresztą zapowiedziany zakup amerykańskich maszyn, wskazując, że taka różnorodność bardzo utrudni utrzymanie polskiej broni pancernej w gotowości. Jednak – argumentuje gen. Polko – jeśli nasz kraj kupi

eprasa.pl 7c5b88ceb9

amerykańskie czołgi, to ułatwi nam to współpracę z naszym największym sojusznikiem, zakładając, że stacjonowałyby tu na stałe jego siły pancerne (czego wykluczyć nie można).

Kolejnym słabym punktem, którego znaczenie widzimy podczas wojny rosyjsko-ukraińskiej, jest obrona przeciwlotnicza. Jednym głosem mówią tutaj pytani przez „Do Rzeczy" Sabak i gen. Roman Polko. Kluczowy program OPL średniego zasięgu „Wisła", oparty na amerykańskich rakietach Patriot, został podzielony na etapy. W tym roku ma do Polski trafić pierwsza jego bateria. W 2023 r. – druga. Gorzej jest z OPL krótkiego zasięgu (program „Narew"), bo – zgodnie z zapowiedziami MON – dopiero w tym roku mają się zacząć prace nad umowami wykonawczymi systemu. Tymczasem bez OPL jesteśmy w dużej mierze bezbronni. Wrogie lotnictwo i rakiety, w tym złowrogie rosyjskie iskandery stacjonujące w obwodzie kaliningradzkim, a mające zasięg 500 km i rozwijające ogromną prędkość do 7 tys. km/h, likwidowałyby łatwo nasze siły lądowe, zwłaszcza pancerne. Iskanderom będzie w stanie przeciwstawić się dopiero „Wisła".

Patrząc na Ukrainę, podziwiamy skuteczność systemu Javelin, skutecznie radzącego sobie z rosyjskimi czołgami, ale Polska armia lądowa takiej broni nie posiada. Przeciągają się bowiem prace nad polskim systemem Pirat. Posiadamy natomiast zaledwie ok. 260 wyrzutni pocisków Spike-LR. Za to javeliny w liczbie 60 sztuk trafiły w ubiegłym roku do WOT.

Nieco lepiej jest, gdy idzie o drony. Ten trend w uzbrojeniu był swego czasu mocno krytykowany przez PiS z przyczyn głównie politycznych, gdyż wielkim zwolennikiem wyposażenia polskiego wojska w ten rodzaj sprzętu był gen. Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego u prezydenta Bronisława Komorowskiego. Dziś perspektywa jest inna, a armia bez dronów jest zwyczajnie kulawa. Oczywiście drony mają różne funkcje i zastosowania. Te, które wykonują znakomitą robotę na Ukrainie, to UCAV (Unmanned Combat Aerial Vehicle, czyli bezzałogowy powietrzny statek bojowy) produkcji tureckiej, Bayraktar TB2. Ciche i skuteczne, nadlatują nad cel i są w stanie zniszczyć go bombą lub pociskiem.

Dobra nowina jest taka, że również Polska już wkrótce ma otrzymać identyczne bayraktary. Powinny dotrzeć do nas w tym roku. Będzie ich 24 i mają być wyposażone w pociski przeciwpancerne.

MARYNARKA NA DNIE

Naszą wielką piętą achillesową jest szczególnie kosztowna sfera obronności: Marynarka Wojenna. Posiadamy dwie fregaty – byłe amerykańskie okręty zwodowane pod koniec lat 70., dwie korwety, w tym zwodowany w 2019 r. ORP „Ślązak", trzy okręty rakietowe z lat 90., zaledwie jeden działający okręt podwodny i 21 okrętów stawiaczy lub niszczycieli min. Zresztą samo MON przyznaje, że zdolności Marynarki są wystarczające tylko w tej ostatniej dziedzinie.

Szczególnie bolesna jest kwestia okrętu podwodnego. ORP „Orzeł" ma już swoje lata (zwodowano go w 1985 r.) i prześladują go niezliczone problemy. W maju ubiegłego roku skandal wywołał opublikowany w mediach list załogi „Orła", która pisała o jego opłakanym stanie technicznym, co jej zdaniem powodowało, że okręt miewał problemy z wynurzaniem się. A to może się skończyć tragedią. ORP „Orzeł" jest więc w praktyce niesprawny. Tymczasem nowe dwa okręty typu Orka mają trafić do polskiej marynarki dopiero w 2034 r. Być może do tego czasu Polska pozyska używane okręty podwodne, najpewniej ze Szwecji.

Jako problem Sabak z Defence24 wskazuje również system łączności. Nowoczesny, cyfrowy mechanizm w polskim wojsku jest, ale niestety nie obejmuje całości armii. Jest – jak to określa Sabak – wyspowy, a to oznacza, że w niektórych miejscach pojawia się konieczność przejścia z przekazu cyfrowego na analogowy. W warunkach pola walki wydłuża to komunikację, bo informacje trzeba po prostu ręcznie gdzieś wpisać czy nanieść na mapę.

Wreszcie polska armia ma problem ze spójnością zamówień. Symbolem jest politycznie przecież motywowana rezygnacja przez rząd PiS z francuskich śmigłowców Caracal, których do tej pory nic nie zastąpiło. Brak nowoczesnych śmigłowców, szturmowych czy transportowych – poza małą liczbą amerykańskich Black Hawk w dyspozycji Wojsk Specjalnych – to jedna ze słabych stron polskiej armii.

Owszem, powołano kilka lat temu do życia Agencję Uzbrojenia, zajmującą się właśnie zakupami dla wojska. Problem w tym, że jest to struktura podporządkowana całkowicie MON, więc niezapewniająca ciągłości przy zmianach politycznych. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, żeby tego typu ciało miało status podobnie niezależny jak konstytucyjne organy cieszące się niezawisłością – w końcu nie może to być państwo w państwie. Są jednak rozwiązania. Juliusz Sabak wskazuje, że w Niemczech decyzje dotyczące zakupów dla wojska muszą przejść przez komisję obrony, w której konieczna jest akceptacja wszystkich sił politycznych, a więc żadna z nich nie może się potem migać od odpowiedzialności albo twierdzić, że jakiś program zbrojeniowy nie był skutkiem jej decyzji.

EKSPRESOWA USTAWA

Czy zatem lekarstwem na niedostatki naszego wojska będzie Ustawa o obronie ojczyzny? W tej sprawie panuje spory sceptycyzm. Przede wszystkim dlatego, że ustawa sprawia wrażenie klasycznej roboty prawodawczej w wykonaniu obecnego obozu władzy: ogromny akt prawny (521 stron, z tego aż 447 samych przepisów – reszta to uzasadnienie, 804 artykuły, zmiany dotyczące 14 innych aktów prawnych) przekazano do konsultacji na niecały miesiąc. Dziś jest już w Sejmie, a zgodnie z planami miałby wejść w życie już w lipcu. A może nawet szybciej, bo na to mogą wskazywać zapowiedzi polityków PiS.

Motywacja jest czysto PR-owska – pokazanie, że robi się coś w dziedzinie obronności, gdy na wschód od nas trwa wojna – ale skutki mogą być opłakane. Tak jak to się stało z przygotowanym również na chybcika Polskim Ładem. Tak gigantycznej ustawy nie da się po prostu dobrze przygotować w tak krótkim czasie. Projekt powinien być dokładnie przeanalizowany w czasie znacznie dłuższych konsultacji przez ekspertów i prawników, żeby uniknąć wpadek, niespójności, absurdów, które mogą się przecież odbić na naszym bezpieczeństwie.

W dodatku, jeśli ustawa ma być rodzajem strategicznego szkieletu dla polskiej obronności na lata, nie może być procedowana tak samo jak mająca zapewnić szybką popularkę nowelizacja Kodeksu drogowego o rozszerzeniu pierwszeństwa pieszych na pasach. Tego typu akt powinien zdecydowanie zdobyć ponadpartyjne poparcie, a na to również trzeba czasu. Można założyć, że

eprasa.pl 7c5b88ceb9

takie poparcie by się znalazło, bo przecież wszystkie siły polityczne są pod presją wojny, choć nie byłoby przecież bezwarunkowe.

Najczęstsze zastrzeżenia dotyczące ustawy – podzielają je gen. Polko i Juliusz Sabak – to kwestia finansowania opisanej w ustawie reformy sił zbrojnych. Dodatkowe pieniądze, które pozwolą w 2024 r. zwiększyć poziom finansowania do 2,5 proc. PKB (czyli ponad rekomendowany przez NATO próg), mają pochodzić ze specjalnie utworzonego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych przy Banku Gospodarstwa Krajowego. To dziwna konstrukcja – nie bardzo wiadomo, dlaczego po prostu nie zostanie zwiększone finansowanie z budżetu. Chyba że znów chodzi o to, aby tę część wydatków wyjąć poza kontrolę parlamentarną, bo taka jest natura funduszy celowych.

Drugi kontrowersyjny punkt to dwukrotne zwiększenie liczebności polskiej armii – do 300 tys. osób (z tego 50 tys. z WOT). Problem w tym, że od samego wzrostu liczebności wojska armia na współczesnym polu walki nie stanie się silniejsza. Ci ludzie muszą mieć przede wszystkim sprzęt, w przeciwnym wypadku staną się bezużytecznym mięsem armatnim. Wydaje się jednak, że decyzja o zwiększeniu liczby żołnierzy została podjęta bez takiej kalkulacji i jest obliczona na wywołanie wrażenia, niewiele więcej.

POBÓR NIE WRÓCI

Ciekawe rozwiązania przewidziano natomiast, gdy idzie o karierę w wojsku, która będzie mogła przebiegać kilkoma ścieżkami. Nie ma mowy o powrocie do obowiązkowego powszechnego poboru – i to dobrze, bo nie ma sensu wcielać dzisiaj do wojska ludzi, którzy nie chcą w nim być. Uzasadnienie, że to „szkoła męskości", możemy miłosiernie pominąć. W nowoczesnej armii, gdzie coraz bardziej liczą się wysokie kwalifikacje i wiedza specjalistyczna, powinni się znaleźć ludzie zmotywowani i dość rozgarnięci, żeby poradzić sobie ze współczesnym sprzętem, a nie rozżaleni, że kazano im na ileś miesięcy zostawić dom i pracę. Można też założyć, że znajdzie się wystarczająco wielu ochotników – przymusowy pobór nie jest więc potrzebny.

Będzie natomiast dobrowolna zasadnicza służba wojskowa, trwająca miesiąc, a po niej 11 miesięcy szkolenia specjalistycznego. Kto będzie chciał, ten będzie mógł potem trafić do wojska jako zawodowiec, kto zaś postanowi na tym swoją przygodę z wojskiem zakończyć, ten zostanie wykwalifikowanym rezerwistą. Ta grupa podzielona będzie na pasywną służbę rezerwową – osoby, które nie złożyły przysięgi albo nie są zainteresowane dalszą służbą – oraz aktywną – ci, którzy przysięgę złożyli i chcą być członkami aktywnej rezerwy. W ten sposób zapełniana będzie powoli dziura kadrowa braku rezerw. Roman Polko chwali takie rozwiązanie, mówiąc, że wzorowane jest na amerykańskim przebiegu kariery wojskowej, dającym elastyczne możliwości.

Wiele osób odwołuje się dzisiaj do rzymskiego powiedzenia „Si vis pacem, para bellum" (Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny), ale ono ma naprawdę sens w obecnej sytuacji. Polska w razie napaści musi sobie poradzić sama przynajmniej na początku, tak aby dać sojusznikom czas na sprowadzenie swoich sił i rozlokowanie ich w teatrze wojny. Najlepiej zaś samemu posiadać armię na tyle skuteczną i sprawną, żeby ewentualnego agresora odstraszyć i przekonać, że atak na nasz kraj byłby dla niego nieopłacalny.

Żeby jednak to osiągnąć, trzeba spełnić dwa warunki. Po pierwsze – nie robić niczego tylko dla efektu i bez głębokiej analizy. Po drugie – pogodzić się z tym, że projekt musi być ponadpartyjny, nawet gdyby to oznaczało głębokie kompromisy. W przeciwnym wypadku jest duża szansa, że po zmianie władzy cała wielka koncepcja wyląduje w koszu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Porównanie sił militarnych Polski i Rosji

Mocne punkty polskiej armii:
- Wojska Obrony Terytorialnej
- okręty minerskie
- liczba czołgów

Słabe punkty polskiej armii:
- Marynarka Wojenna (poza okrętami minerskimi)
- przestarzałe czołgi
- obrona przeciwlotnicza

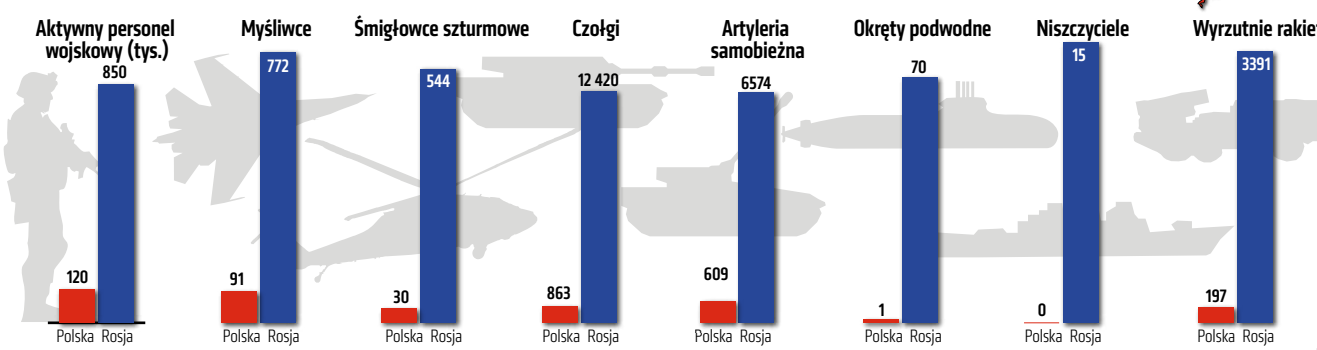

Źródło: Global Firepower

RYS. PEGAZ

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Z Romualdem Szeremietiewem, byłym ministrem obrony narodowej
rozmawia Karol Gac

Trzeba przywrócić pobór do wojska

KAROL GAC: Panie profesorze, jak pan ocenia obecny stan polskiej armii?

ROMUALD SZEREMIETIEW: Jeśli odnieść się do tego, co można znaleźć w mediach popierających opozycję „totalną", to dominuje tam czarny obraz naszego wojska. To, co podają Onet, „Gazeta Wyborcza" czy „Rzeczpospolita", wskazuje, że Wojsko Polskie to marna armia. Tymczasem trzeba spojrzeć obiektywnie i dostrzegając słabości, należy zauważyć, co jest wprowadzane. Mamy sporo sprzętu posowieckiego, ale wszystkie armie mają w użyciu starsze uzbrojenie. Ma ono zastosowanie m.in. do szkolenia, a może też posłużyć w boju.

Niedawno Radio Zet opublikowało raport urzędnika MON, który opierając się m.in. na wynikach kontroli NIK, stwierdził, że „gotowość bojowa i mobilizacyjna Sił Zbrojnych RP nie istnieje", a „nasze siły zbrojne nie są zdolne do przeprowadzenia nawet niewielkiej operacji obronnej". MON odniosło się do niego krytycznie, ale pojawiły się także głosy, że stan armii jest gorszy niż w oficjalnych przekazach. Jak pan na to patrzy?

Podejrzliwie traktuję rewelacje „anonimowych" urzędników, polityków, ekspertów, które nie muszą być prawdziwe, a w najlepszym razie są pewnego rodzaju spekulacjami. Nie twierdzę, że w naszej armii jest wszystko w porządku i to najnowocześniejsza armia świata. Chcę jednak obiektywnie oceniać sytuację. Wojsko w III Rzeczypospolitej nigdy nie miało lekko, bo polityków decydujących o obronności albo ono nie interesowało, albo podejmowano różne reformy, które szkodziły, zamiast pomóc. Myślę zwłaszcza o zawieszeniu poboru i przejściu na armię zawodową za rządów PO-PSL. W tym obszarze widoczna zmiana nastąpiła dopiero po objęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę. W MON pojawili się politycy, którzy faktycznie byli zainteresowani stanem armii, i ruszyły zmiany w wojsku. To nie tylko wielkie zakupy uzbrojenia, które działają na wyobraźnię, lecz także te drobne – wyposażenie żołnierzy w broń strzelecką, środki łączności, rozpoznania. Wojsko to nie tylko najbardziej zaawansowane technologicznie systemy, lecz także różne „drobiazgi", które sprawiają, że żołnierz może skutecznie działać na polu bitewnym.

Są też wyraźne kierunki, gdzie WP ma coraz mocniejszą pozycję. Wskazałbym na artylerię, w tym lufową, jak armatohaubice Krab czy moździerze samobieżne Rak, a także rakietowe zestawy Langusta, do czego dojdą systemy artylerii rakietowej HIMARS. Także nasze F-16 są uzbrajane w rakiety manewrujące. Siła uderzeniowa tych broni będzie rosła, a już dziś jest naprawdę poważna. Gorzej wypada obrona przeciwlotnicza – rakiety Patriot jeszcze do nas nie dotarły, ale mamy już na uzbrojeniu własne zestawy rakietowe Piorun, które są w tej chwili najnowocześniejsze w tym rodzaju na świecie. Zarówno pioruny, jak i gromy przekazaliśmy Ukraińcom i niedługo zobaczymy, jak bardzo są skuteczne. Przypomnę tylko, że zestawy Grom dostarczone Gruzji zapisały na swoje konto 90 proc. zestrzelonych przez Gruzinów rosyjskich samolotów i śmigłowców. Wspomnijmy, że mamy

eprasa.pl 7c5b88ceb9

nowoczesne, wszechstronnie wyszkolone wojska specjalne. Martwi mnie stan naszej Marynarki Wojennej, ponieważ jeden ORP „Miecznik" nie poprawi wiele. No i sprawa ciągle nierozwiązana w skali całych sił zbrojnych – odbudowa rezerw kadrowych dla potrzeb mobilizacyjnych.

Zakupów w ostatnim czasie rzeczywiście było sporo – herculesy, tureckie drony czy 250 amerykańskich abramsów. Ponadto część ekspertów wskazuje, że nie ma spójnego planu, a same zakupy są wypadkową wielu czynników...

Mam pewien problem z odpowiedzią na takie pytanie. W przeszłości byłem ministrem i wiceministrem obrony w latach 1997–2001 odpowiadającym za techniczną modernizację armii. Mam ocenić celowość zakupów dokonywanych teraz, gdy zaangażowaliśmy się bardzo mocno po stronie Ukrainy, dostarczamy tam broń, a dodatkowo będziemy logistycznym hubem dla walczącej armii ukraińskiej? Moja opinia na temat naszych zakupów, jeśli będzie krytyczna, to osłabi wizerunek naszej armii, a jeśli będzie pozytywna, to zostanie zakwalifikowana jako propaganda sukcesu. Z tych powodów nie powinienem wypowiadać się na taki temat.

Zapytam zatem o kwestię rezerwy, którą pan poruszył. Generał Roman Polko w wywiadzie dla „Do Rzeczy" powiedział, że to ona wygrywa wojnę. Tymczasem w latach 2016–2019 średnio w roku szkoliło się zaledwie kilka procent rezerwistów. Co w takim razie z przeszkoleniem Polaków?

Obywatele powinni być przeszkoleni wojskowo. To powinno być oczywiste! Procedowana jest w Sejmie ustawa o obronie ojczyzny, która porusza m.in. kwestię mobilizacji i szkolenia obywateli. Myślę, że jeśli odpowiednie rozwiązania zostaną wprowadzone, to zaczniemy odzyskiwać zdolności mobilizacyjne w zakresie rezerwy. To niezwykle potrzebne i konieczne. MON chyba wreszcie zdaje sobie sprawę z wagi tego problemu. Tyle tylko że zawieszono pobór i nie ma obowiązkowej służby wojskowej, a przeszkolenie większej liczby ludzi będzie bardzo trudne, ponieważ nie można mieć wielu rezerwistów bez poboru do wojska. A politycy obawiają się przywrócenia poboru, ponieważ sądzą, że wówczas stracą poparcie wyborców.

A pana zdaniem powinien zostać przywrócony?

Tak, to oczywiste. Zresztą kilka krajów europejskich, jak np. Szwecja czy Litwa, już go przywróciło.

Ustawa o obronie ojczyzny ma też umożliwić m.in. zwiększenie liczby żołnierzy do ok. 300 tys. To słuszny kierunek?

Nie jestem zwolennikiem popularnego wśród polityków poglądu, że „armia powinna być mniejsza, ale nowocześniejsza". Jakość armii, jej uzbrojenia i wyszkolenie żołnierzy mają oczywiście ogromne znaczenie, ale ma je także liczebność wojska. Mamy wojnę na Ukrainie i widzimy, że ważne jest nie tylko manewrowanie, lecz także obecność wojskowa we wszystkich miejscach, gdzie wdziera się nieprzyjaciel, aby nie miał zbyt dużej swobody. Jeżeli żołnierzy będzie za mało, to nawet najlepiej wyszkoleni zawodowcy nie rozdwoją się i nie obsadzą obronnie terytorium. Liczebność wojska jest zatem ważna i dobrze, że polska armia będzie miała 300 tys. żołnierzy. A myśląc o powszechnej obronie, warto też zadać pytanie, co dalej m.in. z dostępem do broni dla obywateli.

No właśnie, co? Siły Zbrojne to jeden obszar, ale widać wyraźnie, choćby po walkach na Ukrainie, że dobrze uzbrojeni i przeszkoleni obywatele są również niezwykle istotni.

Nam jest potrzebny zakorzeniony w społeczeństwie system obrony państwa, a nie system, w którym rolę odgrywa mała armia zawodowa. Profesjonaliści wojskowi są potrzebni i na nich się wszystko opiera, ale społeczne zakorzenienie systemu obronnego jest moim zdaniem warunkiem koniecznym skutecznej obrony. Na Ukrainie zgłaszają się ochotnicy, którzy następnie otrzymują broń. Mam nadzieję, że wnioski z tego konfliktu zostaną wyciągnięte również w Polsce i będziemy do tego inaczej podchodzić niż do tej pory. Polacy zostali de facto pozbawieni przeszkolenia wojskowego, a dodatkowo jesteśmy narodem, który ma najmniej broni. Jesteśmy pod tym względem w Europie na samym dnie.

Zwłaszcza że jeśli społeczeństwo jest przeszkolone i uzbrojone, to potencjalny atak będzie agresora kosztował o wiele więcej.

Bezwzględnie. Na Ukrainie wykonano tę ciężką pracę. Szacuje się, że ok. 300 tys. Ukraińców ma doświadczenie bojowe po wojnie w Donbasie. Ci ludzie zgłaszają się teraz, pobierają broń i idą walczyć.

Może odpowiedzią na to, co pan postuluje, są Wojska Obrony Terytorialnej?

Tak. Byłem zwolennikiem budowania obrony terytorialnej. Realizowałem nawet w 1999 r. pierwszy projekt utworzenia systemu OT, nie tylko samych wojsk OT, lecz także całego systemu. Mieliśmy szerokie plany, ale usunięto mnie z MON w 2001 r. i kolejni ministrowie nie poszli tym tropem. Ostatni cios brygadom OT zadał Bogdan Klich, który je po prostu zlikwidował. Powrót do sformowania WOT przez Zjednoczoną Prawicę był bardzo dobrym pomysłem. Cóż to jest bowiem OT? To nic innego niż obywatele, którzy mają dostęp do broni, potrafią walczyć i będą bronili miejsc swojego zamieszkania. Będą wszędzie stawiać opór agresorowi. Na Ukrainie widać, jaką ma to wartość.

W ostatnich latach wielu ekspertów wieszczyło, że wojny będą odbywać się już tylko w cyberprzestrzeni. Tymczasem na Ukrainie obserwujemy klasyczną wojnę. Czy pana zdaniem to otrzeźwi Zachód i jego spojrzenie na armię? Może niektórzy chcieli zbyt szybko odstąpić od klasycznego wojska?

Moim zdaniem nie otrzeźwi. Ta kwestia jest w rzeczywistości bardzo prosta. W razie wybuchu wojny agresor gromadzi siły, by mieć przewagę, i używa ich w masowy sposób, łamiąc opór broniących się. Na polu walki po dawnemu decydują materialna przewaga oraz wyszkolenie żołnierzy i zdolności dowódców. Jeśli na to nie zwróci się odpowiedniej uwagi, to żadnymi hybrydowymi sztuczkami nie rozwiąże się tego problemu.

Na koniec chciałbym zapytać o odbiór Wojska Polskiego w społeczeństwie. Czy nie jest tak, że pomimo różnic, a czasem i krytyki mundur żołnierza cieszy się niesłabnącym szacunkiem?

Zgadzam się. W polskiej tradycji i świadomości narodowej Polacy mają zakodowany szacunek do żołnierza i polskiego munduru. To, w jaki sposób formował się kod naszej armii, nadal obowiązuje. Kluczowe jest morale, bo wojsko zawsze czuje wsparcie społeczeństwa. Musimy więc jako naród dbać o umacnianie morale naszego wojska. Niewątpliwie zapisana na sztandarach wojskowych dewiza „Bóg, Honor, Ojczyzna" jest kluczem do właściwego morale w armii. Żołnierz polski musi mieć to w głowie i sercu, co potem przełoży się na zdolności bojowe całości Sił Zbrojnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Kronika

Jan Fiedorczuk

Polski Ład, który miał zmodernizować rodzimą gospodarkę, od tygodni jest łatany kolejnymi poprawkami. Sondaże dowodzą z kolei, że społeczeństwo nie rozumie i obawia się nowych rozwiązań. Kto odpowiada za to, że losy flagowego projektu PiS tak się potoczyły?

Z sondażu SW Research dla portalu rp.pl wynika, że półtora miesiąca po wejściu w życie sztandarowej reformy Zjednoczonej Prawicy ponad 50 proc. respondentów uważa, że jej dalsze wdrażanie powinno zostać zawieszone. Z kolei z badań United Surveys przeprowadzonych na zlecenie „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM na początku lutego możemy się dowiedzieć, że ponad 37 proc. Polaków twierdzi, że straciło na zmianach podatkowych.

Najciekawszy jednak wydaje się w tym względzie sondaż tej samej pracowni z połowy stycznia, w którym pytano Polaków nie o ocenę wielkiej reformy, ale o to, czy w ogóle zdają sobie sprawę, jak ich pensje się zmienią pod jej wpływem. Niemal 73 proc. badanych nie potrafiło odpowiedzieć na to pytanie, co jest dość dobrym odzwierciedleniem poczucia dezorientacji, które zapanowało wraz z wejściem w życie Polskiego Ładu. – Tak, zaczęło się nie najlepiej, jeśli idzie o podatki. To trzeba naprawić. Wyciągnięto już część konsekwencji personalnych, bo tutaj popełniono bardzo fundamentalne błędy – przyznał Jarosław Kaczyński pytany w Polskim Radiu 24 o pierwsze tygodnie obowiązywania Polskiego Ładu.

Jak jednak doszło do tego, że wielka reforma, w której rządzący pokładali takie nadzieje, okazała się niewypałem? I kto za to odpowiada?

KRĘTA DROGA DO POLSKIEGO ŁADU

Pierwsze doniesienia dotyczące nowej reformy gospodarczej zaczęły napływać do mediów pod koniec 2020 r., gdy premier Morawiecki zapowiedział projekt, który miał odpowiedzieć na potrzeby „wyłaniające się z pocovidowego obrazu". Nieco więcej informacji zaczęło pojawiać się z nastaniem 2021 r., a sam projekt funkcjonował wówczas jeszcze pod nazwą Nowy Polski Ład. – To nasz plan na czas po pandemii, w którym będą przedstawione przede wszystkim zamierzenia inwestycyjne i propozycje dotyczące wielu dziedzin życia społecznego i gospodarczego – zapowiadał wówczas szef rządu.

W połowie maja odbyła się konwencja Prawa i Sprawiedliwości, na której zaprezentowano ramowe założenia Polskiego Ładu. Największym echem odbiły się dwie zapowiedzi – kwota wolna od podatku podniesiona do 30 tys. zł oraz Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, czyli nowe świadczenie opiewające w sumie na 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko. Zapowiedzi były imponujące – projekt miał być nie tylko największą reformą podatkową w historii III RP, lecz także de facto przebudować całe życie społeczne. Wstępnie wyliczono, że Polski Ład pochłonie rocznie 72 mld zł (natomiast w nadchodzącej dekadzie planowano wydać łącznie ponad 651 mld zł).

Jednak w maju zaczęły napływać pierwsze niepokojące sygnały ze strony przedsiębiorców, których część przestra-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Po zamieszaniu wywołanym przez Polski Ład ze stanowiskiem musiał się pożegnać minister finansów Tadeusz Kościński (na zdjęciu z premierem Mateuszem Morawieckim)
FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

nieładu

szona nowymi reformami zaczęła rozważać przeniesienie biznesu za granicę. Do tych zapowiedzi odniósł się sam premier Morawiecki, który zapewnił, że dzięki Polskiemu Ładowi warunki dla przedsiębiorców będą w Polsce dużo atrakcyjniejsze niż te w Niemczech czy na Słowacji, a obciążenia będą dokładnie takie same jak w Czechach. – Ten ruch się po prostu nie opłaca – przekonywał. Również pierwsze sondaże po konwencji nie napawały optymizmem. Z badań pracowni IBRiS dla „Rzeczpospolitej" wynikało, że jedynie 14 proc. Polaków pozytywnie ocenia zapowiedzi Zjednoczonej Prawicy, podczas gdy zdecydowana większość podchodziła do niej albo w sposób obojętny, albo nie rozumiała prezentowanych zmian. Sondaż tej samej pracowni z czerwca dowodził, że również w wymiarze politycznym PiS de facto nic nie zyskuje.

Majowa konwencja była ważna jeszcze z jednego powodu – to wówczas deklarację programową dotyczącą Polskiego Ładu podpisali wszyscy trzej liderzy Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Gowin formalnie poparł wielką reformę premiera Morawieckiego, ale już kilka dni później zapowiedział, że do projektu zostaną wprowadzone zmiany dotyczące ulgi dla klasy średniej oraz rozwiązania sprzyjające przedsiębiorcom. Z kolei rzecznik Porozumienia Magdalena Sroka stwierdziła wprost, że proponowane przez PiS rozwiązania podatkowe są nie do zaakceptowania. Z każdym kolejnym tygodniem napięcie między koalicjantami wyraźnie rosło. Gdy kandydat opozycji Konrad Fijołek wygrał wybory prezydenckie w Rzeszowie, Jarosław Gowin niedwuznacznie sugerował, że czynnikiem, który zdecydował o porażce Zjednoczonej Prawicy, był właśnie Polski Ład.

– Atak na klasę średnią, podwyższanie podatków, centralizm zamiast samorządności i brak szacunku dla koalicjantów to utorowanie drogi do przejęcia władzy przez opozycję – podkreślał lider Porozumienia.

Jeszcze ostrzej do sprawy odniosła się wiceminister rozwoju Anna Kornecka, która stwierdziła, że rozwiązania z Polskiego Ładu „uderzają w ciężko pracującą klasę średnią, przedsiębiorców, lekarzy, kadrę zarządzającą, wykwalifikowanych specjalistów, samorządy, a w konsekwencji również każdego Polaka przez postępującą drożyznę". Kilka dni po tej wypowiedzi Kornecka została zdymisjonowana, a niedługo później ze stanowiskiem wicepremiera musiał pożegnać się Jarosław Gowin, który ostatecznie wystąpił ze Zjednoczonej Prawicy.

To nie były jedyne polityczne reperkusje Polskiego Ładu. W czerwcu z PiS wystąpiło troje posłów: Zbigniew Girzyński, Małgorzata Janowska i Arkadiusz Czartoryski. Jako oficjalny powód podali właśnie reformy gospodarcze. – To doprowadzi do tego, że w Polsce będzie dwóch pracodawców: państwo i wielkie międzynarodowe korporacje – mówił Girzyński, zarzucając rządzącym, że „zmierzają do zaprowadzenia socjalizmu" (ostatecznie jednak Janowska i Czartoryski przeszli do Partii Republikańskiej, tym samym wracając do klubu PiS).

OSTRZEŻENIA I POPRAWKI

Po zaprezentowaniu projektu ustawy 26 lipca Ministerstwo Finansów dało partnerom społecznym dwa tygodnie na konsultacje, aby po fali krytyki wydłużyć ten okres do 30 sierpnia.

Polityczne zawirowania oraz brak entuzjastycznego odzewu społeczeństwa nie zniechęciły jednak Zjednoczonej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Prawicy, a projekt Polskiego Ładu oficjalnie trafił do Sejmu (druk liczył niemal 700 stron) we wrześniu 2021 r., gdzie napotkał kolejne przeszkody – tym razem w postaci Biura Legislacyjnego Sejmu. „Podatkowe projekty ustaw wchodzących w skład Polskiego Ładu zawierają błędy językowe i interpunkcyjne, ale przede wszystkim w wielu miejscach są niespójne z już obowiązującymi przepisami" – wskazywano w ocenie reformy. Również Biuro Legislacyjne Senatu nie szczędziło krytyki, podając w wątpliwość, czy część zapisów Polskiego Ładu jest w ogóle konstytucyjna. Wskazując choćby na likwidację prawa osoby samotnie wychowującej dziecko do odliczenia od podatku kwoty w wysokości 1,5 tys. zł.

Podkreślono również, że te rewolucyjne zmiany zostały przegłosowane w ciągu zaledwie 13 dni, co z kolei daje podstawy do uznania, że ustawa została uchwalona „z naruszeniem proceduralnych standardów wynikających z zasady poprawnej legislacji". W podobnym tonie opinię wydało także Rządowe Centrum Legislacji, które przekazało, że tryb procedowania ustaw nie umożliwia profesjonalnej oceny proponowanych zmian. Z kolei rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek przyłączył się do powracających apeli przedsiębiorców oraz ekonomistów i ekspertów o wydłużone do 2023 r. vacatio legis. Bezskutecznie. Polski Ład został przegłosowany i trafił do Senatu, który to wprowadził 70 poprawek – posłowie większość odrzucili. Niemal od razu po podpisaniu ustawy przez prezydenta (który obecnie dystansuje się od reformy, domagając się jej „całkowitego przebudowania") posłowie zaczęli pracować nad jej poprawkami. Pierwsze korekty dotyczące rozliczania składki zdrowotnej wprowadzono, jeszcze zanim Polski Ład w ogóle opublikowano w Dzienniku Ustaw. Przed wejściem reformy w życie posłowie jeszcze kilkukrotnie ją poprawiali w pośpiechu.

ŁATKA NA ŁATCE

Prawdziwe problemy zaczęły się jednak dopiero po Nowym Roku, gdy reforma ostatecznie weszła w życie. Symbolem zamieszania związanego z podatkowymi zmianami stał się chaos w budżetówce, gdy okazało się, że setki tysięcy osób otrzymało niższe pensje. To wszystko przez słynny PIT-2 i rozróżnienie między ujęciem rocznym a systemem zaliczkowym, przez który znaczna część pracowników sektora publicznego została poszkodowana. Najgłośniej było o kwestii nauczycieli, ale podobne problemy dotknęły policjantów, górników, a nawet parlamentarzystów.

Jakkolwiek zapowiadany od miesięcy Polski Ład okazał się niekompatybilny z obowiązującym systemem podatkowym, same niższe pensje nie oznaczały jeszcze fiaska całego projektu. W końcu wszystkie te grupy otrzymają wyrównanie, a głównym problemem był brak komunikacji z obywatelami. W obozie rządzącym zaczęło jednak narastać przekonanie, że należy coś zrobić, aby przeciwdziałać wizerunkowej porażce. – Zaczęliśmy robić niezły bigos. Łatka na łatce. To jeszcze może byłoby do przeżycia, ale w styczniu pojawił się PIT-2 i nauczyciele, którzy zaczęli mówić, że oni tracą na Polskim Ładzie, i to podchwyciły media [...]. Narracja jednak poszła i pojawiła się panika – przyznał post factum Tadeusz Kościński w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

Premier zapewnił, że nikt zarabiający do 12,8 tys. zł nie będzie stratny na reformach, oraz zapowiedział pilne wdrożenie poprawek. Z kolei 7 stycznia minister Kościński wydał rozporządzenie w sprawie zmiany zasady naliczania zaliczki na podatek dochodowy, co miało skutkować tym, że osoby zarabiające do 12,8 tys. zł miesięcznie będą mieć naliczane składki według modelu z 2021 r. Kilka dni później Krajowa Izba Doradców Podatkowych wskazała jednak, że rozporządzenie jest niezgodne z aktami wyższego rzędu, a tym samym łamie prawo i jedynie potęguje chaos. – Jest sprzeczne z ustawą o podatku dochodowym i ordynacją podatkową, ponieważ nie można wydać tego typu rozporządzenia. Ono nie odracza terminu pobrania zaliczki, tylko zmienia obowiązek podatkowy – stwierdził prof. Adam Mariański, przewodniczący Krajowej Rady Doradców Podatkowych. Pod koniec stycznia Sejm przyjął ustawę zastępującą feralne rozporządzenie.

Coraz częściej zaczęły pobrzmiewać głosy, że wielkiej reformy nie da się naprawić i jedyne, co można zrobić, to ją wycofać

Z czasem zaczęło na wierzch wypływać coraz więcej mankamentów związanych z reformą, w związku z czym 24 stycznia premier powołał Artura Sobonia na funkcję wiceministra finansów. Głównym zadaniem polityka ma być opanowanie sytuacji w resorcie i możliwie płynne wdrożenie Polskiego Ładu.

Zapowiedzi premiera, które padły w następnych dniach, zgodnie z którymi obywatel będzie mógł sobie wybrać, według jakiego systemu podatkowego chce się rozliczać, zostały przyjęte przez ekspertów z niepokojem. – Tak się rozpada państwo. Do dualizmu systemu prawnego premier zapowiada dołożenie dualizmu systemu podatkowego – stwierdził Marcin Kędzierski z Klubu Jagiellońskiego. Sami urzędnicy skarbówki nie kryli obawy związanej z kolejnymi zmianami wdrażanymi w celu naprawy Polskiego Ładu. – Nie wyobrażam sobie, jak urzędy skarbowe będą to rozliczać i weryfikować. To jest w praktyce niemożliwe! Nasze systemy nie są na to przygotowane. Nasze kadry również. To grozi zapaścią – alarmowała Agata Jagodzińska, działaczka związkowa w Krajowej Administracji Skarbowej. Przedstawiciele Związkowej Alternatywy w skarbówce napisali nawet list do premiera, w którym przekonywali, że Polski Ład przelał czarę goryczy. „Rząd obciążył nas obowiązkami, których nie jesteśmy w stanie profesjonalnie realizować ze względu na niejednoznaczność i ciągłą zmienność przepisów" – podkreślali związkowcy, domagając się podwyżek i poprawy warunków pracy. W przeciwnym razie – grozili – dojdzie do strajku.

Ze względu na narastającą liczbę problemów coraz częściej zaczęły pobrzmiewać głosy, że wielkiej reformy po prostu nie da się naprawić i jedyne, co można zrobić, to wycofać ją i spróbować na spokojnie wprowadzić w przyszłym roku. Problem w tym, że to niemożliwe. Pomijając nawet konsekwencje gospodarczo-społeczne, których nie sposób odkręcić za pomocą rozporządzenia, nadal pozostaje aspekt prawny. Zmiany w prawie podatkowym mogą być dokonywane w ciągu roku wyłącznie, gdy są korzystne dla podatników, a to oznacza, że wycofanie Polskiego Ładu byłoby ewentualnie możliwe dopiero w 2023 r.

SZUKAJĄC WINNYCH

W tym też czasie, gdy zaczęły spływać pierwsze krytyczne reakcje pracowników budżetówki, zaczęto szukać osób

eprasa.pl 7c5b88ceb9

odpowiedzialnych za fiasko największej reformy w historii III RP. – Polski Ład nie miał szczęścia. Został natychmiast zaatakowany przez opozycję, czego się można było spodziewać. Ale atak wyszedł także z wewnątrz i to tę zewnętrzną krytykę bardzo uwiarygodniało – stwierdził Jarosław Kaczyński w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" na początku stycznia.

W pierwszej kolejności oskarżenia padły pod adresem księgowych, którzy mieli nie zrozumieć wdrażanych rozwiązań. – Jednym z powodów, dla których w niektórych miejscach mogło dojść do złego naliczenia, jest faktycznie błąd księgowego czy kadrowego, jeżeli chodzi o naliczenie z poziomu PIT-2 – stwierdził rzecznik rządu Piotr Müller. W tym samym tonie wypowiedział się wiceminister Dariusz Piontkowski, którego zdaniem księgowi „nie do końca zrozumieli, jakie są zasady nowego systemu podatkowego". Głos w sprawie zabrali w końcu sami zainteresowani. „Wielokrotnie apelowaliśmy o rozważne i stopniowe wprowadzanie nowych przepisów, z którymi jako pierwsi muszą zmierzyć się księgowi. Dotyczyło to również Polskiego Ładu, wprowadzającego w ekspresowym tempie rewolucyjne zmiany w zakresie podatków i ubezpieczenia zdrowotnego. Wiele z tych rozwiązań budzi wątpliwości interpretacyjne" – ripostowało Stowarzyszenie Księgowych w Polsce.

Ostatecznie ze stanowiskami musieli pożegnać się minister finansów Tadeusz Kościński, wiceminister Jan Sarnowski oraz dyrektor generalna resortu Renata Oszast. Sam Kościński podkreślał w następnych dniach, że bierze polityczną odpowiedzialność za całą sytuację, ale jednocześnie zapewniał, że Polski Ład to generalnie bardzo dobra reforma i 80 proc. podatników jest z niej zadowolonych, tylko ich się po prostu nie zaprasza do mediów.

Sam Jarosław Kaczyński w rozmowie z Polskim Radiem 24 stwierdził, że fundamentalnym błędem było powierzenie przygotowania Polskiego Ładu ludziom, którzy „byli całkowicie niezainteresowani tym, aby przedsięwzięcie się udało". Z tym, że prezes PiS od razu zaznaczył, że nie ma na myśli „młodych wiceministrów", czyli Piotra Patkowskiego oraz Jana Sarnowskiego.

– Mówię o tych, którzy to realnie przygotowywali, bo przecież to jest realnie przygotowywane przez departamenty, przez ludzi, którzy pełnią merytorycznie ważne funkcje, w tym wypadku w Ministerstwie Finansów. Bo błędy są takie, że część wynikała z braku wiedzy, z pomyłki, ale część jest tak oczywista, że wydaje się, że była tu i kwestia nie najlepszej woli – mówił Kaczyński. Kogo dokładnie miał na myśli, nie wiadomo, jednak strach padł przede wszystkim na urzędników resortu finansów, którzy poczuli się wywołani do tablicy. – Konsekwencje personalne zostały wyciągnięte. Jeśli trzeba będzie, to będą jeszcze dalej wyciągnięte – dodawał Mateusz Morawiecki.

Sytuacja jest o tyle kłopotliwa dla premiera Mateusza Morawieckiego, że to on od samego początku był twarzą Polskiego Ładu

Sytuacja jest o tyle kłopotliwa dla szefa rządu, że to on od samego początku był twarzą Polskiego Ładu. – Z całą pewnością jest to projekt autorski pana premiera, który przywiązywał wielką wagę do tego przedsięwzięcia – powiedział Zbigniew Ziobro podczas jednej z konferencji prasowych. – Z zaskoczeniem przyjęliśmy zamieszanie z początku roku związane z zaliczkami; zaplecze premiera mówiło, że wdrożenie pakietu reform podatkowych jest pieczołowicie przygotowane – mówił z kolei wiceminister sprawiedliwości Michał Woś. Również były minister Tadeusz Kościński w niedwuznaczny sposób obciąża szefa rządu odpowiedzialnością za prawny galimatias. W rozmowie z „Rzeczpospolitą" polityk wskazał, że sam wykonywał jedynie polecenia przełożonego i nie do niego należała merytoryczna ocena tychże rozkazów. – Naszym zleceniodawcą był głównie pan premier. A on zbierał wszystkie pomysły, które wychodziły z Nowogrodzkiej, z innych ministerstw i z różnych instytucji, na przykład Polskiego Instytutu Ekonomicznego – powiedział. Były minister jasno też wskazuje, że największą rolę w tworzeniu Polskiego Ładu odegrali wiceministrowie Jan Sarnowski i Piotr Patkowski oraz dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego Piotr Arak. To oni, jak przekonuje Kościński, „głównie pchali temat" reformy, gdyż mieli najwięcej kontaktów z rynkiem. Portal Money.pl donosił, że Polski Ład rodził się właśnie w Instytucie Araka, zanim przejęło go kierownictwo PiS. Jednak dyrektor placówki i jego współpracownicy oficjalnie podkreślają, że Instytut to think thank o charakterze doradczo-analitycznym i jego pracownicy nie pisali żadnych ustaw. Z kolei o udziale Patkowskiego i – zwłaszcza – Sarnowskiego w projektowaniu i wdrażaniu Polskiego Ładu mówią w nieoficjalnych rozmowach również inni politycy obozu rządzącego. Obaj wiceministrowie są kojarzeni ze środowiskiem premiera, a o ich wkładzie w kształt reformy pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Do Rzeczy". Również Jarosław Gowin przekazał, że – gdy jeszcze pełnił funkcję wicepremiera – to właśnie Sarnowski i Patkowski kontaktowali się z Porozumieniem w sprawie reformy podatkowej, podczas gdy sam Kościński bezpośrednio przy niej nie pracował. Jak niedawno informował portal Interia, Patkowski miał być odpowiedzialny za to, jak reforma wpłynie na finanse publiczne, podczas gdy Sarnowski zajmował się ustawami pod kątem użyteczności dla obywateli i dlatego też ostatecznie to on zapłacił stanowiskiem.

Od momentu rezygnacji Kościńskiego z funkcji ministra finansów PiS szuka jego następcy. Na razie bezskutecznie. Polski Ład to najambitniejsze przedsięwzięcie społeczno-gospodarcze w historii III RP i zdaje się, że nikt nie ma ochoty brać na swe barki odpowiedzialności za losy reformy. W ostatnich dniach media informowały o kolejnych potencjalnych kandydatach na fotel ministra, na razie jednak nic nie wskazuje na to, aby ktokolwiek zdecydował się podjąć misji uporządkowania sytuacji z Polskim Ładem, w związku z czym pracami resortu kieruje sam premier.

Jakie będą polityczne reperkusje Polskiego Ładu, na razie nie wiadomo. Rządzący z pewnością przyjęli z ulgą najnowsze sondaże, które dowodzą, że poparcie dla Zjednoczonej Prawicy nadal utrzymuje się na stabilnym poziomie ponad 30 proc. Z kolei z niedawnych badań IBRiS dla Onetu wynika, że gospodarcza reforma i towarzyszący jej chaos nie wpłynęły na sympatie partyjne zdecydowanej większości wyborców. Jedynie 5 proc. dotychczasowych zwolenników PiS miało pod jej wpływem zmienić dotychczasowe preferencje wyborcze. Tymczasem Jarosław Kaczyński zapowiedział, że rząd pracuje już nad kolejnymi poprawkami do Polskiego Ładu. Najnowsze korekty mają zostać wdrożone w przeciągu najbliższych dwóch–trzech miesięcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Dom, czyli

Agnieszka Niewińska

Choć liczba zachorowań na COVID systematycznie spada, to wiele firm utrzymuje pracę zdalną. 92 proc. badanych przedsiębiorców jest zadowolonych z efektywności pracowników

Katarzyna pracuje w jednej z warszawskich korporacji. Do pracy ma dwa kroki. I to dosłownie. Wystarczy, że z sypialni przejdzie do biurka ustawionego w salonie. – Od dwóch lat pracuję zdalnie. W biurze w tym czasie byłam najwyżej kilka razy, i to na chwilę. Ze współpracownikami się nie widuję. Rozmowy przy biurku zastąpiliśmy wymianą zdań na komunikatorze. To, co prawda, substytut spotkań osobistych, ale daje szansę na skonsultowanie jakiegoś problemu, podrzucenie pomysłu czy rozwiązania. Na razie nie wygląda na to, byśmy w najbliższym czasie wrócili do trybu pracy sprzed pandemii – opowiada. I dodaje: – Praca zdalna może być efektywna, oszczędza się czas na dojazd, ale potrzeba dużej samodyscypliny i dobrej organizacji.

DO BIURA W PORZE LUNCHU

Choć w 2020 r. tylko 8,9 proc. Polaków pracowało zdalnie (to poniżej średniej unijnej, która wynosi 12 proc., i daleko za liderem w tej dziedzinie, którym jest Finlandia – 25,1 proc.), to pracodawcy na pracę zdalną patrzą coraz łaskawszym okiem. Z danych przedstawionych w raporcie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości (PARP) „Aspekty pracy zdalnej z perspektywy pracownika, pracodawcy i gospodarki" wynika, że coraz więcej pracodawców przekonuje się do tego, by ich pracownicy wykonywali swoje obowiązki zawodowe z domu. Badania Pracodawców Rzeczypospolitej Polskiej wskazują, że przed pandemią negatywnie do pracy zdalnej było nastawionych 27,6 proc. przedsiębiorców. Po doświadczeniach z okresu pandemii już tylko 11,7 proc. Przytłaczająca większość badanych przedsiębiorców była zadowolona z efektywności pracy zdalnej. Aż 92 proc. oceniło ją jako dobrą lub bardzo dobrą. Docenili też zmniejszenie wydatków na podróże służbowe (81 proc. wskazań), 75 proc. pytanych zwróciło uwagę na zadowolenie pracowników ze zdalnego trybu pracy (badanie Antal i Corees Polska).

Czy „chodzenie do pracy" może stać się już tylko wspomnieniem? – Nie sądzę. Wiele branż w ogóle nie doświadczyło pracy zdalnej, części prac po prostu nie da się wykonywać z domu. Rozpowszechniony w pandemii home office dotyczy jedynie pewnego wycinka gospodarki – mówi dr Antoni Kolek, doradca Pracodawców RP. Zwraca jednak uwagę, że praca zdalna będzie wykorzystywana do podniesienia efektywności, lepszego wykorzystania czasu. – Jaki sens ma to, by dyrektor czy menedżer jechał rano w korku do biura, skoro może zacząć pracę zdalnie, a na spotkania w centrum miasta przemieścić się w godzinach lunchu? Dla firm praca zdalna to także możliwość zmniejszenia wydatków na powierzchnię biurową i przekazania jej na benefity dla pracujących zdalnie pracowników – wskazuje dr Kolek.

Większość pracowników pozytywnie ocenia doświadczenie pracy zdalnej. 84 proc. jest zadowolonych z tego, że nie musi dojeżdżać do pracy, 82 proc. pozytywnie ocenia komunikację z przełożonymi w czasie pracy poza biurem, a także ze współpracownikami (78 proc.). 73 proc. odpowiedziało, że dobrze lub bardzo dobrze ocenia swoje zadowolenie z pracy. Jednak pracownicy wskazują także na problemy związane z pracą zdalną: nie mają okazji poznać nowych osób dołączających do firmy (57 proc. wskazań), dostrzegają, że w firmach zamarło życie społeczne (54 proc.), 26 proc. wskazuje, że trudno jest o integrację i współpracę (Antal i Corees Polska).

Eksperci PARP w raporcie wskazują także na inne problemy pracujących zdalnie – nadgodziny, odbieranie służbowych telefonów i e-maili po godzinach pracy, wyższy poziom stresu i lęk, przyrost wagi, gorszą jakość snu. – Sama

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. ADOBE STOCK

tego doświadczyłam – mówi Katarzyna, pracująca zdalnie w warszawskiej korporacji. – W pierwszych miesiącach pracy zdalnej nie potrafiłam pogodzić jej z życiem prywatnym. Natłok spraw doprowadził do tego, że pracowałam przez cały dzień, stres spowodował poważne problemy ze snem. Wielokrotnie do służbowego komputera siadałam w środku nocy. Skończyło się na tym, że lekarz wysłał mnie na L4. Dopiero po powrocie ze zwolnienia się przeorganizowałam. Teraz wcześniej zaczynam pracę i trzymam się wyznaczonych godzin. Na popołudnie i wieczór organizuję sobie zajęcia, wychodzę z domu. Polubiłam pracę zdalną, ale nie miałabym nic przeciw bywaniu w biurze np. dwa razy w tygodni. Brakuje mi tego, że rano porządnie się ubieram, czeszę, maluję i wychodzę do pracy – opowiada.

ZDALNE NADGODZINY

Doktor Antoni Kolek wskazuje na potrzebę prawnego uregulowania pracy zdalnej. – W tej chwili pracujemy w ten sposób na podstawie ustawy covidowej. W związku z tym rząd nie spieszy się z przygotowaniem kompleksowych przepisów. Na razie wiele aspektów pracy zdalnej reguluje porozumieniem pracodawców z pracownikami. W okresie pandemii musieliśmy być elastyczni. Pracodawcy chcieliby jednak szczegółowych uregulowań. Przyjmijmy odpowiednie przepisy zawczasu, zanim zaskoczy nas kolejna fala czy lockdown – mówi dr Kolek. I wskazuje, że potrzebne są m.in. uregulowania dotyczące weryfikowania czasu pracy. – Potrzebujemy narzędzi, które pozwolą nam np. na sprawdzenie, czy pracownik rzeczywiście przepracował tyle nadgodzin, ile deklaruje. Szczegółowych uregulowań wymagają także kwestie higieny i bezpieczeństwa pracy czy kosztów np. prądu, jakie ponosi osoba pracująca zdalnie. Jak mamy zmierzyć to zużycie? Przydałyby się stawki ryczałtowe – wylicza doradca Pracodawców RP.

Minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg pod koniec lutego poinformowała, że trwają prace nad wpisaniem pracy zdalnej do Kodeksu pracy. – Jest szansa, że nowe przepisy będą wprowadzone jeszcze w tym półroczu – zapowiedziała Maląg, dodając, że na ich mocy przejście na pracę zdalną będzie mogło odbyć się zarówno na wniosek pracodawcy, jak i pracownika, a szczegóły jej wykonywania ma określać wewnętrzny regulamin pracodawcy. Pracownik będzie musiał wskazać pracodawcy miejsce, w którym będzie wykonywał pracę zdalną, a ten będzie mógł je skontrolować. – To oczywiście nie oznacza, że pracownik ma być do dyspozycji pracodawcy 24 godziny na dobę. Czas pracy będzie taki sam jak w przypadku pracy stacjonarnej – zaznaczyła minister. Pracodawca ma być również zobowiązany do pokrycia kosztów wykonywania pracy zdalnie.

PRACA I RODZINA

Wśród tych, którzy cenią sobie pracę zdalną, są rodzice. Pani Justyna od półtora roku pracuje zdalnie. – W tym czasie w biurze pojawiałam się dosłownie dwa–trzy razy, kiedy potrzebowałam pomocy w kwestii przyłączenia się do sieci firmowej. Początkowo było to trudne doświadczenie, zwłaszcza że wracałam do pracy po urlopie macierzyńskim. Ponad rok byłam w domu i cieszyłam się na samą myśl powrotu – opowiada. Dziś pozytywnie ocenia możliwość pracy zdalnej. – Pozwala mi łączyć pracę z życiem rodzinnym. Chociaż trudno jest być w stu procentach skupionym na pracy, gdy nadal tyle trzeba ogarnąć w domu. W pewnym momencie w mojej firmie pojawiła się możliwość rotacyjnej pracy w biurze przy założeniu, że razem może przebywać ze sobą do 30 proc. zespołu. Mało kto chciał z tego korzystać. Firma chciała też, żebyśmy wrócili do biura na trzy dni w tygodniu. Nie było dużego entuzjazmu, a że pojawiła się fala zachorowań na omikron, to temat ucichł.

Marlena Maląg już zapowiedziała, że w nowych przepisach ma się znaleźć zapis, według którego pracodawca nie będzie mógł odmówić pracy zdalnej m.in. kobietom w ciąży, rodzicom, którzy wychowują dziecko do czwartego roku życia albo opiekują się osobą z niepełnosprawnością. I wiele wskazuje na to, że grupy te chętnie będą korzystać z rewolucji, która dokonała się na rynku pracy przy okazji pandemii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Zuzanna Dąbrowska

Celebryci – hipokryci

Od udziału w „czarnych protestach" i postulowania prawa do zabijania niepełnosprawnych do fotografowania się z osobami z zespołem Downa i podkreślania ich potrzeby miłości. Hipokryzja polskich celebrytów nie przestaje zaskakiwać. Ale czego nie robi się dla pieniędzy?

W lutym premierę miał nowy program należącej do grupy TVN stacji TTV „Project Cupid". Grupa osób z niepełnosprawnościami – w spektrum autyzmu, mającymi zespół Downa lub Tourette'a – poszukuje drugiej połówki. W znalezieniu miłości pomagają im prowadzący – Barbara Kurdej-Szatan oraz Przemysław Kossakowski. „W Polsce z dodatkowym chromosomem żyje 60 tys. osób. Często są to ludzie ponadprzeciętnie uczuciowi i empatyczni, a posiadanie kogoś bliskiego ma dla nich niezwykle duże znaczenie" – mówi narrator w pierwszym odcinku formatu realizowanego na belgijskiej licencji. Idea wydaje się szczytna i godna pochwały (nawet jeśli nieco wypaczona, o czym później). Problem jednak leży w braku wiarygodności.

„Udział w tym projekcie jeszcze mocniej uświadomił mi, jak bardzo w naszym życiu, już od dziecka, miłość, akceptacja, tolerancja i uwaga są ważne. Niezbędne. Ma to największy wpływ na to, kim jesteśmy [...]. Wszyscy jesteśmy różni, ale równi!" – tak program na swoim Instagramie promuje Kurdej-Szatan. Wystarczy jednak przejrzeć jej konto, aby znaleźć zupełnie inny wpis, opatrzony charakterystyczną czerwoną błyskawicą: „TO JEST WOJNA!!! PROTESTUJEMY!!! Jestem całym sercem i myślami ze wszystkimi, którzy wyszli teraz na ulicę. Nie dajmy się tej bandzie!!! Będziemy walczyć". Celebrytka wielokrotnie wyrażała swoje wsparcie dla proaborcyjnych protestów, które wybuchły po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. Przypomnijmy: TK orzekł, że dokonywanie aborcji ze względu na

Barbara Kurdej-Szatan oraz Przemysław Kossakowski prowadzą w telewizji TTV program „Project Cupid" z udziałem osób w spektrum autyzmu, mającymi zespół Downa lub Tourette'a, ale to im nie przeszkadza opowiadać się za liberalizacją prawa aborcyjnego

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

eprasa.pl 7c5b88ceb9

wrodzoną wadę dziecka jest niezgodne z polską konstytucją. Odnosi się to także do dzieci z zespołem Downa. Czy w takim razie Barbara Kurdej-Szatan zmaga się z amnezją? A może po prostu cynicznie wykorzystuje osoby z niepełnosprawnościami do reperowania kariery nadszarpniętej po skandalicznym wpisie dotyczącym Straży Granicznej? Odpowiedź wydaje się narzucać sama i nie jest ona dla celebrytki korzystna.

MOŻESZ ŻYĆ, ALE...

Hipokryzja „blondynki od Playa" to jednak nie tylko „Project Cupid". Niedługo po deklaracji poparcia Strajku Kobiet gwiazda wzięła udział w koncercie kolęd jednej ze stacji telewizyjnych. Oczywiście nie zabrało emocjonalnego wpisu na Instagramie: „Niezwykłą atmosferę sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Mariańskim Porzeczu z 1699 r. możecie znów odczuć i pokolędować wspólnie […]. Cały kościół jest w zabytkowych malowidłach, robiących niesamowite wrażenie. Historia i piękno". W skrócie: ładny kościółek, fajna fotka, mam w nosie, o czym i gdzie śpiewam.

Drugi prowadzący randkowy show TTV, Przemysław Kossakowski, wypada nieco lepiej. Już wcześniej sprawdził się dość dobrze w roli gospodarza innego programu „Down the Road", w którym pełnił funkcję przewodnika osób z zespołem Downa. Z wieloma z nich udało mu się zaprzyjaźnić, nie tylko na potrzeby programu. „W »Projekt Cupid« osoby z niepełnosprawnościami dostały platformę do wypowiedzi, ale też szansę na przeżycie czegoś wyjątkowego. To ludzie, którzy na to zasługują" – stwierdza w mediach społecznościowych. Jednak i tutaj coś zgrzyta. Przecież jeszcze w październiku 2020 r. pisał: „Kobiety powinny mieć prawo wyboru. Strajk kobiet. Popieram". Rozdźwięk między medialnym wizerunkiem przyjaciela niepełnosprawnych a wspieraniem prawa do ich zabijania dobrze podsumował jeden z internautów: „Nie można być dla ludzi, będąc przeciwko ludziom... to tak nie działa". Kossakowski próbował się tłumaczyć, pisząc, że „każdy porządny człowiek powinien wspierać ludzi niepełnosprawnych i ich rodziny. Ale to nie oznacza, że mamy prawo zmuszać kobiety do rodzenia trwale i nieodwracalnie uszkodzonych płodów. Kobiety powinny mieć prawo wyboru". Problemem jest właśnie to „ale". Możesz żyć, ale kiedy jesteś chciany. Jeżeli nie, to sorry, ale tak już jest.

ROZDWOJENIE SUMIENIA

Jednak hipokryzję na zupełnie inny, kosmiczny wręcz poziom wyniosła „aktorka zaangażowana" Maja Ostaszewska. Zawsze pierwsza do udziału w proaborcyjnych happeningach i obrony „praw reprodukcyjnych kobiet" (i właściwie każdej akcji, która nosi jakiekolwiek znamiona sprzeciwu wobec obecnej władzy). Niedawno zaistniała jako aktywistka graniczna, rozpaczająca nad losem nielegalnych imigrantów, którzy próbują przedostać się do Europy Zachodniej. „Nikt nie zasługuje na śmierć w lesie" – podkreśla pani Maja. Ktoś złośliwy mógłby dodać: W lesie nie, ale w łonie matki już tak. Ostaszewska to także miłośniczka zwierząt. Broni karpi, zwierząt futerkowych i kur. Pewnego razu stwierdziła, że „znieczulica na cierpienie zwierząt jest prostą drogą do braku empatii wobec drugiego człowieka". Aktorka jest w stanie jednego dnia popierać aborcję ze względu na chorobę dziecka, a drugiego pouczać „nieświadomy zaścianek" o empatii. Coś w sposobie myślenia i systemie wartości aktorki mocno szwankuje. Podobnie jak jej koleżanki, Magdaleny Cieleckiej, także zwolenniczki aborcji. Wielkanocny wpis, w którym zaapelowała, abyśmy „w przedświątecznych przygotowaniach pomyśleli o jajkach i tym, skąd się biorą, z miłością i współczuciem. Malujmy pisanki tylko od szczęśliwych kur, będą pełne miłości", stał się internetowym memem. I śmieszno, i straszno.

Rozdwojenie sumienia w kwestii niepełnosprawności dotyczy nie tylko gwiazd ze świata show-biznesu. Prawdziwy festiwal hipokryzji możemy obserwować każdego 21 marca, kiedy to przypada Światowy Dzień Zespołu Downa. W absurdalnym i niesmacznym promowaniu samych siebie celują wtedy politycy partii lewicowych oraz liberalnych. Na rodzimym podwórku najbardziej jaskrawym przykładem totalnego zakłamania jest Robert Biedroń. Wielokrotnie mówił o konieczności liberalizacji przepisów aborcyjnych: 7 marca 2020 r., przed wyborami prezydenckimi, zadeklarował poparcie dla wprowadzania prawa do aborcji także po 12. tygodniu ciąży. Dokładnie dwa tygodnie później opublikował zdjęcie dwóch różnych skarpetek i napisał: „Dwie różne skarpetki? Tak – w geście solidarności z osobami z zespołem Downa. Też załóżcie dwie różne skarpetki i pokażcie, że jesteście z nimi!". Napisać, że Biedroń jest obłudnikiem, to nic nie napisać.

Polskim celebrytom, także tym politycznym, brakuje jednej, podstawowej refleksji: jeżeli osoby z niepełnosprawnością nie będą mogły się urodzić, to nic innego nie ma znaczenia. Bez podstawowego prawa, jakim jest prawo do życia, wszystkie inne prawa nie są im po prostu potrzebne. Pomoc w poszukiwaniu miłości, przyjaźni, realizacji marzeń podróżniczych czy aspiracji zawodowych nie będzie mogła być realizowana, jeżeli społeczeństwo nie zagwarantuje im najpierw prawa do tego, aby się narodzić. Bez niuansowania i światłocieni, bez „tak, ale" i bez „każdy ma prawo wyboru". To bardzo proste równanie. Politycy i wszelkiej maści ludzie „znani z tego, że są znani" traktują osoby niepełnosprawne jako poręczne rekwizyty. Do zdjęcia, do budowania swojego wizerunku i przede wszystkim do zarabiania pieniędzy. Oczywiście zakładając, że chore dziecko będzie miało szansę się wcześniej urodzić.

„Z KAMERĄ WŚRÓD..."

Abstrahując od dwulicowości światka show-biznesu, warto odnotować ciekawy głos w dyskusji wokół „Project Cupid", który można potraktować jako szerszą refleksję na temat ukazywania niepełnosprawności w przestrzeni medialnej. Ola Petrus, popularna stand-uperka i aktywistka, będąca osobą niskorosłą, krytycznie oceniła sam zamysł show. Zwraca uwagę, że osoby z trudnościami są traktowane przedmiotowo. Mają sprawić, że zdrowi poczują się lepiej i docenią swoje życie. – Przypomina mi to format typu „Z kamerą wśród...", bo brakuje tylko Krystyny Czubówny w roli narratora […]. Osoby z niepełnosprawnościami nie są od inspirowania. Czy chcielibyście, aby ktoś patrzył na was i myślał: »O rany, ona ma tak przes.ane, a tak daje sobie radę? To ja muszę docenić swoje życie!«. Fajnie, że się dowartościowujesz moim kosztem […]. Osoba z niepełnosprawnościami nie jest od tego, aby ci, którzy nie mają utrudnień, poczuli się lepiej" – stwierdza Petrus. I być może warto, aby producenci kolejnych programów w podobnej stylistyce wzięli tę opinię pod uwagę. I uważniej weryfikowali poglądy prowadzących.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Powrót szeregowca Iwana

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Kadr z filmu „Cyrulik syberyjski" Nikity Michałkowa FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Rosyjska kultura masowa ery Putina pokazywała jego wizję świata. Jej fundamenty to duma z imperializmu sowieckiego i carskiego, poczucie krzywdy doznanej rzekomo od Zachodu i kult munduru

Dzieje pobłażania Zachodu w działaniach wobec Rosji Władimira Putina to dzieje głupoty, fałszywych nadziei i zbrodniczych sentymentów (zwłaszcza w przypadku Niemiec), ale przede wszystkim to dzieje ślepoty. Stawiający dziś nerwowo pytania: „Dlaczego teraz?", „Czy rosyjski prezydent oszalał?", „Po co tam wojna?", prędzej czy później dochodzą do pytania: „Czy naprawdę Rosjanie wierzą w to, co mówi im Putin?". Stawiane jest ono zwykle ze sporą dozą niedowierzania. Odpowiedź, która zwykle pada – brak demokracji, brak wolnych mediów, represje, granie na imperialnej nucie – nie jest pełna. Dla ludzi obserwujących, jak na rozkaz Putina zmieniała się rosyjska popkultura, jasne jest, że był to jeden z kluczowych elementów budowy światopoglądu „nowego Rosjanina". Element barwny, efektowny, grający na emocjach i popychający odbiorcę kremlowskiej propagandy we właściwym kierunku.

Sygnały zwrotu ku retoryce imperialnej pojawiły się już przed epoką rządów Putina, co pokazuje, że wbrew twierdzeniom naiwnych Putin nie otumanił swoimi tezami Rosjan, lecz jedynie umiejętnie wpisał się w ich oczekiwania. Do końca życia będę pamiętał szok, w jakim opuściłem pałac festiwalowy w Cannes po prasowym pokazie filmu Nikity Michałkowa „Cyrulik syberyjski". Był maj roku 1999, Putin jeszcze nie znajdował się u władzy (ale ku niej kroczył – premierem miał zostać w sierpniu tegoż roku), ja zaś nie mogłem dojść do siebie po tym, co ujrzałem na ekranie.

ROSYJSKA DUSZA

Epicka produkcja Michałkowa była czymś więcej niż „ekscentryczną epiką", jak wyczytałem w jednej z zachodnich recenzji. Był to tak naprawdę wykład na temat wizji dziejów i przyszłych zagrożeń dla Rosji w wykonaniu bardzo wpływowej postaci rosyjskiej kultury. Nikita Michałkow to wszak syn słynnego poety sowieckiego Siergieja Michałkowa (twórcy słów hymnu Związku Sowieckiego), popularny twórca w czasach sowieckich, potem laureat Oscara za „Spalonych słońcem" (1995). W „Cyruliku syberyjskim" przedstawia nam tezy następujące: święta matka Rosja jest pod nieustannym naciskiem wrogich zachodnich sił, to znaczy modernizacji i mechanizacji. Symbolem tych sił jest polski wynalazca, którego machiny służą do wycinania rosyjskich lasów. Dusza rosyjska zagrożona jest zachodnią zgnilizną. Jedyny ratunek w armii (główny bohater to kadet carskiej armii) oraz w silnej władzy. Rolę cara Aleksandra III (jednej z bardziej ponurych postaci w nieciekawej galerii rosyjskich władców) zagrał Nikita Michałkow osobiście, pyszniąc się na wspaniałym rumaku, wśród entuzjastycznych okrzyków carskiej gwardii.

NOWY PRZEKAZ PROPAGANDY

„Cyrulik syberyjski" nie był w istocie filmem o przeszłości, lecz zapowiedzią bliskiej przyszłości. Władimir Putin u władzy błyskawicznie zaczął konstruować narrację historyczną, której ostatni (oby!) wykład usłyszeliśmy trzy tygodnie temu wraz z jego decyzją o uznaniu niepodległości tzw. samozwańczych republik ludowych na terenie Ukrainy. Nowa narracja oznaczała odwrót od rozrachunkowego kina rosyjskiego. W latach 90. XX w. (czasem też w pierwszych latach ery Putina) powstawały w Rosji filmy i seriale demaskujące czasy rządów Stalina, poruszające tematy tabu. Rosyjski widz dowiadywał się z ekranu o karnych batalionach armii sowieckiej rzucanych na front walki z Niemcami („Shtrafbat" Nikołaja Dostala), widział wreszcie prawdziwą twarz oficerów politycznych („Na bezimiennym wzgórzu" Wiaczesława Nikiforowa) albo emocjonował się losem nastolatków z marginesu szkolonych do walki z okupantem („Swołoczi" Aleksandra Atanesjana). Treść filmów szybko zaczęła się zmieniać, tak jak szybko, pod wodzą Putina, zmienił się przekaz propagandy kremlowskiej.

Oto filary tej działalności na małym i dużym ekranie. Po pierwsze, nieustannie należy odwoływać się do mitu wielkiej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

wojny ojczyźnianej. Nawet jeśli pojawiają się w nim delikatne wątki rewizjonistyczne (nierozsądne decyzje dowództwa, polityczne błędy i wypaczenia), to główny przekaz pozostaje bez zmian od czasów, kiedy powstawały wielkie wojenne kinowe epopeje czasów sowieckich: sowiecki żołnierz to heros, w pojedynkę zatrzyma przeważające siły wroga, szybciej umrze, niż się podda. Człowiek rosyjski różni się od żołnierza tylko tym, że chwilowo nie ma na sobie munduru, reszta bez zmian.

Istotną częścią propagandy w putinowskiej popkulturze jest zwalczanie chuliganów – podobnie jak to się działo za czasów sowieckich (w PRL obowiązywały identyczne wytyczne)

Ważna uwaga dotycząca miejsca Polski w tym wojennym wysiłku – otóż Polski w tych opowieściach brak. Hitlerowski atak w 1941 r. następuje z terytorium Niemiec (ani słowa, że to podbite polskie ziemie), sowiecka kontrofensywa 1944 r. to z kolei wyzwalanie ziem sowieckich. Kiedy żołnierze docierają do starych słupów granicznych na linii wyznaczonej przez pakt Hitler-Stalin, nikt nie wspomina o tym, że sami je tam stawiali ledwie kilka lat wcześniej, po zdradzieckim ataku na Polskę. W opowieściach o ostatnim roku walki z faszyzmem armia sowiecka płynnie przechodzi z terytorium „wyzwalanych ziem białoruskich" (czytaj: przedwojennej Polski) do walk o Berlin. O tym, że pośrodku, gdzieś między Mińskiem a Odrą, jest jeszcze jakiś inny kraj – ani słowa. Z jednym wyjątkiem: czasem pojawiają się wrogo nastawieni do wyzwolicieli malowani czarną kreską polscy chłopi lub nawet partyzanci (skąd się tam wzięli, skoro to rdzenna Białoruś?).

Kult sowieckiego i rosyjskiego żołnierza został rozciągnięty wstecz i zaczął obejmować także żołnierza carskiego. Tu również Michałkow z „Cyrulikiem syberyjskim" okazał się trendsetterem. Do grona postaci pozytywnych w filmach i serialach dołączył więc np. słynny carski admirał Kołczak, jeden z przywódców armii białych (film „Admirał" z roku 2008), tak jak do grona wielkich bohaterów rosyjskiej historii imperium Putina dołączył gen. Denikin. Putin nakazuje swym generałom czytać Denikina i wyciągać z tego wnioski, i to za czasów Putina prochy zmarłego w USA dowódcy zostały ściągnięte do Moskwy i uroczyście pochowane (Nikita Michałkow był gorącym orędownikiem tej uroczystości, tak jak wcześniej był wielkim orędownikiem drugiej wojny czeczeńskiej, wspierającym listami otwartymi i czynem reżim Putina).

BAŃKA PUTINA

Tu musimy na chwilę wyjść ze świata popkultury, by przejść do bańki historiozoficznej Putina. W niej carscy generałowie w służbie Imperium Rosyjskiego to postacie pozytywne. Carowie, którzy roztrwonili imperium, to postacie negatywne. Stalin jako twórca silnego państwa, którego bał się cały świat, jest postacią pozytywną. Lenin, jako autor koncepcji prawa do samostanowienia dla narodów imperium carskiego, jest postacią negatywną. Roztrwonił imperium i doprowadził do upokarzającego traktatu brzeskiego. Teraz wracamy do świata seriali – nawet czekista Andropow bywa przedstawiany jako postać pozytywna (twardą ręką trzymał kraj) w kontrze do ciamajdy Breżniewa.

Tu dochodzimy do kolejnej kwestii, w pełni zrozumiałej, gdy przypomnimy sobie długą karierę Putina w KGB. We współczesnych filmach i serialach rosyjskich czekista/kagebista/oficer FSB czy GRU to niemal bez wyjątku postać pozytywna. Prowadzi wojnę z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Ci pierwsi to oczywiście szpiedzy Zachodu, islamscy fanatycy (uwaga: islamscy znaczy czeczeńscy), gruzińscy nacjonaliści, którzy prześladują mniejszość rosyjską (film „Olympus Inferno"). Ci drudzy to przestępcy gospodarczy oraz oligarchowie, którzy rozkradają matkę Rosję. Bezpieka i wojsko współczesne, bezpieka i wojsko z przeszłości plus generałowie carskiej armii – wszyscy składają się na wizerunek czczonego w rosyjskiej popkulturze mocnego człowieka w mundurze, który z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi robi porządek.

À propos wrogów zewnętrznych i zgniłego Zachodu – niewiele w Polsce pisze się o ciekawym podgatunku rosyjskiej fantastyki, którym jest liberpunk – antyutopijne opowieści o zgubnych skutkach wprowadzenia w Rosji demokracji liberalnej, która oznacza dyktaturę politycznej poprawności, ekscesy LGBT, śmierć religii itp. Popularnością cieszą się także rozmaite powieści alternatywne, w których dzielni rosyjscy wojacy dają popalić całemu światu – a to wyprzedzają Hitlera i pierwsi atakują III Rzeszę, a to pancernymi zagonami dojeżdżają do Oceanu Indyjskiego.

Niektórzy zaskoczeni byli faktem nazwania przez Putina publicznie władz Ukrainy nie tylko „neonazistami" (Rosja wciąż „walczy z faszyzmem"), lecz także „narkomanami". Zaskoczenia być nie powinno, istotną częścią propagandy w putinowskiej popkulturze jest bowiem zwalczanie chuliganów – podobnie zresztą, jak to się działo za czasów sowieckich (w PRL obowiązywały identyczne wytyczne, przypomnijcie sobie niektóre komiksy o kpt. Żbiku). Istotne jest dopowiedzenie, kim są owi piętnowani dziś chuligani. Otóż porządnych rosyjskich chłopców zaciągających się do armii oraz nastawionych patriotycznie przeciwstawia się osobnikom, którzy są bumelantami, fascynują się zachodnimi produktami, unikają poboru i tak dalej. Doskonały przykład znajdziemy w jednym z ostatnich filmów Fiodora Bondarczuka („Przyciąganie", 2017), gdzie na tle intrygi science fiction o serce córki rosyjskiego pułkownika walczy żulik z blokowiska, postać na wskroś odrażająca, niebieski ptak, chuligan, uczestnik demonstracji ulicznych i tak dalej. Ważne uzupełnienie: uczestnictwo bohatera w jakichkolwiek demonstracjach czy pikietach przeciw dobrej rosyjskiej władzy jest w tych opowieściach ostatecznym dowodem degrengolady moralnej bohatera.

Istotnym elementem obrazkowej propagandy putinowskiej jest szybkość reagowania, bo odpowiednią interpretację bieżących wypadków należy do głów widzów wkładać jak najszybciej. Natychmiast po rosyjskiej inwazji na Gruzję w roku 2008 powstawały filmy o tym, jak gruziński agresor przygotowywał się do ataku na Rosję i prześladował bezbronną ludność (o jednym już wspomniałem: „Olympys Inferno"). Stłoczeni w piwnicy, uciekający przed gruzińskim ostrzałem cywile z nadzieją wpatrują się w smartfony – oglądają transmisję wystąpienia Putina, który obiecuje im ratunek. Jedna z największych klęsk i tragedii współczesnej armii rosyjskiej – bezmyślny szturm na Grozny w pierwszej wojnie czeczeńskiej – zaowocowała z kolei całym podgatunkiem filmów zamieniających głupotę rosyjskich dowód-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

ców w widowiska o heroizmie dobrych Rosjan stawiających czoła barbarzyńcom.

Flagowym filmem nurtu czeczeńskiego jest niesławny „Czyściec" (1997) rosyjskiego nacjonalistycznego deputowanego Aleksandra Niewzorowa. To dwugodzinna orgia krwawej przemocy, przypominająca tani horror. Opowiada o szturmie na Grozny w 1995 r. i pokazuje bohaterskich Rosjan masowo wyrzynanych przez sadystycznych Czeczenów. Punkt kulminacyjny to ukrzyżowanie przez czeczeńskie bestie okaleczonego rosyjskiego żołnierza. Film Niewzorowa to skrajny wykwit rosyjskiej nienawiści do Czeczenów. Jego mottem jest cytat z Psalmu 137: „Córo Babilonu, niszczycielko, szczęśliwy, kto ci odpłaci za zło, jakie nam wyrządziłaś! Szczęśliwy, kto schwyci i rozbije o skałę twoje dzieci".

Kolejne tytuły miały premierę już w czasach Putina, po krwawej pacyfikacji Czeczenii. Do niektórych wydarzeń wracano po wielekroć. „Atak" (2006) Witalija Łukina był na przykład trzecią (!) ekranizacją losów kompanii rosyjskich spadochroniarzy broniącej się w 2000 r. przed 2 tys. Czeczenów. Przeciwnik to nie tylko Czeczeni, głównie islamscy fanatycy (w tym snajperki), lecz także – uwaga, tropiciele rasizmu – czarnoskórzy najemnicy. Oczywiście o rosyjskich obozach koncentracyjnych dla ludności Kaukazu informacji brak.

Jestem przekonany, że już w tej chwili trwają prace nad dramatem wojennym pokazującym rzekome zbrodnie „judeobanderowców" z Kijowa oraz bohaterstwo rosyjskich żołnierzy „wyzwalających" w 2022 r. Ukrainę z rąk „narkomanów i neonazistów".

Siłą rzeczy mój wywód jest bardzo skrótowy, bo starczyłoby tego wszystkiego na osobną książkę. Praktykę rosyjskiej propagandy doskonale pokazał Siergiej Łoźnica w filmie „Donbas": spece z Moskwy inscenizują akty rzekomej agresji ze strony Ukraińców, gdy kamery się zatrzymują, statyści udający trupy wstają i otrzepują kurtki, amatorzy aktorzy, którzy przed chwilą wygłaszali łamiącym się głosem opowieści o doznanej krzywdzie, wracają do domów pod pierzynkę, zainkasowawszy wcześniej honorarium. Trafny to symbol. Reżim Putina to reżim bandyty i kłamcy, który sam czyni to wszystko, o co fałszywie oskarża innych.

Bańka informacyjna jest bardzo szczelna, a – co gorsza – w Rosji dorosło już całe pokolenie ludzi, którzy od kołyski nie znają żadnej innej wizji świata poza Putinowską. Rosjanie żyją w alternatywnej rzeczywistości. Nie wszyscy, ale większość z nich. Budowano ją pracowicie przez ostatnie dwie dekady. Jej symbolem jest przypomniany niedawno przez Grzegorza Górnego na portalu wPolityce teledysk z piosenką „Diadia Wowa, my s toboj". W nim wezwanie małoletnich wykonawców, by Amerykanom zabrać Alaskę, przed Ukrainą obronić Krym, nawet jeśli „bój to ostatni".

Z okazji polskiej premiery filmu Siergieja Bondarczuka „Dziewiąta kompania" napisałem w roku 2005 tekst „Szeregowiec Iwan" dla tygodnika „Wprost". Pisałem w nim o kinowym nowym rosyjskim żołnierzu: „Nie było go 15 lat. Wyjechał na wschód, razem z ostatnimi eszelonami radzieckich wojsk wycofujących się z Polski. Zostawił zrujnowane mieszkania w Legnicy, puste bunkry w Bornem Sulinowie, pasy startowe lotnisk, z których miały się wzbić bombowce niosące śmierć NATO. Dziś szeregowiec Iwan wraca do Polski – na kinowym ekranie i płytach DVD. Włosy ma wciąż pszeniczne, uśmiech zawadiacki i w służbie ojczyzny wykona każdą misję". Dziś jest to misja Ukraina. Nie byłoby jej, gdyby nie ślepota. Nie tylko polityków, lecz także tych, którzy przyglądając się kulturze masowej współczesnej Rosji, sądzili, że nie warto traktować jej poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POPOŁUDNIOWA
ROZMOWA
w RMF FM

18:02

NAJCIEKAWSZE WYWIADY NAJMOCNIEJSZE TEMATY

eprasa.pl 7c5b88ceb9

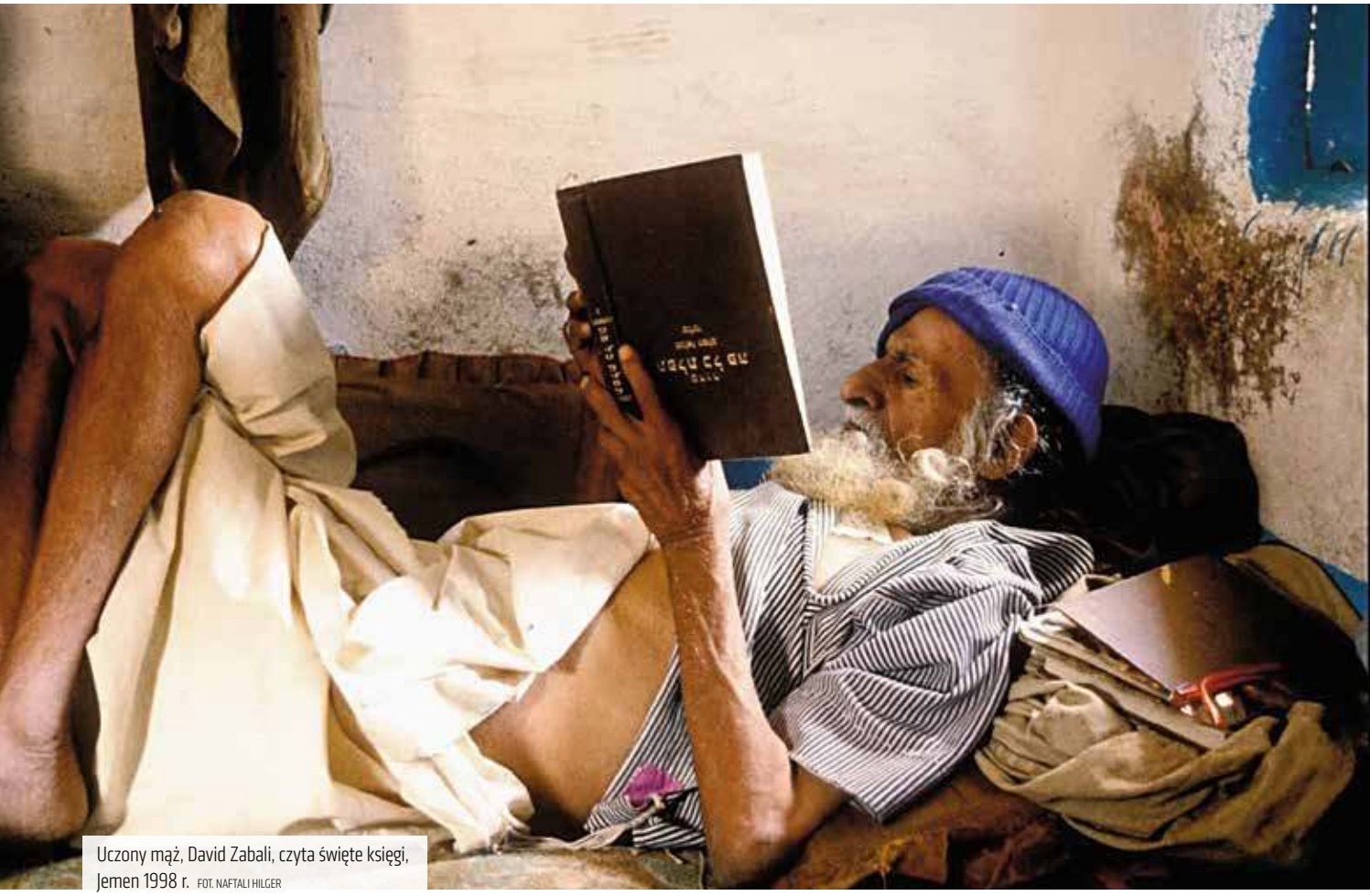

Uczony mąż, David Zabali, czyta święte księgi, Jemen 1998 r. FOT. NAFTALI HILGER

Menora w cieniu półksiężyca

Piotr Semka

Relacje świata islamu z judaizmem zdominowane są we współczesnej świadomości przez obraz walk na Zachodnim Brzegu Jordanu. Instytut Świata Arabskiego w Paryżu (IMA) postanowił spojrzeć na relacje między tymi dwiema kulturami w znacznie szerszym spojrzeniu historycznym. Wystawa „Żydzi Orientu" jest osobistą inicjatywą Jacka Langa, szefa Instytutu i niegdysiejszej gwiazdy francuskiej polityki

Ekspozycja jest uwieńczeniem swoistej trylogii wystawienniczej poświęconej wielkim religiom monoteistycznym. Rozpoczynała ten cykl wystawa „Hajj, pielgrzymowanie do Mekki" w 2014 r., a potem ekspozycja „Chrześcijanie Wschodu – 2000 lat historii" w 2017 r. Teraz otwarcie trzeciej wystawy o relacjach islamu i judaizmu swoją obecnością zaszczycił sam prezydent Emmanuel Macron. Gospodarz Pałacu Elizejskiego po obejrzeniu ekspozycji uznał ją za „ogromną lekcję współistnienia" i okazję do „wzajemnego wzbogacania się". Przy okazji napiętnował dzisiejsze „obskurantyzmy". Jak wskazał historyk i komisarz generalny wystawy Benjamin Stora, wystawa „Żydzi Wschodu" pokazuje, że długa historia relacji między islamem a judaizmem „nie może być zredukowana do jednej przyczyny i jednego konfliktu (izraelsko-palestyńskiego), ale pokazuje, że wzajemne oddziaływanie miało miejsce przez nadzwyczajnie długi czas".

PODOBNI, ALE JAKŻE RÓŻNI

Ekspozycja jest wyprawą obejmującą parę tysięcy lat od czasów antycznych

eprasa.pl 7c5b88ceb9

do współczesności. Autorzy wystawy bardzo dużo wysiłku włożyli w pokazanie zamierzchłości kultury żydowskiej. Na wielkiej mapie poświęconej wspólnotom żydowskim na terenie Imperium Rzymskiego w I w. n.e. widać diaspory rozrzucone od egipskiej Aleksandrii do pozostającego wówczas pod władzą Rzymian Londynu, nazywanego wówczas Londinium. Na wystawie można obejrzeć kolejne kopie dwóch najważniejszych wersji Talmudu – jerozolimskiej i babilońskiej. Nieprzypadkowo później muzułmanie będą nazywać zarówno Żydów, jak i chrześcijan narodami Księgi.

Starożytna kultura żydowska potrafi zaskakiwać dzisiejszego widza. Tak jest z prezentowanymi na wystawie zdjęciami synagogi z miejscowości Dura Europos na terenie dzisiejszej Syrii, która odkryta w zeszłym wieku ukazała unikalne malowidła w formie malarstwa figuratywnego. Tuż obok mozaika żydowska pokazująca drzewo rajskie – pozostałość z synagogi istniejącej w czasach Imperium Rzymskiego Hammam-Lif w Tunezji. Ten wstęp jest dyskretnym przypomnieniem, że Żydzi byli na terenie Bliskiego Wschodu na czele z Jerozolimą nieporównanie wcześniej, nim wytworzyła się tożsamość arabsko-islamska.

Kolejna część wystawy pokazuje bardzo niejednoznaczną relację pomiędzy Mahometem a Żydami. Człowiek uznawany przez islam za twórcę nowej wiary i proroka początkowo wierzył, że znajdzie w Żydach i chrześcijanach wręcz idealnych odbiorców swoich objawień, o wiele bardziej gotowych na przyjęcie tego, co w jego opinii otrzymał od Boga, niż w dużej mierze wyznający politeizm pogańscy mieszkańcy okolic Mekki i Medyny. Jednak Żydzi przyjęli objawienia Mahometa z dużym sceptycyzmem, choć ten od początku zaznaczał, że muzułmanie są zobowiązani do pokojowego współżycia z narodami Księgi, czyli chrześcijanami i Żydami, choć nie na równych prawach.

Nie zmieniło to tego, że po pewnym czasie doszło do ostrych walk pomiędzy Mahometem a żydowskimi plemionami żyjącymi na Półwyspie Arabskim. Ostatecznie po niesłychanie błyskotliwym

Żydowska panna młoda z południa Maroka, 1934 r. FOT. JEAN BESANCENOT

zwycięstwie Mahometa, a potem jego następców nad całym światem Lewantu i Bliskiego Wschodu wspólnoty żydowskie żyły pod statusem „Dhimmi". Dawało im to pozycję niższości i obowiązek opłacania się specjalnym podatkiem (na podobnej zasadzie jak chrześcijanie), ale jednocześnie zapewniało ochronę prawną i pewną autonomię administracyjną, fiskalną i religijną.

Ten status był w różnych wiekach różnie interpretowany. Zdarzało się, że Żydzi pełnili funkcje bardzo wysoko postawionych doradców finansowych sułtanów i kalifów, a nawet były przypadki militarnych karier Żydów w armii muzułmańskiej. Bywało też zgoła inaczej – dochodziło do gwałtownych ataków na społeczności żydowskie. Zdarzało się często, że pod wpływem jakiegoś incydentu uznanego za obrazę islamu pogromowy tłum pustoszył dzielnice „Mellah", jak w świecie arabskim nazywano żydowskie getta wewnątrz arabskich miast.

Autorzy wystawy starają się zgodnie ze swoim przesłaniem wskazywać na przykłady harmonijnego współżycia. Od VII do XV w. większość ludności żydowskiej mieszkała w świecie muzułmańskim. Przyjęli język arabski, w wielości jego dialektów, który w transkrypcji na hebrajski stał się „judeoarabskim".

Osobny rozdział wystawy poświęcony jest rozkwitowi nauk i sztuki na terenie hiszpańskiej Andaluzji. Na czoło wysuwają się tutaj dwie postacie Żydów – poety Samuela Ha-Nagida (993–1055) oraz filozofa Mojżesza Majmonidesa (1138–1204). Odwołaniem do tego drugiego są na wystawie pisma Majmonidesa odnalezione w zbiorach dawnej synagogi kairskiej. Te komentarze do Miszny z XII w. pisane są alfabetem arabskim i są fragmentami wielkiej pracy filozoficznej Majmonidesa „Przewodnik błądzących" ukończonej w 1190 r. i pierwotnie napisanej w języku judeoarabskim. Tuż obok obejrzeć można wspaniałe zabytki – wyposażenia synagog w Tangerze i w Fezie w Maroku z XVI i XVIII w. Autorzy wystawy w myśl ulubionej legendy oświeceniowców powielili opowieść o wspaniałej harmonii życia w arabskim Al-Andalus zniszczonej przez rekonkwistę hiszpańskich chrześcijan północy. Realia – jak wskazują prace wielu historyków, np. Dario Fernándeza-Morery – były jednak inne.

Owszem, pojedynczy Żydzi zaczęli wznosić się na szczyty świata nauki

Żydowskie kobiety z Algieru, koniec XIX w. FOT. KOLEKCJA PRYWATNA PIERRE'A DE GIGORDA

Synagoga sefardyjska w Toledo, XIV w. FOT. DAVID BLAZQUEZ

Porządek modlitw w Rosz ha-Szana i Jom Kippur, Amsterdam 1717 r. FOT. MUSÉE D'ART ET D'HISTOIRE DU JUDAÏSME

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Absolwenci szkoły żydowskiej, Tunis, 1901 r.

FOT. BIBLIOTHÈQUE DE L'ALLIANCE ISRAÉLITE UNIVERSELLE

i kultury, ale odbywało się to na zasadzie łaski arabskich władców, która mogła być w każdej chwili cofnięta pod wpływem kaprysu czy też wybuchu religijnej nietolerancji. Faktem jest oczywiście, że po zdobyciu Andaluzji przez chrześcijan duża część Żydów przeniosła się do krajów Maghrebu na czele z Marokiem, Algierią i Tunezją. Inni, którzy podlegali późniejszym restrykcjom ze strony katolickich władców hiszpańskich, przenieśli się do północnej części Europy, szczególnie do państw protestanckich, na czele z Holandią i Anglią. Duży portret Sabattaja Cwi przypomina nam o fenomenie sefardyjskiego Żyda i kabalisty znanego ze swego mesjańskiego wystąpienia z 1648 r. To on był przyczyną wielkiego poruszenia religijnego wśród Żydów Europy i Bliskiego Wschodu, które do historii przeszło jako ruch sabataizmu. Ten proreligijny ruch, porównywany z mistycyzmem kabalistycznym, który potem odezwie się na terenach Rzeczypospolitej, wywoływał wtedy gigantyczne emocje, dziś już niemal zupełnie zapomniane.

NADEJŚCIE EUROPEJCZYKÓW

Niezwykle ciekawa jest część wystawy pokazująca wiek XIX i połowę XX w., kiedy to mocarstwa europejskie uzyskują niemal pełną kontrolę nad północnymi brzegami Morza Śródziemnego i Lewantu. Skoro wystawę organizuje paryski instytut, to nic dziwnego, że autorzy najwięcej miejsca poświęcili francuskiej kolonizacji Algierii, Maroka i Tunezji. Dla tamtejszych Żydów stanowiło to okazję do kontaktu z bardzo dynamiczną wówczas kulturą, cywilizacją europejską. Duży poczet oddaje hołd Adolfowi Crèmieux, który w 1873 r. jako minister rządu francuskiego obdarzył wszystkich Żydów algierskich prawem obywatelstwa republiki francuskiej. To, co Żydzi francuscy do dziś wspominają z ogromną wdzięcznością wobec państwa francuskiego, było jednocześnie początkiem rozchodzenia się dróg wyznawców judaizmu i islamu na terenach świata arabskiego. Bo Arabowie algierscy podobnych praw nie otrzymali i tym samym mogli poczuć się potraktowani przez władze kolonialne za gorszych od Żydów. Ale ta trucizna zacznie wychodzić na jaw dopiero później. Na razie przez cały wiek XX i połowę XX w. Żydzi w Maroku, Algierii i Tunezji będą korzystać z walorów emancypacji, a przy okazji folklorem arabskich Żydów, który zakonserwował się niczym w zamrażarce na poziomie średniowiecza, zainteresowali się francuscy malarze romantyzmu. Eugène Delacroix malował żydowskie piękności z Algieru, a Edouard Moise portretował rabinów z nadmorskich miast algierskich.

Ogromną zasługę dla ocalenia resztek pradawnej kultury miał fotograf Jean Besancenot, który w latach 1934–1937 objeżdżał żydowskie wesela i obfotografowywał ich uczestników w tradycyjnych, efektownych strojach marokańskich. Tymczasem Arabowie w krajach basenu Morza Śródziemnego podchwytują swoją własną wersję nacjonalizmu, który zaczyna się sprzęgać z ideologią antysemityzmu. Żydzi zaczynają być uważani za podwójnie niebezpiecznych. Są postrzegani jako społeczność sprzyjająca francuskim kolonizatorom, która z racji dobrej znajomości kultury arabskiej jest wyjątkowo użyteczna dla „francuskich ciemiężycieli". Nic dziwnego, że gdy państwa arabskie zaczynają pozbywać się władzy z Paryża, wybuchają pogromy i prześladowania. Część Żydów wyjeżdża dlatego, że pragnie zamieszkać w odrodzonym państwie żydowskim, a ci, którzy początkowo chcieli zostać, wyjeżdżają, później nie mogąc znieść podejrzeń o bycie piątą kolumną syjonistów. O ile na przełomie XIX i XX w. w krajach arabskich żyło łącznie ponad milion Żydów, o tyle w drugiej połowie XX w. ta liczba spada do ok. 30 tys. Nieliczni Żydzi funkcjonują jeszcze na terenie Egiptu, Syrii czy Jemenu, bardziej na zasadzie alibi dla arabskich rządów, które lubią demonstrować swoją rzekomą tolerancję wobec resztek wspólnot spod znaku gwiazdy Dawida.

IDEAŁY I REALIA

Echa tej wzajemnej niechęci dały o sobie znać przy okazji wystawy „Żydzi Wschodu". Na początku grudnia 2021 r. 250 arabskich intelektualistów zaatakowało wystawę w Instytucie Świata Arabskiego w Paryżu, oskarżając ją, że ma służyć za „wyraźną oznakę normalizacji relacji z Izraelem". Szczególnie dużo słów krytyki ściągnęło wypożyczenie części eksponatów z muzeów w Izraelu, zwłaszcza z kolekcji Williama Grossa. Autorzy listu przypominają, że państwo Izrael prowadzi politykę dyskryminacyjną wobec ludności palestyńskiej i wiąże cały pomysł wystawy z akcją dyplomacji izraelskiej na rzecz normalizacji stosunków z państwami arabskimi w ramach tzw. porozumienia Abrahama.

Na list ten gniewnie zareagował 82-letni William Gross, który użyczył na wystawę dziesiątki eksponatów z jego prestiżowej kolekcji judaików orientalnych. Jak stwierdził w wywiadzie dla francuskiego tygodnika „Le Point" – paryska wystawa to „pierwszy wypadek, kiedy opinia publiczna na Zachodzie odkrywa wkład Żydów w kulturę krajów islamu jako całość. Ludzie zapominają, że we wczesnym średniowieczu centrum życia żydowskiego znajdowało się w Bagdadzie i Kairze. Nie w Paryżu, Wiedniu lub Berlinie. Tam odnaleziono bogatą kulturę żydowską, odzwierciedlenie długiej i chwalebnej obecności. Od lat marzyłem o tym".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa zrecenzowana na podstawie katalogu. Ekspozycja w paryskim Instytucie Świata Arabskiego czynna będzie do 13 marca br. Szczegóły na www.imarabe.org.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

HISTORIA O MIŁOŚCI SILNIEJSZEJ OD WOJNY I OPRESJI

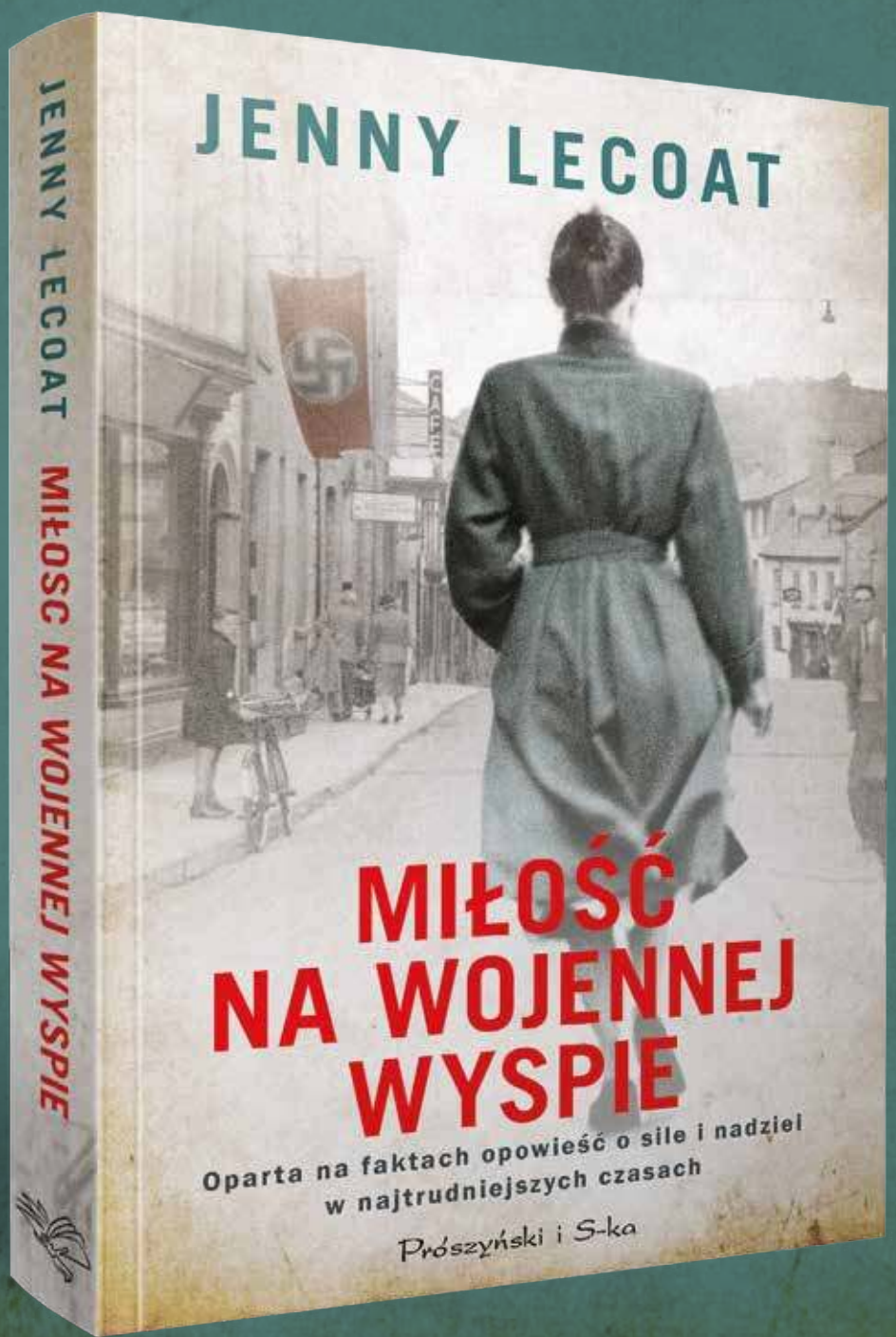

inverso.pl KSIĘGARNIA INTERNETOWA | Prószyński i S-ka

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Zespół teatru Cyrulik Warszawski. Widoczni m.in.: Fryderyk Jarossy (stoi na stole), Stefania Górska (siedzi piąta z prawej), Zofia Terne (siedzi czwarta z prawej), Jadwiga Andrzejewska (siedzi z lewej w sukni w groszki), Irena Kwiatkowska (siedzi szósta z prawej), Leon Boruński (siedzi pierwszy z prawej), Emanuel Schlechter, Jan Pawłowski, Bronisław Gimpel FOT. NAC

Z Jerzym Oleszkowiczem, reżyserem i scenarzystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Szlagworty Schlechtera

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Po Emanuelu Schlechterze pozostało bardzo niewiele śladów...

JERZY OLESZKOWICZ: I mało, i dużo. Mało, jeżeli chodzi o losy najbliższej rodziny. Choć prof. Adam Redzik i dr Tomasz Lerski wertują archiwa i odkrywają coraz więcej. Dużo, bo przecież jego przeboje stały się evergreenami. Chociaż powstały ponad osiem dekad temu, to ciągle są obecne w naszej kulturze. Jego frazy przetrwały do dziś, funkcjonują w codziennym języku. „Odrobinę szczęścia w miłości", „a mnie jest szkoda lata", „bo to się zwykle tak zaczyna" czy „sex appeal to nasza broń kobieca" i „umówiłem się z nią na dziewiątą" z filmu „Piętro wyżej" w reżyserii Leona Trystana to szlagworty, które oderwały się od ekranu i żyją własnym życiem. Nie wiemy jedynie, że to właśnie Schlechter je wymyślił.

Pochodził z Żydów ortodoksyjnych?

Była to biedna rodzina lwowska, mieszkająca na Zamarstynowie przy ul. Żółkiewskiej 44, raczej o tendencjach asymilatorskich niż ortodoksyjnych. Adeli i Jakubowi Schlechterom w 1904 r. urodził się syn Emanuel – późniejszy twórca szlagierów polskiej piosenki – w latach późniejszych na świat przychodzi jeszcze troje dzieci: Emil, Róża i Maurycy. Nie wiadomo, czy chodził do chederu czy też do szkoły powszechnej. W jego późniejszej twórczości odwołującej się do tradycji żydowskiej przewijają się jednak wątki mogące świadczyć o pobieraniu nauki w szkole o charakterze religijnym.

W dzieciństwie mu się nie przelewało.

Jego ojciec był wprawdzie tylko malarzem pokojowym, ale aktywnie współtworzył polski ruch spółdzielczy i postawił na naukę swego potomstwa. Przynajmniej dwojga: Emanuela i Emila. Mówię przynajmniej, gdyż losy pozostałych pozostają nieznane.

Emanuel zyskał jakieś wykształcenie?

Znakomite. Kończy prestiżowe Gimnazjum im. Stanisława Żółkiewskiego we Lwowie. W sprawozdaniach rocznych dyrekcji tejże szkoły widnieje przy jego nazwisku gwiazdka, oznaczająca udział ucznia w walkach o Lwów w roku 1918. Następnie studiuje na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Zaczyna na kierunku prawo i umiejętności polityczne, aby szybko przenieść się na wydział humanistyczny. Tu słucha wykładów profesorów: Kazimierza Twardowskiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Oswalda Balcera czy Juliusza Kleinera, któremu zawdzięcza umiłowanie literatury i języka polskiego. Schlechter słynął z doskonałej polszczyzny, co znalazło odzwierciedlenie w jego tekstach.

Rodzinny Lwów odcisnął piętno na dorobku twórcy?

Był tym miastem przesiąknięty, tam się wychował, stawiał pierwsze kroki w kabarecie, pisał utwory do popularnych rewii, gdzie także sam występował. Przez jakiś czas był dziennikarzem. Współpracował z Radiem Lwów i arcypopularną audycją humorystyczną „Wesoła Lwowska Fala". A apogeum osiąga, współtworząc lwowską filmową trylogię o perypetiach lokalnych bohaterów Szczepka i Tońka, reżyserowaną przez Michała Waszyńskiego: „Będzie lepiej", „Włóczęgi" z przebojem „Tylko we Lwowie" i „Serce batiara". Można powiedzieć, że wprowadził do kina folklor lwowski.

Kiedy i dlaczego przeprowadził się do Warszawy?

Miało to miejsce w roku 1932. Zamieszkuje w eleganckiej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

kamienicy przy ul. Chmielnej. Jest już rozpoznawalnym, piekielnie utalentowanym tekściarzem. Ma mocną pozycję. Dostaje propozycję współtworzenia pierwszej polskiej operetki dźwiękowej – filmu „Każdemu wolno kochać". I było to doskonałe wejście w świat przedwojennej kinematografii. Tytułowa piosenka w wykonaniu Witolda Contiego stała się przebojem, nuci ją ulica. Ugruntowuje swoją pozycję w środowisku. Żyje między Warszawą a Lwowem. Profesor Redzik twierdzi, że w istocie nigdy grodu nad Pełtwią nie opuścił.

Teksty piosenek pisywał sam i na cztery ręce – z kim?

Są to wielkie nazwiska i to nie tylko w tym fachu: Ludwik Starski („Młodym być i więcej nic", „Zakochany złodziej"), Konrad Tom („Co bez miłości wart jest świat", „O'key", „Dla ciebie chcę być biała", „W hawajską noc"), Jan Brzechwa („Już wiem", „Oj, niedobrze"), Feliks Konarski („Umówiłem się z nią na dziewiątą"), Julian Tuwim („Szczęście raz się uśmiecha")…

Z którymi kompozytorami współpracował?

Można długo wymieniać, że wspomnę tylko: Henryka Warsa („Tylko we Lwowie", „Sex appeal", „Nic o tobie nie wiem"), Jerzego Petersburskiego („Młodym być i więcej nic", „Gdybym ja miał cztery nogi"), Alfreda Schütza („Żołnierska brać"), Zygmunta Karasińskiego i Szymona Kataszka („Każdemu wolno kochać"), Zygmunta Wiehlera („Walca tańczy cały świat"), Mieczysława Mierzejewskiego („Ja mam czas, ja poczekam"), Adama Lewandowskiego („Pożegnanie lata") czy Władysława Szpilmana, dla którego pisze tekst piosenki „Jeśli kochasz tę dziewczynę".

Próbował też układać melodie, grać na gitarze i śpiewać. Był w tym względzie samoukiem?

Zaczynał od śpiewu w lwowskich kawiarniach. Na początku lat 30. nagrywał płyty z własnymi piosenkami pod litewsko-polskim pseudonimem Olgierd Lech. Występował też jako Eman i Mundek. Niekiedy sam sobie akompaniował. Sięgał także po tradycyjne piosenki żydowskie, które przekładał z jidysz na język polski lub pisał nowe słowa przenoszące słuchaczy w świat żydowskich podwórek. „Kołysanka matki" czy ballada „Srulek" stają się popularne.

Kto wykonywał jego hity?

Artystyczna elita rozrywki międzywojnia: Tola Mankiewiczówna, Jadwiga Smosarska, Ina Benita, Mira Zimińska, Loda Halama, Eugeniusz Bodo, Aleksander Żabczyński, Adam Aston, Adolf Dymsza, Tadeusz Faliszewski, Andrzej Bogucki, Mieczysław Fogg, Chór Dana... Często i chętnie do tych nagrań wracamy. Są absolutnie ponadczasowe!

Piosenki wyczerpywały aspiracje twórcze bohatera pańskiego filmu?

Ależ skąd! Był pełen energii. Został kierownikiem literackim wytwórni płytowych Odeon i Columbia, decydował, co i kogo nagrywamy, pomagał zaistnieć młodym twórcom, działał w Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych. Zasiadał nawet w jego zarządzie. Powrócił też do młodzieńczej pasji. Zagrał w filmie „Kochaj tylko mnie" w reżyserii Marty Flanz, do którego napisał scenariusz wraz z Karolem Jarossym. Zaśpiewał w nim tytułową piosenkę. Dziesiąta muza pochłaniała go całkowicie. Do wybuchu wojny przyczynia się jako autor do realizacji ponad 30 filmów. Żeby wymienić choćby: „Czy Lucyna to dziewczyna?", „Antek policmajster", „Jadzia", „Strachy" czy „Ja tu rządzę".

Co wiemy o jego najbliższych?

Niewiele. Ślub z Bertą Feldman bierze w 1931 r. we Lwowie, a 4 lipca 1935 r. rodzi się ich syn Adam. Wraz z Emanuelem aż do 1 września 1939 r. dzielą swe życie między Warszawą i Lwowem. Z licznej rodziny wojnę przeżył jedynie jego brat, Emil. Prawnik, właściciel kancelarii przy ul. Akademickiej, żołnierz września 1939 r., przez Rumunię dotarł do Francji. Tam przystąpił do Polskiej Organizacji Walk o Niepodległość – funkcjonującej pod kryptonimem Monika – uczestniczył w wyzwalaniu Francji. Przez jakiś czas mieszkał w Tuluzie. Po wojnie, zapewne w rezultacie bezskutecznego poszukiwania bliskich, nie wrócił do Polski, pozbawionej już Lwowa. Został pracownikiem Narodowego Centrum Badań Naukowych i Uniwersytetu Paryskiego. Zmarł w Paryżu w 1995 r.

Jak wyglądały losy tekściarza po 1 września 1939 r.?

To niezwykle tragiczna historia. Emanuel Schlechter, radosny, wieczny optymista, piewca życia i młodości, wraca z rodziną do Lwowa. Po zajęciu miasta przez Sowietów pracuje we Lwowskim Państwowym Teatrze Miniatury pod kierownictwem przyjaciela Konrada Toma. Odmawia przyjęcia sowieckiego paszportu, co prawdopodobnie tłumaczy pozostanie w mieście po wkroczeniu Niemców. Rodzina Schlechterów trafia do getta. Mimo że otacza go śmierć, nie przestaje być artystą, wciąż tworzy. Uczestniczy w wieczorach literackich. Skądś czerpie siły, by przetrwać grozę pogromów, getta, obozu pracy, codziennych egzekucji i niezwykłego okrucieństwa. Ostatnie informacje o nim pochodzą ze wspomnień Szymona Wiesenthala, więźnia obozu janowskiego, który przypisuje Schlechterowi napisanie – na rozkaz SS-Untersturmführera Richarda Rokity – „Żałobnego tanga", wykonywanego przez orkiestrę złożoną z więźniów. Umiera 11 listopada 1943 r. Wcześniej giną jego żona, syn i pewnie reszta rodziny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Oleszkowicz – reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Autor dokumentów odwołujących się do historii, m.in.: „Franek, czyli le professeur François Chapeville", „Byłem w Gestapo", „Draża-czetnik. Legenda kresów", „Od stepów Kubania do niepodległości", „Lili i Irmgard. Lwów 1939–1945" oraz najnowszego „Emanuel Schlechter. Szlagworty niezapomniane". Premiera: 3 marca, godz. 19.40, TVP Historia.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Takie sobie bajeczki

★★★☆☆☆

SEZON 1
„WIKINGOWIE: WALHALLA" („VIKINGS: VALHALLA")
USA 2022

wyst. Sam Corlett, Frida Gustavsson, Leo Suter

Już z pierwszego odcinka odświeżonych „Wikingów" dowiadujemy się, że u progu XI stulecia władcą norweskiego Kattegatu jest czarnoskóra kobieta (Afronorweżka?) o wyglądzie gwiazdy pop, a miłujący pokój wikingowie mieszkający w Anglii są obiektem nieustannych prześladowań i czystek etnicznych ze strony okrutnych chrześcijan. Cóż, w oryginalnym sezonie Michael Hirst pozwalał sobie na fantazjowanie, ale znał pewne granice. Nowy showrunner granic nie zna. Jeb Stuart, hollywoodzki scenarzysta znany ze „Ściganego" czy „Następnych 48 godzin", zabiera nas na wycieczkę do krainy, która ma tyle wspólnego z historią, co świat serialu „Xena: Wojownicza księżniczka" z fantasy.

Pomysł na sequel był obiecujący: pokazać, jak 100 lat po podbojach Ragnara Lodbroka i jego synów wygląda starcie między światem wikińskim a chrześcijańską Europą. Fascynująca epoka, mnóstwo wątków. Niektóre zasygnalizowano w pierwszym serialu, jak choćby wrastanie normańskich przybyszów w zachodnie królestwa i ich rolę w budowie potęgi państwa Franków itp. No i oczywiście starcie pogaństwa z chrześcijaństwem. Kto pamięta choćby kapitalną powieść „Rudy Orm" Fransa Gunnara Bengtssona, ten wie, ile warstw miał ten rozdział historii. Twórców „Walhalli" to nie interesuje, wykład musi być prosty jak konstrukcja cepa i zgodny ze współczesną modą, czyli dobrzy poganie kontra krwiożerczy wyznawcy Chrystusa.

Hirst swobodnie bawił się życiorysem legendarnej postaci Ragnara, ale zadziwiająco wiele zaczerpnął z sag, które uważnie czytał. Jego opowieść miała w sobie podobną surowość i cudowność. Plus walor poznawczy, bo bardzo wiele z prawdziwej obyczajowości wikińskiej pokazano na ekranie. Stuart też wziął sobie na warsztat znaną figurę z przeszłości: Leifa Erikssona, znanego wikińskiego podróżnika, który dotarł aż do Ameryki Północnej, dopisując mu do życiorysu po uważaniu, co tylko wpadło do głowy, byle było atrakcyjnie. Obsada „Walhalli" też razi hollywoodzkim blaskiem – miejsce dzikich twardzieli z oryginalnego sezonu zajęli osobnicy o ślicznych buziach modeli albo statystów z telenowel. Netflixowi to nie przeszkadza, zamówiono od razu trzy sezony tej bajeczki, która potwierdza jedynie, że kopernikańskie twierdzenie o tym, jak pieniądz gorszy wypiera lepszy, sprawdza się także w świecie telewizyjnej rozrywki. ©℗

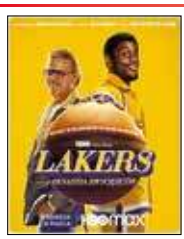

NOWE SERIALE: „LAKERS: DYNASTIA ZWYCIĘZCÓW" HBO max

HBO pozazdrościło Netflixowi sukcesu serialu „The Last Dance" o Michaelu Jordanie i sezonach chwały koszykarzy z Chicago Bulls. „Lakers: Dynastia zwycięzców" to jednak nie dokument, lecz serial fabularny na podstawie książki Jeffa Pearlmana. Jednym z głównych twórców serii jest Adam McKay („The Big Short", „Nie patrz w górę", „Sukcesja"), a w obsadzie pojawia się bardzo ciekawy zestaw nazwisk. John C. Reilly jako Jerry Buss, właściciel LA Lakers, Sally Field jako jego żona; Adrien Brody to legendarny coach Pat Riley. Całość liczy 10 odcinków. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Adam McKay „Lakers: Dynastia zwycięzców", USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Dexter: New Blood"****, USA 2021* CANAL+

• *sezon 4* ***„Formuła 1: Jazda o życie" („Formula 1: Drive to Survive")****, Wielka Brytania 2022*

• *sezon 4* ***„Stulecie winnych"****, Polska 2022* TVP 1

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Najdroższa Roxanne...

KINO

Wszystkie dobre historie zostały już opowiedziane. Jesteśmy skazani na powtórki i przeróbki. „Cyrano" to ekranizacja musicalu, aktorzy więc śpiewają, tańczą i podrygują. Intrygę pchnięto jedno stulecie do przodu, bo zniewieściałe rokoko jest dobrym kontrapunktem dla męskich cnót, których uosobieniem jest nie tylko tytułowy bohater, lecz także jego podopieczny Christian – dzielny żołnierz „obdarzony umysłem królika". Intelektualista Cyrano cierpi niewysłowione męki, widząc, że jego muza wzdycha to takiego prymitywa. Ów zabijaka i wrażliwiec, z równą pasją szermujący szpadą, co językiem, nos ma kształtny, ale wstydzi się mikrego wzrostu. Dla widzów znających „Grę o tron" jest to niezrozumiałe. Dla Polaków, wychowanych na „Panu Wołodyjowskim", jeszcze bardziej.

Francuski mały rycerz mówi po angielsku, Christiana zaś gra Afroamerykanin. Sycylijska mieścina udaje XVIII-wieczny Paryż, acz pod względem rasowym bardziej przypomina współczesny Nowy Jork. Nawet kapitan królewskiej gwardii jest czarnoskóry. Mimo tych dziwactw film się broni, ponieważ dramaturgiczny szkielet sztuki Rostanda pozostawiono bez zmian. Wciąż jest to pean na cześć epistolografii i potęgi słowa tudzież męskiej przyjaźni. Dlatego następny krok wydaje się oczywisty: Cyrano de Bergerac musi zmienić płeć. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JOE WRIGHT
„CYRANO"
USA/KANADA/ WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Peter Dinklage, Haley Bennett, Kelvin Harrison Jr

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CIEŃ WAMPIRA

cda PREMIUM

Łysa czaszka, trupioblada twarz, podkrążone oczy, spiczaste uszy, ostre kły i nienaturalnie długie, szponiaste palce. Ten rysopis znają nawet ci, którzy gardzą niemym kinem i nigdy nie oglądali „Nosferatu". Teraz jest dobra okazja, bo filmowy krwiopijca objawił się światu dokładnie sto lat temu. Niemiecki ekspresjonista Murnau wyprzedził Amerykanów i jako pierwszy zekranizował powieść Stokera. Był to artystyczny sukces, choć finansowa katastrofa. Wściekła wdowa po pisarzu poszła do sądu i wywalczyła zakaz rozpowszechniania plagiatu tudzież zniszczenie wszystkich kopii. To drugie na szczęście się nie udało. Odtwórca tytułowej roli – Max Schreck – jest dziś legendą, hollywoodzki „Dracula" z 1931 r. na tle horroru Murnaua jawi się zaś poczciwą, teatralną ramotą. Niemcy też jednak popełniają błędy. Prawdziwy wampir nie odbija się w lustrze i nie rzuca cienia. Kim więc jest hrabia Orlok?

wyst. Max Schreck, Gustav von Wangenheim, Greta Schröder

★★★★★☆

REŻ. FRIEDRICH WILHELM MURNAU
„NOSFERATU. SYMFONIA GROZY" („NOSFERATU. EINE SYMPHONIE DES GRAUENS")
NIEMCY 1922

PIĘCIUSET MŚCICIELI

KINO

Bardziej lifting niż rebranding. Po sukcesie „Jokera" kurs na odkomiksowienie został utrzymany. Nowy „Batman" zaczyna się od sadystycznego mordu, a potem karuzela przemocy kręci się coraz szybciej. Gotham City nadal zżera rak przestępczości. Słynny mściciel zaczyna wątpić w sens swoich wysiłków, gdy wyzwanie rzuca mu psychopata, zostawiający na miejscu zbrodni zaszyfrowane wiadomości. Człowiek-Zagadka tym razem nie błaznuje, Batmana też trudno nazwać królem dowcipu. Posępny jak chmura gradowa, popełnia błędy i przesadza z agresją. Dla równowagi otoczenie obu panów jest dość szablonowe: skorumpowani urzędnicy, ostatni uczciwy glina, jowialny mafioso czy seksowna pannica, która „sama potrafi się obronić". Wiara scenarzystów, że paliwem świata jest zemsta, zaowocowała prawie trzygodzinnym seansem. W Hollywood zwięzłość nigdy nie była cnotą. ©℗

Wiesław Chełminiak

wyst. Robert Pattison, Zoë Kravitz, Jeffrey Wright

★★★☆☆☆

REŻ. MATT REEVES
„BATMAN"
USA 2022

GRA TYGODNIA: „THIS WAR OF MINE"

★★★★★☆

Wracam dziś do tej kilkuletniej gry z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to produkcja wyjątkowa, pokazująca koszmar wojny z perspektywy bezbronnych cywilów, którzy walcząc o przetrwanie w zrujnowanym mieście, często muszą podejmować trudne moralne decyzje. Po drugie, warszawskie studio 11 bit studios dochód ze sprzedaży gry przez tydzień przeznaczało na pomoc dla Ukrainy. Gdy oddaję ten tekst, było to już ponad 3 mln zł (wtorek wieczorem). Brawo! Za postawę i za stworzenie „This War of Mine". Wciąż jest niezwykła, poruszająca i szalenie grywalna. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC, XONE, PS4, NS, Android, iOS, macOS, Linux*
- ***Producent, dystrybutor:*** *11 bit studios, Cenega*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7c5b88ceb9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polesia czar

Rodzimych kryminałów nie mogę już czytać; namnożyło się nam bowiem Agath Christie i Raymondów Chandlerów co niemiara, a jeden gorszy od drugiego. Jak do jeża podszedłem więc do powieściowego debiutu Pawła Rzewuskiego, który dał się poznać jako autor tak błyskotliwej i nieoczywistej książki jak „Grzechy »Paryża Północy«. Mroczne życie przedwojennej Warszawy". I oto ten świetnie rokujący młody historyk i filozof zabiera się do pisania kryminału. Po co? – pytałem retorycznie, rozpoczynając lekturę liczącego grubo ponad 400 stron „Syna Bagien". I nawet pomieszczona na okładce informacja o tym, że akcja rozgrywa się w 1937 r. na Polesiu, dokładnie w obecnie białoruskim Dawidgródku, a w ciemnych sprawach, które próbuje rozwikłać bohater powieści, przysłany z Warszawy „dwójkarz", palce macza sam ówczesny tamtejszy wojewoda, czarny charakter pismaków z „Gazety Wyborczej", Wacław Kostek-Biernacki, nazwany tu „poleskim Kurtzem", nie skłoniła mnie do wyzbycia się uprzedzeń. Na szczęście to ostatnie spowodowała lektura, od której już po przeczytaniu dwóch pierwszych rozdziałów nie mogłem się oderwać.

I teraz nie mam już najmniejszych wątpliwości, że Rzewuski zrobił słusznie, wybierając powieściową formę na przekazanie treści niełatwych, a odnoszących się do ludzi i wydarzeń gruntownie zapomnianych. Jak opowiedzieć, na przykład, o koncepcjach Jana Stachniuka (znanego jako Stoigniew Bogorzeł) i Zadrugi, nielicznej organizacji na pewno nacjonalistycznej, antysemickiej, słowianofilskiej, ale i niedalekiej od komunizmu, a już z pewnością antykatolickiej? A jeszcze „radykalniejszy od zadrugizmu – pisze w posłowiu autor – był demiurgizm". Być może nieoczekiwanie dla czytelnika, ale na Kresach Wschodnich, w świecie bolszewickich dywersantów, przemytników i zwykłych awanturników, wciąż żywych pozostałości wierzeń i rytuałów pogańskich, co bardziej światli obywatele przyswajali sobie nowe, choćby i egzotyczne idee.

FOT. KRZYSZTOF RAJCZYK/WYDAWNICTWO LITERACKIE

I oto np. Sokrates Zwiaholski, młodszy syn hrabiego Konstantego, wielkiego pana na Polesiu (pierwowzorem był tu Karol Mikołaj Radziwiłł), nieużywający rodzimego herbu Młot, komunizujący, tyle że na pokaz, powiada o sobie: „… sympatyzuję z Zadrugą, ale nieważne. […] Prawda jest taka, że żyjemy w czasach wspak kultury, musimy odbudować naszą siłę, zwalczyć liberalny indywidualizm, sentymentalną wszechmiłość, która każe nam kochać każdego Żyda, każdego Francuza czy nawet więcej, każdego człowieka w ogóle, oraz przede wszystkim hedonizm, tak prosty pęd ku temu, co proste i miłe, oraz naiwną wiarę w jakieś życie pozagrobowe i inne spirytualistyczne brednie. Żyjemy tu i teraz, na tej ziemi. Prawdą jest, że nie ma co się mamić naiwną wiarą w zaświaty. Ksiądz mi wybaczy, ale istotą katolicyzmu jest megalomania pomieszana z cynizmem. I tego się trzymam".

Nawiasem mówiąc, Jan Stachniuk po wojnie (za walkę w powstaniu warszawskim, w którym odniósł rany, otrzymał Krzyż Walecznych) usiłował odtworzyć Zadrugę, co zakończyło się aresztowaniem i skazaniem na 15 lat więzienia. Amnestia pomniejszyła tę karę, ale że w ciężkim więzieniu w Barczewie, gdzie odsiadywał wyrok, był bity i torturowany, na wolność wyszedł jako ciężko schorowany człowiek. Zmarł w 1963 r.

Przywoływany już tutaj Wacław Kostek-Biernacki w więzieniu mokotowskim znalazł się już w roku 1945. Na proces czekał osiem lat; miesiąc po śmierci Stalina skazano go na karę śmierci jako „odpowiedzialnego za klęskę wrześniową i faszyzowanie kraju", zamienioną po apelacji na 10 lat więzienia. W 1955 r. ze względu na zły stan zdrowia wypuszczono go, zmarł dwa lata później. Komuna usilnie pracowała nad tym, by został zapamiętany jako komendant twierdzy brzeskiej, a następnie twórca i nadzorca obozu w Berezie Kartuskiej, a nie jako znakomity żołnierz, legionista, a następnie m.in. wojewoda nowogrodzki i poleski właśnie.

W „Synu Bagien" ten diaboliczny, cieszący się jak najgorszą sławą dygnitarz tłumaczy w 1937 r. bohaterowi powieści: „Polesie to jeden wielki Kamieniec Podolski, twierdza wypakowana prochem, gdzie wystarczy iskra. I są tutaj tacy, którzy dążą do tego, aby podpalić ten nasz ład". Kto to taki? „Lista jest długa, na czele z sobiepańską głupotą, a na komunistach kończąc". A on sam, jak się w tym wszystkim sytuuje? „Naprawdę to patrzę na to, co jest najlepsze dla Rzeczypospolitej". I na koniec przestrzega: „… albo będziemy trzymać wszystko twardo, nie ustąpimy na pół stopy z naszych pozycji, zarazem uszanujemy tych, z którymi żyjemy, albo czeka nas horror i krwią spłyną drogi od Kowna do Wołynia".

Proszę państwa, ten kryminał rozgrywający się wśród poleskich bagien i lasów opowiada nam, miedzy wierszami, naszą historię. Tę mniej znaną, zakłamaną, zapomnianą. Świetna książka! ©℗

★★★★★☆

PAWEŁ RZEWUSKI „SYN BAGIEN" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2022

eprasa.pl 7c5b88ceb9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wszystko jedno

Bóg" Rezy Aslana to książka pięknie napisana, szeroko udokumentowana (jedna trzecia tekstu to przypisy), ciekawa i zupełnie niepotrzebna. Jej autor cieszy się światową sławą specjalisty od religii, ale wiary w jego rozważaniach niewiele. Znacie na pewno ten żarcik, wedle którego „Tygodnik Powszechny" to największy w Polsce katolicki tygodnik dla niewierzących. Otóż Aslan jest takim właśnie autorytetem – guru od wiary cenionym najbardziej przez niewierzących.

Spójrzmy bowiem na drogę duchową autora książek „Nie ma Boga oprócz Allaha", „Zelota: Życie i czasy Jezusa z Nazaretu" oraz stanowiącej powód tych rozważań „Bóg: Ludzka historia religii". Urodzony w Iranie Reza Aslan dorastał w USA. Wychowany został na bogobojnego szyitę, ale szybko mu się odwidziało i został ewangelikaninem. Po jakimś czasie znów zmienił zdanie i powrócił do islamu. Jego objaśnienia na ten temat są kluczowe dla zrozumienia jego „nauczania". Otóż Aslan uważa, że monoteistyczne religie zanadto personifikują Boga, że jest to jakiś niepojęty byt wyższy, o którym różne religie opowiadają różnymi językami (czy raczej kodami kulturowymi). W związku z tym nie ma znaczenia, czy jest się katolikiem, muzułmaninem, żydem czy protestantem. Ja, powiada Reza, wybrałem sobie kod islamu, bo taki mi akurat najbardziej odpowiadał.

„Bóg: Ludzka historia religii" nie jest więc ani opowieścią o nawróceniu, ani o jakimkolwiek tak naprawdę dreszczu metafizycznym. To elegancko skonstruowany wykład o tym, jak to człowiek pierwotny, skoro polował, musiał sobie wymyślić boga łowów. A jak został rolnikiem, to musiał sobie wymyślić boga od pomyślnych plonów. I tak dalej, przez stulecia i tysiąclecia, aż doszedł do Jahwe, Jezusa i Allaha.

Być może dzieciakom pozującym dziś na inteligencję XXI w. wywód ten wyda się niezwykle odkrywczy, ja pozostaję mało poruszony, bo mnie podobnymi argumentami częstowano jeszcze w komunistycznej szkole PRL, doprawiając je zdaniami typu: „A w ogóle to Jezus był pierwszym socjalistą" albo: „Gagarin był w kosmosie i Boga nie widział". Reza Aslan to taki religijny odpowiednik innego idola współczesności, ateisty Yuvala Harariego, mistrza banałów, którego z kolei można śmiało nazwać „Paolo Coelho nauk historycznych". Niestety, dla niektórych powyższe porównania będą pochwałą wszystkich wspomnianych autorów. ©℗

★★★☆☆☆

REZA ASLAN „BÓG: LUDZKA HISTORIA RELIGII" ZNAK 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedna z najważniejszych książek światowej sławy psychologa. Barwna (i często zabawna) opowieść o tym, jak ewoluował nasz umysł, zamienia się w instrukcję obsługi – pomaga rozumieć procesy rządzące i wiedzą, i emocjami.

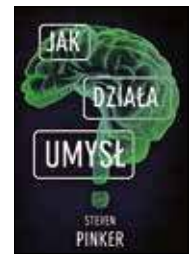

STEVEN PINKER „JAK DZIAŁA UMYSŁ" ZYSK I S-KA

Wznowienie wstrząsającego reportażu o wieloletniej pedofilskiej karierze Wojciecha Kroloppa, dyrygenta chóru Polskie Słowiki w Poznaniu. Wszyscy wiedzieli, wielu odwracało wzrok, niektórzy byli wspólnikami.

MARCIN KĄCKI „MAESTRO. HISTORIA MILCZENIA" CZARNE

Jedenaście opowiadań jednego z najważniejszych japońskich pisarzy SF. Przekładów dokonali studenci Instytutu Lingwistyki Stosowanej. Przedmowa i redakcja – Dariusz Głuch. Ilustracje i projekt graficzny – Emily Kitabatake.

SHIN'ICHI HOSHI „WYBRANE OPOWIADANIA" WYDAWNICTWA UW

Wbrew sugerującemu pandemiczne tematy tytułowi i wbrew notce z okładki, gdzie wybija się „nadużycia seksualne Kościoła", jest to powieść głównie o tym, jak być katolikiem w czasach współczesnych. ©℗

poleca Piotr Gociek

KRYSTIAN KRATIUK „ZARAZA" WYDAWNICTWO ESPRIT

KOMIKS TYGODNIA: „WIELKI ZŁY LIS"

Pechowy główny bohater tej opowieści ma „muskulaturę ostrygi, charyzmę na poziomie suszonego winniczka i dzikości tyle co anemiczny żółw na emeryturze". Nic więc dziwnego, że nikt się go nie boi, nawet kury, które Zły Lis próbuje pozbawić jajek lub życia – zawsze bezskutecznie. Na nic rady Złego Wilka, prawdziwego postrachu lasu. Lis pozostaje wiecznie głodnym fajtłapą (z powodu fiaska krwiożerczych planów musi żywić się warzywami). Znakomity komiks Rennera stał się sensacją we Francji, doczekał się także wersji filmowej. Mali i duzi będą bawić się równie dobrze – to współczesna klasyka francuskiego humoru. ©℗ ***Piotr Gociek***

BENJAMIN RENNER „WIELKI ZŁY LIS" KULTURA GNIEWU 2022

eprasa.pl 7c5b88ceb9

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Muzeum Wyklętych

Takie muzeum powinno powstać już dawno. Zostało otwarte dopiero w roku 2022, dokładnie 1 marca, w Narodowym Dniu Pamięci „Żołnierzy Wyklętych". Starania o zamienienie budynków po areszcie śledczym w Ostrołęce w muzeum trwały od 2014 r. Na początku były bezskuteczne, od roku 2015 ruszyły prace nad przystosowaniem obiektu. Od początku 2021 r. muzeum jest państwową instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wystawę stałą udostępniono 2 marca br.

Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce jest jedyną placówką muzealną w Polsce poświęconą w całości Żołnierzom Niezłomnym. Ekspozycja stała przybliża życiorysy, a także wartości tych, którzy nie złożyli broni. Ukazuje losy Wyklętych od 1939 r., sowietyzację Polski po zakończeniu drugiej wojny światowej, walkę z komunistami i bezwzględność zaborcy mordującego polskich patriotów.

Ekspozycja ukazuje też długi i trudny proces walki o pamięć i dobre imię Wyklętych. Proces, który wciąż trwa. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GDZIE? ***Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

ZABIJ TO...

Czternaście lat realizowana była animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta" Mariusza Wilczyńskiego. Aby stworzyć tę wędrówkę przez krainę wspomnień, wykonano kilka tysięcy rysunków. Wystawa „Zabij to..." w warszawskiej Zachęcie to nie tylko oryginalne rysunki, choć oczywiście także. Głównym jej elementem jest ukazanie, jak ważnym elementem przestrzeni filmowej jest dźwięk. Trzeci filar ekspozycji to udźwiękowione i zmontowane sceny, które nie weszły do ostatecznej wersji filmu, ale których obecność na wystawie pozwala pokazać część warsztatu współczesnego animatora. ©℗

GDZIE? ***Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki***
KIEDY? ***do 26 czerwca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Poważne sprawy

Nazwa zespołu pochodzi od techniki terapeutycznej Arthura Janova, której elementem jest uwalnianie lęków przez łzy. Pewnie nie przypadkiem największy przebój zespołu nosi tytuł „Shout" („Krzyk"). Dzięki albumom „Songs from the Big Chair" i „The Seeds of Love" Tears For Fears stali się światowymi gwiazdami. Curt Smith nie wytrzymał jednak presji sławy i wycofał się w 1991 r. Roland Orzabal kontynuował działalność zespołu, ale z miernym powodzeniem. Również powrót duetu w 2004 r. przeszedł bez echa. Tym razem prasa muzyczna jest zachwycona.

Wita nas gitara akustyczna, która wprowadza wokal Orzabala rozbrzmiewający pośród pogłosów subtelnej elektroniki i organów. Kiedy dołącza Smith, odnajdujemy dobrze znany klimat. Utwór tytułowy opowiada o ostatnim stadium choroby Caroline. Do cierpień ukochanej żony Curta nawiązuje również „Please Be Happy". „Break The Man" traktujący o przełamywaniu patriarchatu przywołuje psych-popowe brzmienia, z których zespół słynął. Natomiast „Master Plan" jest rozrachunkiem z przemysłem muzycznym, który przekształca artystów w towar. Centralną kompozycją jest sześciominutowa „Rivers of Mercy". Ta emocjonująca ballada zestawia stan uzdrowienia z pandemią i rasowymi protestami z lata 2020 r. Album nie zawiera szczególnie nowoczesnych rozwiązań muzycznych i może dlatego powinien zadowolić starych fanów. ©℗

★★★★★☆
TEARS FOR FEARS
„THE TIPPING POINT"
CRAFT

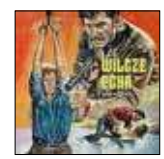

★★★★☆☆
WOJCIECH KILAR
„WILCZE ECHA"
GAD

Słynny kompozytor w 1967 r. udanie zmierzył się z poetyką westernu. Wprawdzie bohaterami są bieszczadzcy kowboje, ale muzyka nie ustępuje amerykańskim wzorcom. Płytę uzupełnia soundtrack Kilara do innego filmu Aleksandra Ścibora-Rylskiego – „Późne popołudnie" (1964).

★★★★☆☆
AVRIL LAVIGNE
„LOVE SUX"
ATLANTIC

20 lat temu album Kanadyjki pt. „Let Go" osiągnął 16-milionowy nakład. Beztroska punkówa przeistoczyła się we wściekłą kobietę wymiatającą hymny dla wkurzonych i wyczerpanych. Samozwańcza „motherf*cking princess" odzyskała pop-punkową koronę, a premier Justin Trudeau uciekł „przed nią" z Ottawy. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Krzysztof Masłoń

Wołodymyr Zełenski w serialu „Sługa narodu" jako nauczyciel Hołoborodko, który nieoczekiwanie zostaje prezydentem Ukrainy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jezus Maria, wszystko nieaktualne!

Jeszcze wczoraj wszystko działo się zgodnie z przewidywaniami. Maciej Stuhr uganiał się po Puszczy Białowieskiej za uchodźcami z bliżej niezidentyfikowanych krajów świata – niesłusznie nazywanego niegdyś trzecim – których pragnął ugościć w swoim domu na Żoliborzu. Posłanka Jachira Klaudia przygotowywała nowe happeningi, Janina Ochojska wstydziła się za faszystowskie państwo polskie, Donald Tusk robił stroskane miny i to układał, to burzył koalicyjne klocki, a PiS, oczywiście, chylił się ku upadkowi. Spór o mur graniczny nie ustawał, a każdy dzień zaczynał się i kończył podsumowaniem liczby hospitalizowanych i zmarłych na COVID-19.

I oto wszystko p… Z dnia na dzień wywiało ze szklanego ekranu Brejzy, Frasyniuki, Jońce i Nitrasy. Borys Budka dopytywał się nawet, co z Tuskiem, bo nawet ten jakby z lekka się wyciszył. Niespodzianki jednak się zdarzają. Okazało się na przykład, że Radosław Sikorski ma sumienie i to ono nie pozwala mu rozmawiać z reżimowymi mediami. Zezwala natomiast na pogaduchy ze słynącymi z niezależności polskojęzycznymi stacjami telewizyjnymi takimi jak TVN, w których doliczono się właśnie, że ich flagowe „Szkło kontaktowe" uczy i bawi maluczkich od, bagatela, 17 lat. Z tej okazji niegdysiejszy humorysta Tomasz Jachimek przepytał swoich kolegów z tegoż „Szkła…", spisał rozmówki i wydał dzieło pod tytułem „No i pogadali". Dowiadujemy się z niego, że w początkach nadawania tego programu na czas wakacji robiono w nim przerwę, nabierano sił i jesienią powracano do zwyczajowych ataków na przeciwników politycznych. Teraz o jakichkolwiek przerwach nie ma nawet mowy. Musisz być, propagandysto, czujny, zwarty i gotowy. Jak to mawiali dziadowie i ojcowie gwiazd TVN: „Bud' gotow, wsiegda gotow".

Tyle że tego jakże wdzięcznego hasełka niepodobna już przywoływać, bo w dzisiejszej atmosferze niebawem za używanie języka rosyjskiego grozić będzie kara ograniczenia wolności, a co najmniej grzywny do 5 tys. zł. O tym, że język rosyjski zostanie definitywnie wycofany ze szkół i uniwersytetów, nie ma nawet co mówić, bo to oczywiste. Potężna praca kulturotwórcza w tej materii czeka zwłaszcza telewizję publiczną, która zresztą przystąpiła do niej pełna entuzjazmu. Możemy być pewni, że w ramówce znajdą się wszystkie dotąd jeszcze niepokazywane filmy i seriale ukraińskie, a „Sługa narodu" z kultową rolą Wołodymyra Zełenskiego jako nauczyciela Hołoborodki, który nieoczekiwanie zostaje prezydentem Ukrainy (a słowo ciałem się stało!), emitowany będzie na kanale TVP Seriale non stop. Za to z oferty filmowej TVP Kultury znikną nieśmiertelne „Lecą żurawie" wraz z innymi produkcjami sowieckimi i rosyjskimi. Trwają dyskusje o tym, czy wyrugować z obiegu literaturę rosyjską w całości czy uczynić wyjątek dla klasyki, ale dopóki nie wypowiedzą się w tej kwestii autorytety w osobach Kingi Dunin, Klementyny Suchanow i Krzysztofa Vargi, dopóty sprawa pozostaje w zawieszeniu. Na razie podpowiadam: Puszkin won, zamiast niego Taras Szewczenko, a potem się zobaczy.

Nowa sytuacja wymusza przygotowanie nowego, a przynajmniej mocno zmodyfikowanego repertuaru przez Zenka Martyniuka, Marcina Millera i inne filary rozrywki preferowanej przy ulicy Woronicza niemal tak samo jak teleturnieje. A że ostatnio o mało się nie popłakałem ze wzruszenia, słuchając Mateusza Matyszkowicza wynoszącego pod niebiosa wartości „Gigantów historii", pozwolę sobie tutaj wyważyć otwarte już być może drzwi i podpowiedzieć pilną potrzebę przygotowania nowego teleturnieju „Ukraina bez tajemnic". Do rozstrzygnięcia pozostaje kwestia, czy ma go prowadzić Maciej Kurzajewski czy Przemysław Babiarz. Starsza telewidownia wolałaby może Tadeusza Sznuka, ten jednak ostatnio wsławił się uznaniem jako błędnej odpowiedzi uczestnika „Jednego z dziesięciu", który na pytanie, o ilu postaciach historycznych mówi się w naszym hymnie narodowym, odparł: „Czterech". „Trzech" – zawyrokował prowadzący, gubiąc – widać – Tadeusza Kościuszkę, o którym Józef Wybicki pisał – tak jak o Dąbrowskim, Czarnieckim i Bonapartem – tyle że w jednej z dwóch zwrotek „Mazurka" akurat wykonywanych bardzo rzadko. Co nie oznacza, by rugować z hymnu naczelnika insurekcji roku 1794.

Teraz jednak przyszła pora na to, by nauczyć się na pamięć niemal bliźniaczego hymnu ukraińskiego: „Szcze ne wmerła Ukrajiny ni sława, ni wola". I odpowiednio interpretować frazę o „krwawym boju od Sanu po Don".

Tyle pracy czeka nas wszystkich, głównie cenzorskiej. Zerkam właśnie w program telewizyjny i widzę, że na kanale TVP Historia bezwstydnie wdzięczy się coś nazwanego „Do przyjaciół Moskali". Panie Boże, strzeż nas od takich przyjaciół, bo z wrogami damy sobie radę. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. PHILIPPE BLUSSIN/EP/EU

Z prof. Ryszardem Legutką, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wyprzedaż złudzeń

RYSZARD GROMADZKI: Czy agresja Rosji na Ukrainę oznacza zasadnicze przewartościowanie w europejskiej polityce?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Nie, nie zakładam tego. Obserwując od wielu lat politykę europejską i amerykańską, raczej widzę ciągłość. Oczywiście są pewne zawirowania, kiedy wieszczy się zmiany. Tak było po atakach na World Trade Center, kiedy dużo mówiło się o zmianach w amerykańskiej polityce, które, jak dzisiaj widać, okazały się nietrwałe.

Podobne prognozy w różnych okolicznościach stawiano co do kierunku europejskiej polityki, po zajęciu Krymu przez Rosję. Obecny rosyjski najazd na Ukrainę stanowi pewne wahnięcie, ale nie zmieni długofalowej logiki politycznej. Rzeczywistość jest taka, że ciągle najsilniejszymi krajami w Europie są Niemcy i Francja, które są ogólnie prorosyjskie i widzą swój interes oraz porządek polityczny na kontynencie we współpracy z Rosją. Oczywiście i tam po napaści Putina na Ukrainę niektórzy biją się w piersi, media mocno krytykują, ale prędzej czy później to się skończy i znowu trzeba będzie się dogadywać z Rosją. Tak to niestety działa.

Czyli mamy do czynienia wyłącznie z grą pozorów? Jak w takim razie traktować gwałtowną zmianę niemieckiej polityki wobec Ukrainy? Kanclerz Scholz zapowiedział dostawy niemieckiej broni dla Ukraińców, podpisał się też pod dotkliwymi – jak się wydaje – sankcjami nałożonymi na Rosję. Mam na myśli wyeliminowanie jej z systemu SWIFT.

Niemcy są teraz w stanie konfuzji, trzeba więc z tego korzystać, wywierając możliwie dużą presję. Co zresztą już zadziałało w przypadku dostaw broni. Przecież na początku miały być tylko hełmy. Po pewnym czasie Niemcy jednak znowu się otrząsną i zaczną się rozpychać, wymądrzać i pouczać. Nie wiem, jak się ta wojna skończy, ale pamiętajmy, że sankcje uderzają też w sankcjonującego. Koszty, jakie będą ponosiły społeczeństwa zachodnie, wywołają po pewnym czasie reakcję odwrotną i wzrośnie presja na porozumienie z Rosją. Krym przecież już de facto został oddany Rosji i do tej sprawy już się nie wróci.

Na razie wahadło jest po dobrej stronie i już ok. 20 krajów wysyła broń na Ukrainę. Te, które tego nie robią, są w większości pod rządami socjalistycznymi, co nie powinno dziwić. Z tej przychylnej koniunktury i zmiany nastrojów trzeba korzystać. Trwałej reorientacji raczej nie będzie. Jeśli spojrzymy na historię po drugiej wojnie światowej, to mieliśmy przecież interwencję sowiecką na Węgrzech i w Czechosłowacji, Afganistan, stan wojenny w Polsce, wydarzenia, które powinny całkowicie skompromitować Związek Sowiecki, a jeszcze pod koniec lat 80. ogólne nastawienie Zachodu było takie, że należy prowadzić politykę akomodacji z Sowietami.

Później była Rosja i mieliśmy wojnę w Czeczenii, inwazję na Gruzję, a później Ukrainę w 2014 r. A jednak Rosja jako ten trwały element polityczny zawsze

eprasa.pl 7c5b88ceb9

brana jest pod uwagę i nadal będzie. Jest duża, silna, atrakcyjna ekonomicznie, a dla niektórych także sympatyczna. Proszę pamiętać, że Europa Zachodnia jest bardzo antyamerykańska i że wielu woli Rosję niż Amerykę. Dlatego obserwując teraz obfitość gestów solidarności wobec Ukrainy, nie popadajmy w sentymentalizm, lecz myślmy chłodno i korzystajmy z czasu, który został nam dany, nie łudząc się, że będzie on długi.

À propos złudzeń: czy brutalna napaść Putina na Ukrainę może przynieść choć częściową rewizję ideologicznej agendy, którą forsuje Unia Europejska? Czy promocja genderyzmu, LGBT, aborcji dalej będzie priorytetem Unii, pomimo dramatu rozgrywającego się na Ukrainie?

Nie będzie żadnej rewizji, bo dla Unii tzw. wartości europejskie to rzeczy święte i rdzeń tożsamości. Oczywiście nie są to żadne wartości, lecz dość prymitywna lewicowa ideologia. Tu lewica nastawiona prorosyjsko ma pewien problem, bo Putin przedstawia się jako konserwatysta.

Czym łudzi część prawicowych elit na Zachodzie...

Niewątpliwie łudzi. Kilka dni przed rosyjską inwazją na Ukrainę rozmawiałem z jednym z niemieckich polityków, który nie mógł zrozumieć polskiej orientacji na sojusz z USA. Co wy z tymi Amerykanami? Przecież tam rządzi straszna lewica, panoszy się polityczna poprawność. Dlaczego nie Putin, który cały ten wokeizm odrzuca? – pytał mój rozmówca.

Światło ze wschodu...

Tak. Światło ze wschodu. Rzeczywiście, Putin jest dość nieczuły na wszystkie te lewicowe nowości, ale europejska lewica gotowa była to przełknąć, bo Rosja Putina stanowi alternatywę dla Ameryki. Niemieckim socjaldemokratom czy francuskim socjalistom głoszącym religię LGBT nie przeszkadzało wcale łaszenie się do Putina, w którym widzieli gwaranta porządku.

Porządku także w obszarze energetyki? Przecież ten model wraz z agresją Moskwy na Ukrainę runął z hukiem. Ile wart jest Zielony Ład, gdy Kreml może szantażować większość Europy odcięciem od dostaw gazu? Unia, Niemcy wyhodowały potwora na własne życzenie?

Ponieważ jesteśmy bezpośrednio zagrożeni, to my powinniśmy określać kierunki i wpływać zasadniczo na politykę bezpieczeństwa

Gaz cały czas płynie rurociągami z Rosji, a w drugą stronę niezmiennie płynie rzeka pieniędzy. Łatwo bić się w piersi, kiedy się jest silnym. To takie paciorki, które rzuca się słabszym, dając im poczucie chwilowej ważności. „Patrzcie, jak przyznajemy się do błędu". W ciągu ostatnich dni wiele się mówi o uniezależnieniu Europy od rosyjskiego gazu. My mówiliśmy o tym od wielu lat, lecz nikt nas nie słuchał. Teraz jeden po drugim polityk europejski krzyczy z ogniem w oczach, że już dość tego uzależnienia. Jakby nagle z oczu opadły klapki.

... i następują cudowne nawrócenia.

Tak. Cudowne nawrócenia, gra piękna muzyka, a zakochana para idzie przed siebie na tle zachodzącego słońca. Ale to nie jest tylko chwilowa egzaltacja. Korzystają z niej politycy unijni, by przepchnąć swój program „Fit for 55", który jednak wielu się nie podobał. Mówią: uniezależniamy się od rosyjskiego gazu i dlatego nie ma alternatywy dla zielonej energii i Unia zrobi wszystko, by stać się zielona. Mamy tu zatem szczególne przemieszanie chytrości, ideologii i komedianctwa. Nauczymy się oddzielać to, co realne, od tego, co jest tylko komedianctwem.

Te wszystkie akty strzeliste, które słyszymy ze strony czołowych europejskich polityków o solidarności z Ukrainą i otwarciu szybkiej ścieżki akcesji dla tego kraju do Unii Europejskiej, można włożyć między bajki?

„Szybkiej akcesji" Ukrainy do Unii domaga się Europa Wschodnia. I słusznie. Natomiast Europa Zachodnia będzie się opierać. Z Ukrainą w Unii zachwiać się może władza głównego nurtu, który teraz ma monopol.

Jak wobec tego traktować nowy przekaz z Berlina? Kanclerz Scholz zapowiedział, że tylko w tym roku Bundeswehra ma zostać doposażona kwotą 100 mld euro, z kolei niemiecki minister finansów Lindner oświadczył, że w perspektywie dekady Niemcy powinny dysponować jedną z najsilniejszych armii w Europie. Te deklaracje oznaczają, że Niemcy chcą definitywnie zerwać się z „łańcucha pacyfizmu", który określał ich politykę po drugiej wojnie światowej?

Nadzwyczajna sytuacja, z którą mamy obecnie do czynienia, jest okazją do realizacji rozmaitych obietnic i planów. Nie potrafię odpowiedzieć, na ile Niemcy są zdeterminowani, żeby zbudować silną armię. Jak wiadomo, silna Bundeswehra obecnie nie jest czymś, co wprawia w zachwyt ludzi w Europie. Pewną gwarancją jest jej podległość strukturom NATO. Dobrze się stało natomiast, że wprowadzono kiedyś w Radzie tzw. fundusz pokoju i fundusze stamtąd zostaną użyte na zakup i dostawy broni do Ukrainy. Polski rząd był zresztą pierwszym, który takie użycie zaproponował. Komisja zaraz sobie ten pomysł przywłaszczyła, co wielu uznało za niepokojące. Skoro Komisja Europejska składa takie zapowiedzi, to łatwo sobie wyobrazić, że jest to tworzenie przestrzeni do powołania jakiegoś komisarza obrony.

Czyli mocny krok w stronę federalizmu?

Problem z Unią jest taki, że ludzie nią rządzący wykorzystują każdy kryzys, by rozszerzyć swoją władzę, zwykle łamiąc traktaty. Tak było ostatnio w przypadku COVID i tak starają się zrobić teraz, gdy wybuchła wojna. To bezwzględne i cyniczne rozszerzanie kompetencji jest dla nich priorytetem.

Czy strategia realizowana przez Polskę w trakcie kryzysu ukraińskiego jest właściwa? Czy kupujemy tak potrzebny nam do wzmocnienia czas? W ocenie niektórych analityków kolejnym celem imperialnej Rosji, jeśli uda się jej zhołdować Ukrainę, będzie Polska.

Taki scenariusz zawsze trzeba brać pod uwagę. Na pewno ważne jest, że Polska stała się niezwykle aktywna. Udało nam się pobudzić pewne działania, zmobilizować innych i zainspirować reakcje na napaść Rosji. To jest też nasz moment. Ponieważ jesteśmy bezpośrednio zagrożeni, to my powinniśmy określać kierunki i wpływać zasadniczo na politykę bezpieczeństwa. Skoro Niemcy i Francja są w defensywie, a ich polityka się skompromitowała, to w to puste miejsce musimy starać się wchodzić. Na razie nam się to udaje. I tak powinno być dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. IHP MEMORIAL FUND

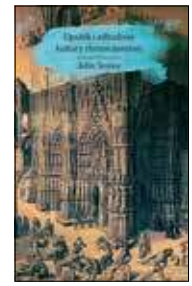

JOHN SENIOR „UPADEK I ODBUDOWA KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ" DĘBOGÓRA 2021

Manifest geniusza

Paweł Milcarek

W samym środku uniwersyteckiej amerykańskiej nowoczesności John Senior zdołał w latach 70. XX w. zasadzić małą roślinkę odbudowy edukacji klasycznej i cywilizacji chrześcijańskiej

John Senior to wychowawca. Jedną z najważniejszych cnót wychowawców i nauczycieli jest – przypominał to przed laty o. Woroniecki za św. Tomaszem – długomyślność. To umiejętność wydawania poleceń, których wykonanie przynosi owoce solidne i zakorzenione, i dlatego wymagające długiego dojrzewania. Każde wychowanie to więc ćwiczenie w nadziei, powierzanie swego trudu niepewnej przyszłości. Są też wśród wychowawców ludzie niebędący jedynie praktykami, lecz dalekosiężnymi myślicielami. Do takich należy autor „Upadku i odrodzenia kultury chrześcijańskiej". Znaczenie jego pracy polega na pokazaniu właściwej perspektywy długofalowych zmian.

Jest to manifest geniusza nawrócenia kultury. Geniusza wcielonego, to znaczy mędrca, który w samym środku uniwersyteckiej amerykańskiej nowoczesności zdołał w latach 70. XX w. zasadzić swoją małą roślinkę odbudowy edukacji klasycznej i cywilizacji chrześcijańskiej: program humanistyki, który ukształtował wielu, a licznych nawrócił. „Eksperyment" dr. Seniora został po kilku latach wytropiony i zlikwidowany przez tropicieli myślozbrodni: zbrodnią było czytanie ze studentami na stanowym uniwersytecie zarówno Homera, jak i św. Augustyna. Program edukacyjny zlikwidowano, ale zdążył już wydać owoce, wytworzył środowisko. To powinno nas dodatkowo upewniać: John Senior to nie tylko jeden z myślicieli, lecz także nauczyciel, wychowawca, który uruchomił małą lawinę odrodzenia kultury katolickiej i konwersji religijnych w środowiskach studenckich USA. Głosił, że na Zachodzie stanęliśmy jakby u końca liberalnej arterii kultury zachodniej. Podczas gdy tak wielu wybitnych chrześcijan (wspomnijmy np. Jacques'a Maritaina, ale był i jest legion znacznie mniej wybitnych) żywiło nadal złudzenia o możliwości zwykłego naprostowania kultury romantycznej i modernistycznej jako takiej, Senior widział konieczność ponownego nawrócenia się ludzi Zachodu na chrześcijaństwo, za pomocą wielkiej tradycji sprzed narzucenia się wyrobu chrześcijańskopodobnego.

Jest w myśleniu Seniora o niedawnej misyjności cywilizacji zachodniej spora doza mea culpa, nostra culpa. „Zbyt często – zauważał z goryczą – eksportowaliśmy pustą misyjną otoczkę wraz z kapitałem ekonomicznym". Winą byłoby zatem zaniedbanie w udzielaniu innym tego, co się samemu otrzymało jako dar: kultury antycznego logosu i chrześcijańskiej nadziei zbawienia. Zamiast tego Zachód prężył się przed światem swoją nowoczesną ambicją neutralnej wolności i dynamicznej przedsiębiorczości.

W książkach Seniora natrafi czytelnik na chłodną analizę obok gorącego pamfletu, a więc cichy głos diagnosty obok krzyku publicysty. Oba należą do autora „łowcy dusz na uniwersytecie" – ale pamiętajmy dobrze przy lekturze, że krzyk tylko podnosi problem, a jedynie cierpliwy wykład zaczyna go rozwiązywać.

Błyskotliwe, erudycyjne, wnikliwe ujęcia autora rozświetlają groźnie problem, przed którym stoimy. Daje on też odpowiedź – trzeźwą i realistyczną, bez „genialnych rozwiązań" i obietnicy szybkich przetasowań. „W historii, jak i w życiu jednostki wiele jest okresów, gdy z pogodą ducha trzeba praktykować trudną cnotę cierpliwości". Jakże te słowa dobrze pasują do drogowskazu, który Senior ustawił przed oczami swoich uczniów: duch reguły benedyktyńskiej. Senior zaproponował bowiem już dawno temu swoją własną „opcję Benedykta", ciekawszą i mądrzejszą niż to, co pod tą nazwą obudziło falę dyskusji niedawno, w związku z książką Roda Drehera. U Seniora jest to nie tyle eskapizm, ile „opcja" odrodzenia na solidnych fundamentach, a nie jedynie ukrywania się w ruinach. W zakończeniu książki czytamy: „Nie sugeruję, byśmy ukryli się w piwnicach, gromadząc zapasy, aby stawić czoła nadchodzącemu Antychrystowi. Wręcz przeciwnie. »Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie! A wy [bądźcie] podobni do ludzi oczekujących swego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć, gdy nadejdzie i zakołacze«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Koniec świata liberalistokracji

Rafał A. Ziemkiewicz

W polskiej polityce kompromitacja Niemiec i całej Unii ma skutek znacznie większy niż gdziekolwiek indziej. Tożsamość, oparta na obietnicy osiągnięcia „europejskości", traci swe podstawy

Amerykański naukowiec, bliższy republikanom niż demokratom, ale krytyczny wobec Donalda Trumpa, powiedział mi kiedyś, że kadencja tego ostatniego okazała się „czasem zmarnowanym". Ale nie miał na myśli byłego prezydenta – myślał o lewicowo-liberalnych elitach ze wschodniego i zachodniego wybrzeża.

Spodziewałem się, tłumaczył mój rozmówca, że wygrana Trumpa będzie dla nich szokiem, który ich zmusi do przemyślenia popełnianych błędów. Ale oni zamiast się zastanowić, jak do tego doszło – zamiast spytać samych siebie, co jest z nimi nie tak, że nie mieli lepszego kandydata niż Hillary Clinton, jedyna osoba, z którą Trump mógł wtedy wygrać – umieli tylko urządzić Trumpowi kocią muzykę. A w końcu jedyny kandydat, którego potrafili po czterech latach wystawić, okazał się politykiem od Clinton jeszcze gorszym!

Byłem zdumiony, że nakreślona przez mojego rozmówcę sytuacja amerykańskiej polityki tak bardzo przypomina to, co widzimy w Polsce. Poza jedną zasadniczą różnicą – że u nas odstawionym od władzy i „rządu dusz" nie udało się odnieść sukcesu już po jednej kadencji rządów „populistów" – wszystko się zgadza. Najpierw objawy wyparcia, jak z podręcznika psychologii: to niemożliwe, to się nie stało, głosowało na nich tylko 18 proc. uprawnionych! Potem – opowiadanie sobie bajek: to nie może potrwać długo, zaraz wyjdą na ulice miliony i powyrzucają ich z tych gmachów przez okna! Celebrowanie kolejnych zadymiarzy, z kurczowym zamykaniem oczu na to, że ściągają oni coraz mniejszą frekwencję, przyzwolenie na coraz większe chamstwo i brutalność w przekonaniu, że jeśli społeczny rezonans płynących z salonów przekazów wciąż jest znikomy, to jedyną możliwą przyczyną jest, że „wciąż jesteśmy zbyt grzeczni".

Nie wiem, kto był pierwszy: amerykańscy celebryci z „fuck Trump" czy polscy z „j…ć PiS", i nie jest to ważne. Ważne, że zachowania jednych i drugich są bliźniaczo podobne. I że tak samo zachowują się lewicowo-liberalne salony wszędzie – czy mówimy o zbrzydzonych popularnością „populistów", „nacjonalistów" czy wręcz „faszystów" salonach francuskich, włoskich, niemieckich czy może hiszpańskich.

ELITA XX-WIECZNEGO ZACHODU

„Niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli" – te słowa Talleyranda o przywróconych do władzy w ponapoleońskiej Francji niedobitkach francuskiej arystokracji doskonale pasują dziś do tej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

szczególnej elity XX-wiecznego Zachodu, wytworzonej przez system demokracji liberalnej, który pozwoliłem sobie nazwać liberalistokracją. Widocznie intelektualna bezradność, wyparcie rzeczywistości, agresja i hołdowanie coraz to bardziej prymitywnym zachowaniom są stałą cechą schyłkowej elity. Takiej, która zatraciła zdolność modyfikowania wyuczonych doktryn i zachowań, a tym samym przestała być zdolna do tego, do czego elita jest przeznaczona: do zarządzania społeczeństwem.

Umowa między społecznymi „dołami" a „górą" jest prosta: „góra" ma rozwiązywać problemy „dołów". Dopóki to potrafi, a przynajmniej dopóki potrafi stworzyć wrażenie, że to potrafi, dopóty imponuje i wszystko jest jej wybaczane. Kiedy jednak zwykli ludzie dojdą do wniosku, że „ci na górze" sobie z zarządzaniem życiem publicznym nie radzą, wymówienie dotychczasowej społecznej hierarchii staje się tylko kwestią czasu.

Ten proces można pokazywać i omawiać na wielu historycznych przykładach. Tracąca posłuch elita nigdy nie rozumie, co się dzieje. Zawsze reaguje agresją i wyparciem: do czego to dochodzi, chamstwo, zamiast słuchać, jak zawsze słuchało, zaczyna podnosić głowę! Próbuje też ukryć swe błędy, co z reguły prowadzi do kompromitacji jeszcze większej i jeszcze dalej idącej utraty społecznego szacunku. Tak było na przykład z arystokratycznymi elitami XIX-wiecznej Francji, które zabrnęły w kłamstwo o Dreyfusie, albo elitami carskiej Rosji, które skompromitowały się nagłaśnianiem rzekomej zdrady płk. Miasojedowa. Analogicznym współczesnym polskim przykładem służy agenturalna przeszłość Wałęsy jako TW „Bolka", w obronę którego zaangażowała się cała lewicowo-liberalna elita III RP, włącznie z tymi, którzy nie potrafili przy różnych okazjach ukryć, że doskonale znają prawdę, ale uważają ją za nieodpowiednią dla ludzi nienależących do towarzystwa.

Elita, żeby zachować sprawność, musi się odnawiać. Dzieje się to w sposób naturalny dopóty, dopóki drożne są kanały awansu społecznego i możliwość podejmowania sporu w obrębie samej elity. Niestety, ze swej natury ma ona zawsze skłonność do zamykania się w „jedynej słuszności". Opinie mącące błogie samozadowolenie są po prostu odrzucane w przekonaniu, że ludzie je głoszący nie mają szans w konfrontacji z cieszącymi się szacunkiem, zasiedziałymi autorytetami, wspieranymi przez narzędzia „dystrybucji szacunku" i siebie nawzajem.

Amerykańscy liberałowie poczuli się wystarczająco silni, by zmasowaną perswazją wmusić wyborcom polityk stanowiącą uosobienie wszystkiego, czego przeciętny Amerykanin nienawidzi. Sygnał ostrzegawczy, którym było odniesione nad nią zwycięstwo wśród zarejestrowanych wyborców demokratów przez zupełnie niebranego wcześniej pod uwagę challengera, Baracka Obamę, został zignorowany. Po jego kadencjach waszyngtońskie elity ponownie wskazały na Clinton. To było naprawdę proszenie się o klęskę.

Najbardziej charakterystyczne jest jednak to, w jaki sposób na swą klęskę zareagowała sama Clinton. W swojej wspomnieniowej książce nie pisze ani słowa o popełnionych błędach, o tym, że po prostu nie umiała wyborcom zaproponować niczego, co byłoby dla nich atrakcyjne. Z zapiekłym uporem oskarża Trumpa o to, że ją brutalnie atakował, oraz telewizję Fox – jedną z amerykańskich telewizji, która nie piała peanów na jej cześć – że była stronnicza i nie pokazywała jej tak, jak na to zasłużyła. I tylko dlatego przegrała.

Łudząco podobnie zachowuje się do dziś Bronisław Komorowski. Wszystko, co robili on sam i jego formacja, było bez zarzutu, nawet stanowiący ikonę „obciachu" czekoladowy orzeł był znakomitym pomysłem – a winę za przegraną ponosi jedynie brutalność PiS, który go wyszydzał, faulował i ośmieszał. Oczywiście bezpodstawnie.

W podobne tony biją związani z liberalno-lewicowymi salonami eksperci, jak choćby Anne Applebaum. Populiści okazali podłość, oszukiwali, straszyli… Applebaum posuwa się do takiego absurdu, że wbrew oczywistym faktom trwające do dziś sukcesy PiS tłumaczy „bezwzględnością" Jarosława Kaczyńskiego, który posunął się do stworzenia kłamstwa o zamachu w Smoleńsku. W istocie w zamach w Smoleńsku wierzyła zawsze tylko drobna część, nawet nie połowa najbardziej zdecydowanego elektoratu tej partii. A sukces roku 2015 osiągnięty został właśnie dlatego, że PiS całkowicie wyciszył narrację o zamachu, a Macierewicza ukrył tak głęboko, że TVN, chcąc w swym „obiektywizmie" za wszelką cenę jednak go w czasie kampanii pokazać, musiał wysyłać w tym celu specjalnego wysłannika z ukrytą kamerą na nienagłośnione spotkanie w parafialnej salce polskiego kościoła w Chicago.

Postawiona dziś w takiej sytuacji, w jakiej PiS był wówczas, lewicowo-liberalna opozycja nie jest w stanie dokonać tak trzeźwej oceny społecznych nastrojów i wyciszyć swoich radykałów. Przeciwnie, to oni grają pierwsze skrzypce. Na swoich bohaterów lansuje opozycja ludzi coraz bardziej wulgarnych, prymitywnych i zwyczajnie głupich, wciąż trzymając się zasady: Nie dociera do was? No to widocznie za mało jeszcze łoimy, za grzeczni jesteśmy!

MECHANIZM ODRZUCENIA

Amerykanie odrzucili elity nie dlatego, że „populista" opowiedział im jakieś plotki o Hillary Clinton, tylko dlatego, że wpierali ją ludzie, którzy zapewniali, że na kredytach hipotecznych i zakładach hedgingowych nie można stracić, że długi zabezpieczane na długach stanowią bezpieczną drogę osiągania życiowej stabilności i rosnącego dostatku – a kiedy wszystko się zawaliło, nie potrafili powiedzieć „przepraszam", tylko brnęli w wyparcie i oskarżali wszystkich, byle oddalić winę od siebie samych. Analogicznie działo się to w innych krajach. Także w Polsce.

U nas, w kraju peryferyjnym i postkolonialnym, kompromitacja elit liberalnej demokracji ma jednak jeszcze jeden wymiar. Bowiem w Polsce występowały one jako emanacja i pas transmisyjny oświeconych elit Zachodu. Szczególnie elit niemieckich. A te, jak widzimy, po klęsce umizgów wobec Putina i kompromitacji ich wieloletniej polityki są teraz jak dzieci we mgle. I nie zanosi się, aby cokolwiek zdołały wyartykułować.

W polskiej polityce, całkowicie tożsamościowej, ta kompromitacja Niemiec i całej Unii (w której jesteśmy przecież po to, jak nam od lat wmawiano, żeby nas w razie czego obroniła przed Putinem) ma skutek znacznie większy niż gdziekolwiek indziej. Tożsamość, oparta na obietnicy osiągnięcia „europejskości", traci swe podstawy. I dlatego, moim zdaniem, po agresji Putina na Ukrainę większość lewicowo-liberalnych salonów zaniemówiła. Nie, to nie jest skutek zdroworozsądkowego planu przeczekania trudnego momentu i zminimalizowania strat. Oni po prostu zapomnieli języka w gębie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Zawisza Czarny, jakiego wyobrażał sobie malarz Jan Matejko
FOT. MNW

Ostatnia krucjata Zawiszy Czarnego

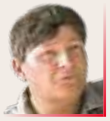

Jacek Komuda

Życie sławnego rycerza z Garbowa było spełnieniem kolejnych ideałów średniowiecznego rycerza: wierności, pobożności, męstwa, honoru i – na sam koniec – poświęcenia życia za wiarę i obronę granic

Jednym z największych osiągnięć dyplomatycznych Zawiszy Czarnego było doprowadzenie do spotkania Jagiełły i króla Zygmunta Luksemburskiego na Spiszu w marcu 1423 r. Władca Polski i Litwy wycofał się wówczas z popierania czeskich husytów oraz pomocy w rozprawieniu się z nimi. W zamian za to król Czech przestał popierać zakon krzyżacki. Zawarty wówczas traktat przerywał sojusz otaczający Królestwo Polskie.

Zawisza powrócił ze zjazdu jako zamożny rycerz, można powiedzieć – posesjonat, choć jeszcze nie możnowładca. Obaj władcy sowicie wynagrodzili go za usługi, godność i ludzkość, którą przejawiał nawet w kontaktach z nimi, przez całe życie godząc zwaśnionych i niechętnych władców, królów i książąt. Jagiełło mianował go starostą na Lubowli. Rycerz otrzymał także starostwo kruszwickie, poza tym Zygmunt Luksemburski zapisał mu 600 florenów na Koszycach, a także obdarował dobrami ziemskimi. W ręce Zawiszy trafił wówczas Sabinow na dzisiejszej Słowacji.

Dochody z misji dyplomatycznych i gospodarki sprawiły, że był w stanie rozszerzyć stare i nabyć nowe włości. Przede wszystkim wykupił od Piotra z Kurowa zamek w Rożnowie wraz z okolicznymi wsiami, stając się panem prawdziwie rycerskiej siedziby. A w 1425 r. wszedł w posiadanie klucza okolicznych włości: Jelni, Gurowa, Posadowa, Glinnika, Bartkowa, Załęża, Gródka i innych; mało kto wie, że od tego czasu pisał się jako Zawisza z Rożnowa, a nie z rodzinnego Garbowa, który pozostawił mniej zamożnym braciom. Kolejne włości nabył na Rusi – Staresioło w ziemi lwowskiej oraz Wilkowice i Rybnice pod Śniatyniem. Sulimczyk, mający wówczas ok. 50 lat, mógł więc powiesić miecz na ścianie i oddać się życiu szlachcica, które nieco ponad sto lat później Mikołaj Rej określił mianem „żywota człowieka poczciwego". To znaczy: gospodarowaniu w dobrach i życiu publicznemu. Zawisza brał udział w sądach i zjazdach – jak na roczkach sądowych w Łęczycy, gdzie rozsądzał spory synów zmarłego Mikołaja z Oporowa. W 1424 r. wyprawił w Krakowie ucztę z okazji ślubu króla Jagiełły z Zofią Holszańską znaną jako „uczta trzech królów", gdyż przybyli na nią Zygmunt Luksemburski i Eryk Pomorski, pan Danii. Nie zaniedbywał również obowiązków małżeńskich; ze związku z pierwszą żoną, której imienia nie znamy, miał syna Mikołaja przeznaczonego do stanu duchownego. Natomiast z drugiej – Barbary z Lubstowa, którą pojął w 1414 r. – miał kolejnych czterech synów: Marcina, Jana, Stanisława i Zawiszę.

Jednak Zawisza nie spoczął na laurach. Najprawdopodobniej na przełomie lat 1426 i 1427 otrzymał od cesarza Luksemburczyka zaproszenie do udziału w krucjacie przeciwko Turkom. Natychmiast odpowiedział na wezwanie. Niestety, decyzja ta miała okazać się najtragiczniejszą w jego życiu.

ZWIĄZEK RYCERZA I TCHÓRZA

Z Zygmuntem Luksemburskim, zwanym pogardliwie Luksemburczykiem, Za-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

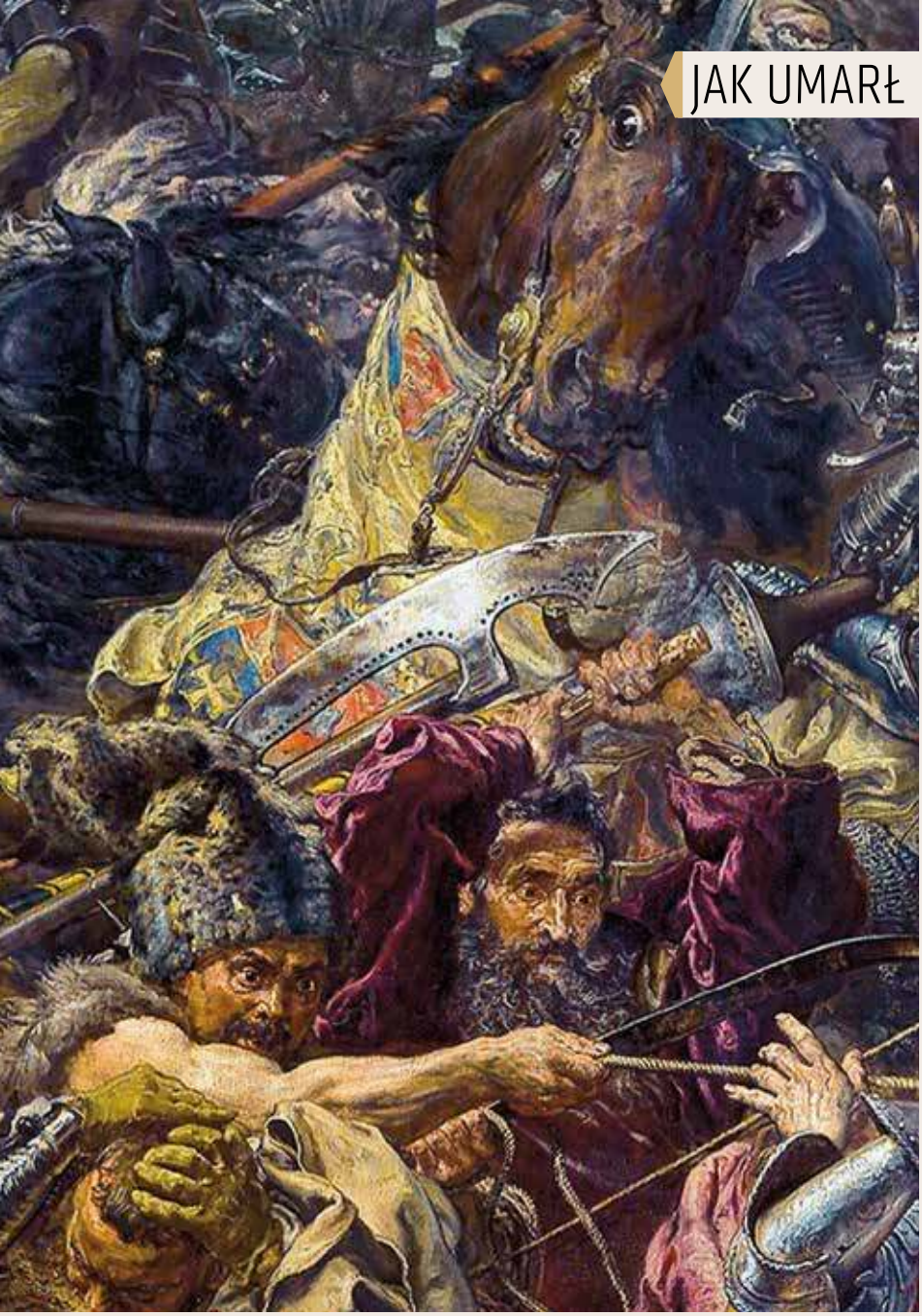

wisza związany był przez całe życie. Kim był ów król: Węgier, Niemiec, od 1419 r. Czech, książę Luksemburga, wreszcie od 1431 r. święty cesarz rzymski? Ocena tej postaci zależy od punktu siedzenia.

Dla historyków niemieckich był zręcznym dyplomatą, usiłującym pogodzić sprzeczności rozlicznych królestw i krajów, którymi władał. Nie sposób odmówić mu talentów, za jego czasów kwitł handel, bogaciły się miasta, powstawały nowe szlaki handlowe. A jednocześnie z punktu widzenia rycerskiej cnoty polskiej był tchórzem i kłamcą. Człowiekiem, którego nikczemność oddaje najlepiej jego imaginacyjny portret Albrechta Dürera. Człowiekiem, który całe życie knuł spiski i intrygi, jednak był zbyt chwiejny, aby doprowadzić je do końca. Gdyby nie to, że wielokrotnie zdradzał sojuszników, byłby śmiertelnym wrogiem Królestwa Polskiego i Litwy. To właśnie Luksemburczyk sprzymierzony z Krzyżakami od 1392 r. był współtwórcą pierwszej koncepcji rozbioru Polski. Przed wielką wojną wymusił na Krzyżakach ogromną daninę 340 tys. dukatów, obiecując uderzyć od południa na Królestwo Polskie. Jednak znając jego charakter, Jagiełło mógł spokojnie pomaszerować na Malbork. Zygmunt bowiem okpił Krzyżaków, zagarnął ich pieniądze i nic nie zrobił, dopiero pod koniec 1410 r. urządził napad na Stary Sącz.

W 1396 r. Luksemburczyk uciekł z bitwy pod Nikopolis, porzucając armię krzyżowców w krucjacie, którą sam zwołał przeciwko Turkom. W 1415 r. zgodził się na spalenie na stosie Jana Husa, któremu wcześniej udzielił gwarancji bezpieczeństwa i wystawił list żelazny. W późniejszych latach walczył z husytami w Czechach i odniósł serię kompromitujących porażek. Powstańcy czescy złoili mu tęgo rzyć pod Witkową Górą, Wyszehradem, Kutną Horą i Niemieckim Brodem.

Jednocześnie ten rozpustnik zdradzający namiętnie swoją żonę Marię Andegaweńską, po niej mąż równie wyuzdanej Barbary Cylejskiej utrzymującej prawdziwy harem kochanków, był człowiekiem pełnym zadziwiających sprzeczności. Ten tchórz i kłamca uwielbiał Zawiszę Czarnego, który wielokrotnie posłował do niego, prowadził negocjacje, towarzyszył w podróżach i walczył – na przykład osłaniając ucieczkę króla pod Niemieckim Brodem. Ten niezwykły związek dwóch ludzi jest dziś wręcz trudny do opisania przez historyków. Być może Luksemburczyk podziwiał i cenił Zawiszę za cechy, których brakowało u niego samego – męstwo i honor. Podobnie hojnie wynagradzał innych polskich rycerzy – jak Ścibora ze Ściborzyc i Andrzeja Balickiego. Nie bez znaczenia było też to, że ojciec Zawiszy, Mikołaj, zginął prawdopodobnie w czasie krucjaty 1396 r. pod Nikopolis. Dariusz Piwowarczyk pisze, że Zawisza otrzymał rycerski pas i ostrogi właśnie z rąk króla Zygmunta Luksemburskiego.

Zapewne wszystkie powyższe powody sprawiły, że w 1427 r. Zawisza zdecydował się stanąć na czele krucjaty antytureckiej zwoływanej przez Luksemburczyka. Nie bez znaczenia było to, że nie występował jako zwykły rycerz, ale jeden z jej przywódców. Zygmunt bowiem powierzył mu misję zwerbowania chorągwi rycerstwa zaciężnego. Sulimczyk osiągnął właściwie wszystko, o czym mógł marzyć giermek i rycerz z ubogiego Garbowa – sławę, bogactwo i znaczenie. Brakowało mu jednak tej jednej, tak ważnej dla rycerza cechy – udziału w krucjacie. Do udziału w wyprawie zachęcał go król Władysław Jagiełło. Był to bowiem czas, kiedy do Korony Polskiej przybywać zaczęły pierwsze poselstwa tureckie, starając się zniechęcić władcę do wsparcia króla Zygmunta. Ten zaś z kolei rozpowszechniał plotki, że Polska zawarła tajne porozumienie z Turcją. Na dworach znów zaczęła powracać antypolska retoryka z czasów przed Grunwaldu, kiedy Krzy-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Zawisza Czarny z Garbowa, rycina z 1831 r.
FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

żacy oskarżali nasz kraj o wspieranie pogan. Nic więc dziwnego, że wysłanie na krucjatę jednego z największych rycerzy oddalało podobne zarzuty od Władysława Jagiełły. W takiej oto sytuacji w maju lub czerwcu 1427 r. Zawisza z potężną chorągwią lub hufcem zaciężnych rycerzy przekroczył Karpaty.

ODRODZENIE TURCJI

W tym samym czasie na Bałkanach kolejne księstwa i królestwa waliły się pod tureckim naporem. Po klęsce Serbów i ich sprzymierzeńców na Kosowym Polu, po podboju Bułgarii w 1393 r. i kompromitującej klęsce krucjaty pod Nikopolis wydawało się, że lada chwila sułtan napoi konie w Dunaju i postawi stopę na Węgrzech. Bajazyd Błyskawica podbił Siwas i Kajseri w Anatolii, tworząc potężne i niebezpieczne imperium, które usiłowało zdobyć Konstantynopol, będący już tylko żałosną resztką dawnego cesarstwa wschodniorzymskiego.

Jednak w 1402 r. sułtan został zaatakowany przez jeszcze potężniejsze państwo Tamerlana, spadkobiercy Czyngis-chana, który pobił Bajazyda i jego lenników pod Ankarą, sułtana uwięził, a potem obwoził w klatce, pokazując, jak łatwo skończyła pod jego mieczem potęga Osmanów. Turcja została podzielona, ale po śmierci Timura władzę przejął Mehmed I, jeden z synów obalonego sułtana, po czym zawierając sojusz z Bizancjum, zdołał pokonać pozostałych braci. Kiedy w 1421 r. na tron wstąpił jego potomek Mehmed II, rozpoczął kolejne podboje na Bałkanach, stając się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Węgier. Gdy w lipcu 1427 r. zmarł Stefan Lazarević, despota Serbii, lennik sułtana, Zygmunt Luksemburski postanowił wejść w posiadanie Belgradu i Golubaca – naddunajskiej twierdzy położonej w pobliżu granicy z Wołoszczyzną i Siedmiogrodem. Zajęcie tych dwóch fortec pozwoliłoby na stworzenie linii obronnej opartej na rzece. Zygmunt zwołał wspomnianą krucjatę, jednak przybyłe na Węgry siły rycerstwa skierował w zupełnie inną stronę. Postanowił najpierw uzależnić od siebie Hospodarstwo Wołoskie. Taka zmiana celów była typowa dla tego niezdecydowanego i chwiejnego człowieka. W podobny sposób Zygmunt zmarnował już wcześniej zebrane z trudem w 1408 r. wojska krzyżowców, kierując je do walki z Bośnią zamiast z Turkami.

ZAWISZA NA WOŁOSZCZYŹNIE

Tymczasem Księstwo Wołoskie, leżące na styku interesów tureckich i węgierskich, rozrywane było walką pomiędzy dwoma pretendentami do hospodarskiego tronu: Danem, którego popierał Luksemburczyk, i Radu Łysym, zwanym Praznaglavą. Ten ostatni cieszył się wsparciem Turków, którzy wielokrotnie interweniowali w jego obronie i osadzali na tronie. Na przełomie lat 1426 i 1427 ponownie wkroczył do księstwa i odzyskał władzę (jak podaje Ilona Czamańska w „Mołdawii i Wołoszczyźnie wobec Polski…").

Zygmunt postanowił zatem najpierw odzyskać tron dla wiernego lennika. Kiedy próba pochwycenia żywcem Raduła się nie powiodła, skierował tutaj przybywające z Polski i Niemiec siły krzyżowców. Niemal na pewno Zawisza Czarny wziął udział w tej kilkumiesięcznej, trwającej aż do końca lipca kampanii, która skończyła się osadzeniem na wołoskim tronie Dana. Nowy władca natychmiast udzielił pomocy Zygmuntowi. Dariusz Piwowarczyk podaje, że dowództwo nad posiłkami wołoskimi powierzono właśnie Zawiszy Czarnemu z Rożnowa.

W tym samym czasie jednak Zygmunt stracił szansę na pokojowe uzyskanie Golubaca. Prowadził bowiem negocjacje z księciem Jeremiaszem, który władał miastem i zamkiem. Po śmierci despoty Lazarevicia nie uznał jego następcy i był gotów odstąpić twierdzę za 12 tys. dukatów. Zamiast się zgodzić, Zygmunt rozpoczął kampanię krętactw, usiłując podważyć legalność władzy Jeremiasza nad miastem. Skończyło się to fatalnie – pod koniec roku 1427 książę za taką samą sumę poddał się sułtanowi Mehmedowi II. Wojska osmańskie natychmiast zajęły twierdzę, stwarzając zagrożenie dla granic Węgier. Wówczas rozwścieczony Zygmunt postanowił zdobyć ją siłą. Ledwie skończyła się zima, skierował pod Golubac armię krzyżowców. Tym samym wpadł w pułapkę, w której poza nim zatrzasnęło się wielu wodzów węgierskich, bałkańskich i… polskich.

PUŁAPKA BAŁKAŃSKA

Jeszcze przed zdobyciem Konstantynopola Turcja była tak rozległym imperium, że ściągnięcie głównych sił z Anatolii w celu obrony Bałkanów trwało długie miesiące. Tak właśnie myśleli dowódcy krucjat; zakładali, że jeśli niespodziewanie zaatakują posiadłości tureckie w Serbii, Bułgarii lub na Wołoszczyźnie, to zdołają osiągnąć wielkie sukcesy i umocnić zdobyte tereny, zanim ogromna armia Wielkiej Porty zbierze się i przeprawi przez Dardanele. Jest wręcz zadziwiające, że od XIV do XVII w. bez przerwy popełniano ten sam błąd, nie doceniając szybkości przemarszu i mobi-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

lizacji armii tureckiej. Bo koniec końców prawie zawsze ten plan zawodził, a Turcy zjawiali się na polu walki znacznie wcześniej, niż ich wyczekiwano! W 1396 r. armia Bajazyda zaskoczyła krzyżowców oblegających Nikopolis. A w 1444 r. niespodziewanie przeprawiła się do Europy i zadała klęskę wojskom Władysława Warneńczyka, kiedy nikt nie spodziewał się tak szybkiego przemarszu.

Taki sam los spotkał armię krzyżowców pod Golubacem. Twierdza broniła się dzielnie, Zygmunt zarządził zatem oblężenie, nie spodziewając się, że Mehmed II po prostu go uprzedzi.

Oblężenie Golubaca jest słabo opisane w historiografii. Historycy ograniczają się w zasadzie do cytowania Długosza, który wystawił piękne epitafium Zawiszy. Jednak do dziś nie wiadomo, czy przedstawiona przez niego wersja wydarzeń jest prawdziwa. Tak czy owak, Luksemburczyk przeraził się Turków do tego stopnia, że wysłał do nich posłów i rozpoczął układy. Ostatecznie doszło do zawarcia zawieszenia broni na trzy lata – Węgrzy i Niemcy mieli zwinąć oblężenie, Turcy zaś pozwolić im wycofać się na północną stronę Dunaju. Jednak sułtan nie dotrzymał warunków i zaatakował przeprawiające się przez rzekę wojska krzyżowców. To ważne, gdyż był to ten sam Mehmed II, który 17 lat później wyrzucał niedotrzymanie pokoju naszemu królowi Władysławowi Warneńczykowi.

Według Długosza Zawisza pozostał na południowym brzegu, chociaż Zygmunt przysłał mu łódź, aby umożliwić odwrót. Być może tak jak pod Niemieckim Brodem Sulimczyk osłaniał do końca ucieczkę króla. „Jako nader gorliwy strażnik honoru rycerskiego, uważając za rzecz niegodną puszczanie swych towarzyszy, wybrał pozostanie z nimi" – pisał kronikarz. Co więcej, Długosz kazał mu włożyć lśniącą zbroję i dosiadłszy małego konia, w eskorcie dwóch pieszych wyruszyć naprzeciwko całej armii tureckiej. Wydaje się, że możemy włożyć to między bajki, nigdy w czasie życia Zawisza nie podejmował takich szaleństw jak samotna szarża na przeważającego wroga. Prawdopodobne jest raczej, że walczył wraz z pozostałymi Polakami i Wołochami w obronie przeprawiającej się armii, wreszcie został wzięty do niewoli. „Z powodu lśniącej zbroi i połowy czarnego orła, który nosił jako herb na rycerskim stroju okrywającym zbroję, uważano go za króla lub księcia".

Rycerz w zasadzie nie musiał obawiać się o życie. Bogatych jeńców Turcy oszczędzali, poza tym Zygmunt Luksemburski nieraz już wykupywał go z niewoli. Niestety, stało się inaczej – niespodziewanie między dwoma spahisami powstał spór o to, do kogo należy możny jeniec, za którego można było spodziewać się dobrej zapłaty. „Jeden i drugi [Turek] rościł sobie do niego pretensje z powodu budzącej poważanie godności królewskiej, którą w ich przekonaniu piastował. Ale ponieważ słabszy nie może stawić oporu silniejszemu, wyciągnąwszy oszczep [Turek] ściął głowę Zawiszy", aby nikt nie wzbogacił się na jeńcu. Stało się to prawdopodobnie w murach Golubaca, gdyż tam spędzono wziętych do niewoli rycerzy. Głowę Sulimczyka odniesiono sułtanowi, a jego ciało pogrzebali później Serbowie. Pozostali rycerze zostali wykupieni przez Zygmunta Luksemburczyka. Król Niemiec i Węgier szczerze żałował śmierci wiernego dworzanina, pisząc: „Zawisza z pewnością jawi się całemu światu jako rycerz najdzielniejszy i najbardziej biegły w rzemiośle". Zygmunt przyznał wdowie Barbarze roczną rentę w wysokości 300 florenów, prosił też wielkiego księcia Witolda o opiekę nad osieroconą rodziną. Ciała ani grobu rycerza nigdy nie odnaleziono, symboliczny pogrzeb odbył się w kościele o.o. Franciszkanów w Krakowie. A sam bohater pozostał już na zawsze ideałem najwierniejszego z rycerzy Królestwa. W sytuacji, w której dziś znalazła się Korona, jego poświęcenie i ofiara nabierają nowego wymiaru dla współczesnych Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zamek Golubac w Serbii

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 7c5b88ceb9

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Proxy war na Ukrainie

Wojna zastępcza (proxy war) to popularne hasło ze słownika geopolityki. Oznacza konflikt zbrojny, w którym dwa mocarstwa nie ścierają się ze sobą bezpośrednio, ale za pośrednictwem i na terenie państw trzecich.

Wiele takich konfliktów toczyło się podczas zimnej wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Dwa przykłady z brzegu: Wietnam i Afganistan. Według wielu ekspertów obecna wojna na Ukrainie jest właśnie taką proxy war.

Strategicznym celem Putina jest nie tyle sama Ukraina, ile wyrzucenie z Ukrainy – a więc ze swojego przedpola – Amerykanów i Europejczyków. W ten sposób rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi a Federacją Rosyjską weszła w zupełnie nową erę. Kończy się czas dyplomacji. Przemówiły armaty.

O tym, jak do tego doszło, opowiada ciekawa książka „Szaleństwo i chwała" znanego amerykańskiego eksperta Tima Weinera. Jej tematem jest „wojna polityczna" między Stanami Zjednoczonymi a moskiewskim ośrodkiem władzy. W latach 1945–1991 ze Związkiem Sowieckim. A od roku 1991 z Federacją Rosyjską.

Obecnie oczywiście najbardziej interesuje nas ten ostatni okres. Gdy za czasów Borysa Jelcyna Rosja leżała na deskach, rywalizacja mocarstw przygasła. W erze Putina imperium przeszło jednak do kontrataku. Rosja zaczęła odbudowywać swoją pozycję i działać na rzecz obalenia jednobiegunowego porządku. Skruszeniu globalnej amerykańskiej supremacji Pax Americana.

„W XXI wieku Rosja przeszła do kontruderzenia przeciwko Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom, działając skrycie i wywrotowo – pisze Tim Weiner. – Jej działania podkopały amerykańską demokrację – budowlę, która w ciągu ćwierci milenium przetrwała wojnę domową i dwie wojny światowe. Rezultat może zdecydować o losie USA i o tym, czy światem rządzić będą demokraci czy autokraci".

Jak widać, książka jest niezwykle aktualna. A epilog do „Szaleństwa i chwały" dopisało życie. Niezależnie od tego, jak ostatecznie skończy się wojna na Ukrainie – jedno jest pewne. Historia, jak lubił mawiać śp. prof. Paweł Wieczorkiewicz, wściekle przyspieszyła. ©℗

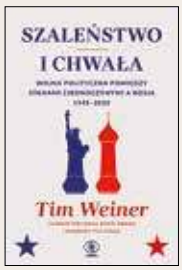

★★★★★★

TIM WEINER „SZALEŃSTWO I CHWAŁA" REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tango milonga

Wprawdzie przedwojenny kabaret literacki ewoluował powoli w stronę rozrywki bardziej przystępnej, ale dopiero w 1925 r. w stolicy pojawił się typowy teatrzyk rewiowy. Część skłóconych z dyrekcją aktorów założyła Perskie Oko (potem przemianowane na Morskie Oko) z tłumami tancerek i tancerzy obwieszonych sztuczną biżuterią, boa z piór i nieodzownymi pochodami po schodach. To właśnie na scenie Morskiego Oka wylansowano: „Całuję twoją dłoń, madame", „Ja się boję sama spać", „Czy pani mieszka sama?". Jego dyrektor, Andrzej Włast, dorabiał do swoich programów ideologię: „O powodzeniu piosenki we współczesnej rewii rozstrzyga dobry refren. W tym też kierunku pracuje inwencja twórcza autorów. Dobry refren z łatwą i melodyjną muzyką rozstrzyga często o powodzeniu całej rewii".

W 1929 r. Stanisława Nowicka wykonała po raz pierwszy „Tango milonga"

Nie zmienia to jednak faktu, że teksty Własta stały się synonimem najgorszej szmiry. Boy-Żeleński zauważył kiedyś, że jego piosenki „mają tę cenną właściwość, że można je śpiewać na wspak i w ogóle we wszystkich kierunkach". Ale czy mogło być inaczej, skoro na scenie Morskiego Oka śpiewano: „Na bulwarach tłum, w kawiarenkach pary pełne dum"? Ewentualnie: „Na mym ciele blizna sina wciąż mi ciebie przypomina"? Albo: „Do ust rozkoszy niosła wonną kruż"? Jednak Włastowi zdarzyło się napisać tekst do „Całuję twoją dłoń, madame", co zapewniło mu poczesne miejsce w historii polskiej piosenki.

Na scenie Perskiego Oka zaprezentowano po raz pierwszy w Polsce charlestona. Zula Pogorzelska, posiadaczka najpiękniejszych nóg Warszawy, osiągnęła nieprawdopodobny sukces, co oczywiście miało przełożenie na sukces całego programu. Zachwycali się głównie mężczyźni, ale przecież nie przychodzili na rewię samotnie…

Złośliwi twierdzili, że w przedstawieniach Własta było „dużo nóg, a mało mózgu", ale tego oczekiwał odbiorca. Repertuar Morskiego Oka wypełniał lukę pomiędzy kulturą inteligencką a resztą społeczeństwa. Dostarczał rozrywki tym, dla których niedostępny był świat wartościowych książek, teatru czy sali koncertowej. Ale to właśnie na scenie Morskiego Oka miała miejsce premiera jedynego polskiego przeboju muzycznego o ogólnoświatowym zasięgu. 7 marca 1929 r. Stanisława Nowicka wykonała po raz pierwszy „Tango milonga" z muzyką Jerzego Petersburskiego i słowami Andrzeja Własta. Tym razem pan dyrektor pod względem literackim stanął na wysokości zadania… ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. ADOBE STOCK

PIĘTNAŚCIE LAT WIĘZIENIA ZA PRAWDĘ O WOJNIE

Rosyjska Duma Państwowa w pośpiechu zmieniła prawo. Od teraz w kraju Putina „za rozpowszechnianie fałszerstw o działaniach rosyjskich sił zbrojnych" grozić będzie aż do 15 lat więzienia. I teraz konsternacja. Skoro to kara za fake newsy, to znaczy, że zaczną tam wsadzać sami siebie za mówienie, iż agresja to „operacja wojskowa", oraz zachwalanie jej przebiegu i twierdzenie, że Ukraińcy witają rosyjskie wojska kwiatami?

RUSKI ODWET ZA SANKCJE

Rosyjska propagandowa machina po najechaniu Ukrainy mocno się zacięła. Próbują oddolnie pomagać sami Rosjanie. Jeden z nich postanowił zaprezentować światu, że wcale go nie obchodzą sankcje Zachodu. Nagrał wideo, na którym zniszczył starego iPada młotkiem. Przy okazji jednak sam doznał kontuzji – rozciął sobie palec. Nagranie obiegło Internet po tym, jak pokazał je niezależny białoruski informacyjny serwis Nexta.

UKRADLI ROSJANOM CZOŁG

Podczas agresji Rosji na Ukrainę dochodzi do wielu groteskowych sytuacji. Są nagrania przedstawiające porzucony sprzęt, który okoliczni rolnicy zaciągają traktorami do swoich gospodarstw. Ukraińska telewizja TV24 (a potem agencja prasowa Unian) poinformowała, że w ubiegłym tygodniu okupanci w nietypowy sposób stracili czołg. We wsi Lubimowka w obwodzie chersońskim lokalni Romowie ukradli sprzęt żołnierzom.

BBC W OBJĘCIACH PROPAGANDY

W ubiegłym tygodniu, w momencie gdy do Polski dotarło już ponad 300 tys. uchodźców z Ukrainy, BBC zamieściło tweet z krótkim wideo. Na nim czarnoskóry uciekinier z terenu wojny skarżył się na złe traktowanie. Wiadomość osadzono tak, jakby doznawał czegoś złego w Polsce. Tymczasem – jak potem sprostowała autorka filmu – mężczyzna skarżył się na warunki po ukraińskiej stronie, a polską pomoc chwalił. Tweet został usunięty.

LE PEN WYCOFUJE ULOTKI

Katastrofa PR-owska liderki prawicy. Jak doniósł dziennik „Libération", Marine Le Pen wycofuje milion swoich ulotek wyborczych, które wydrukowano na potrzeby trwającej właśnie we Francji kampanii prezydenckiej. Powód? Le Pen zamieściła tam m.in. zdjęcie, na którym pozuje z prezydentem Federacji Rosyjskiej Władimirem Putinem. Jednocześnie prawicowa kandydatka na urząd prezydenta podtrzymuje swoje przekonanie o potrzebie opuszczenia przez Francję paktu NATO. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Najgorsze przed nami

Liczba uchodźców z Ukrainy w ciągu kilku dni od rosyjskiej inwazji przekroczyła milion. Rosyjscy żołnierze coraz częściej mordują ukraińskich cywilów, dokonując zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Putin ma już gwarantowane miejsce w podręcznikach obok takich bestii jak Stalin, Hitler, Idi Amin czy Iwan IV Groźny. Putin jest pewny, że nigdy nie trafi przed Międzynarodowy Trybunał Karny. Rosja wielokrotnie za jego rządów mordowała przecież przeciwników nawet w Wielkiej Brytanii, i to przy użyciu najgroźniejszej broni chemicznej. Rosja Putina od lat popełnia też zbrodnie wojenne w Syrii. Jego wojska bombardują szkoły, szpitale, targowiska, osiedla mieszkalne i piekarnie, strzelają do wyraźnie oznaczonych karetek, mordują ratowników i wykorzystują arsenał zakazany przez cały cywilizowany świat: od okrutnych ataków chemicznych do bomb zapalających, które powodują piekielnie bolesne oparzenia i wywołują trudne do ugaszania pożary.

Jak reagował na to świat? Owszem, w Radzie Bezpieczeństwa ONZ powstawały pięknie brzmiące rezolucje, które Rosja aż kilkanaście razy musiała zawetować. Putin mimo ataku na Gruzję, Ukrainę i Syrię był jednak przyjmowany na salonach wolnego świata. Należy się więc przygotować na to, że wraz z rosnącym oporem Ukraińców rosnąć będzie też liczba przypadków okrutnych zbrodni wojennych. Kijów już pokazuje dowody, że Rosjanie użyli zakazanych bomb termobarycznych, a więc de facto odpowiedników taktycznych ładunków atomowych, które powodują nie tylko ogromne zniszczenia, lecz także pewną śmierć w straszliwych męczarniach. Już wiadomo na pewno, że podbita i rozbita na małe „republiki ludowe" Ukraina to dopiero pierwszy cel Putina. Kolejne będzie Naddniestrze, a potem… ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Atom: broń do odstraszania

Witold Repetowicz

Groźby ze strony Putina dotyczące broni nuklearnej mają na celu zastraszenie opinii publicznej na Zachodzie. Dlatego nie można panikować. Faktem jest, że Rosja dysponuje największym arsenałem jądrowym i tylko na tym poziomie ma militarną przewagę. Jednak zgodnie z doktryną wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia użycie broni nuklearnej jest w zasadzie wykluczone

Obecnie na świecie jest ponad 12 tys. głowic nuklearnych, przy czym ok. 6250 jest w posiadaniu Rosji, a 5500 USA. Broń nuklearną posiada jeszcze siedem państw, przy czym trzy (Chiny, Francja i Wielka Brytania) są stronami zawartego w 1968 r. traktatu o nieproliferacji broni jądrowej (NPT), którego celem było przede wszystkim niedopuszczenie, by kolejne kraje stawały się potęgami nuklearnymi. Udało się to tylko częściowo, choć niemal wszystkie państwa na świecie przystąpiły do NPT. Nie zrobiły tego wyłącznie Pakistan, Indie, Izrael oraz Sudan Południowy. Te dwa pierwsze oficjalnie dysponują bronią nuklearną, a Izrael – nieoficjalnie. Arsenały Rosji i USA stanowią przy tym ok. 90 proc. wszystkich zasobów broni nuklearnej na świecie. Chiny dysponują 350 głowicami, Francja – 290, Wielka Brytania – 225, Pakistan – 165, Indie – 160, a Izrael – 90.

Ostatnim państwem, które weszło w posiadanie broni nuklearnej, jest Korea Północna. Była ona stroną NPT, ale następnie z niego wystąpiła w 2003 r., a w 2006 r. przeprowadziła pierwszy test broni nuklearnej. Ocenia się, że cały arsenał północnokoreański to tylko 20 głowic. Kilka innych państw również prowadziło swoje programy nuklearne nastawione na zdobycie broni nuklearnej, co wiąże się z traktowaniem jej jako swoistej polisy ubezpieczeniowej. Niektóre z nich jednak dobrowolnie odstąpiły od tych działań, a inne zostały do tego zmuszone. Obecnie największe kontrowersje budzi irański program nuklearny, który według oświadczeń władz tego kraju ma charakter pokojowy (zapewnienie krajowi energii nuklearnej). Te intencje są jednak podważane przez inne kraje, w tym w szczególności Izrael, a także USA i UE.

KRYZYS KUBAŃSKI

Historia broni nuklearnej sięga końca drugiej wojny światowej, gdy trwał wyścig o jej zdobycie między USA, ZSRS i Niemcami. Ostatecznie niemiecki program nuklearny, kierowany przez Kurta Diebnera, został przerwany przez upadek III Rzeszy, zanim doczekał się efektów. Natomiast Amerykanie pierwszą próbę atomową przeprowadzili 16 lipca 1945 r., a 6 i 9 sierpnia 1945 r. dokonali za jej pomocą ataku na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki. Zginęło ok. 150 tys. osób, a Japonia wkrótce potem skapitulowała. Nigdy więcej broni nuklearnej nie użyto. Amerykanie nie ustrzegli się jednak

Interkontynentalny pocisk Topol-M

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 7c5b88ceb9

przed zinfiltrowaniem ekipy pracującej nad bronią nuklearną w ramach projektu Manhattan przez sowieckich szpiegów, dzięki którym ZSRS zdobył broń nuklearną w 1949 r. Wielka Brytania dołączyła do państw nuklearnych w 1952 r., w czym pomogło jej to, że w jej ręce wpadł Diebner i wielu innych członków jego ekipy naukowej. Francja swoją pierwszą próbę przeprowadziła w 1960 r., a Chiny w 1964 r.

Przed ostatnimi nuklearnymi pogróżkami Putina największy kryzys związany z potencjalnym użyciem broni nuklearnej miał miejsce w 1962 r. w związku z planem rozmieszczenia rakiet sowieckich na terenie Kuby. Związek Sowiecki wciąż był stroną słabszą, więc ostra reakcja prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego spowodowała, że Chruszczow wycofał się z tego planu. Rozpoczął się jednak nuklearny wyścig zbrojeń, a na wyobraźnię międzynarodowej opinii publicznej oddziaływały apokaliptyczne wizje trzeciej wojny światowej i totalnej zagłady, przedstawiane w wielu filmach i książkach. O ile w 1962 r. USA miały 25 tys. głowic, a ZSRS nieco ponad 3 tys., o tyle światowy arsenał nuklearny osiągnął swoje apogeum w połowie lat 80. z ponad 70 tys. głowic, w tym 40 tys. sowieckich i 23 tys. amerykańskich. W tym czasie USA i ZSRS (a następnie Rosja) zaczęły zmniejszać arsenały w ramach traktatów rozbrojeniowych.

Faktem jest, że w czasie zimnej wojny kilkakrotnie doszło do sytuacji, w których niemalże użyto broni nuklearnej, przy czym powodem była pomyłka. Zdaniem niektórych dowodzi to, że doktryna wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia nie działa. Zakłada ona, że gigantyczne arsenały nuklearne, których siła rażenia jest tak duża, że ich użycie oznaczałoby koniec życia na Ziemi, powodują irracjonalność decyzji o jej użyciu, a zatem wykluczają konfrontację nuklearną. Warto jednak zwrócić uwagę, że ostatecznie właśnie to, że odpalenie rakiet z głowicami jądrowymi byłoby szaleństwem (doktryna wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia to w skrócie MAD, a zatem właśnie szaleństwo), spowodowało, że do tego nie doszło. Ponadto arsenał nuklearny po obu stronach miał być też powodem tego, że zimna wojna nie przekształciła się w wojnę konwencjonalną.

Jedną z luk w tych założeniach było jednak to, że wiele państw nie chciało zastosować zasady nieproliferacji. Pierwsze zrobiły to Indie w 1974 r., a następnie Pakistan w 1998 r. Oba kraje mają przy tym od 1947 r. bardzo napięte stosunki i wielokrotnie dochodziło między nimi do konfrontacji zbrojnej, m.in. w 1999 r., gdy oba państwa były już mocarstwami atomowymi. Groźba użycia tej broni jednak ostatecznie się nie zmaterializowała. Z kolei Izrael nigdy nie potwierdził (ale również jednoznacznie nie zaprzeczył), że posiada broń nuklearną. Brak też potwierdzenia przeprowadzenia testów, choć przypuszcza się, że mogło do tego dojść w 1963 lub w 1979 r. Izrael skutecznie zablokował natomiast aspiracje atomowe Iraku i Syrii, bombardując w ramach operacji „Opera" w 1981 r. iracki ośrodek Tuwaitha, a w 2007 r. w ramach operacji „Orchard" syryjski ośrodek pod Dajr az-Zaur. Ambicje atomowe miał też libijski dyktator Muammar Kaddafi, jednakże w 2003 r. zgodził się wycofać z tych planów w zamian za normalizację relacji z Zachodem, co – jak się później okazało – nie wyszło. Broń atomową miała jeszcze w latach 80. Republika Południowej Afryki, ale rozbroiła się dekadę później.

Po rozpadzie ZSRS, poza Rosją, broń nuklearną posiadały jeszcze trzy inne byłe republiki sowieckie, tj. Białoruś (ok. 81), Kazachstan (1,4 tys.) oraz Ukraina (ponad 3 tys.), ale zgodziły się one na przekazanie ich Rosji. W przypadku Ukrainy doszło do tego po podpisaniu memorandum budapeszteńskiego, w którym Rosja gwarantowała sąsiadowi poszanowanie jego integralności terytorialnej. Jak wiadomo, Putin uznał ten dokument za nic niewart. Z kolei Białoruś przeprowadziła 27 lutego referendum (oczywiście sfałszowane) w sprawie powrotu do statusu państwa nuklearnego, czemu towarzyszyły pogróżki Łukaszenki wobec Polski, że zwróci się do Rosji o zwrot przekazanego w latach 90. arsenału. Paradoksalnie w tym samym czasie Putin jako jeden z argumentów za wojną z Ukrainą podał rzekome ambicje atomowe Kijowa.

Około 150 głowic jest też rozmieszczonych w Turcji, we Włoszech, w Niemczech, Belgii i Niderlandach, ale jest to broń amerykańska znajdująca się tam w ramach programu „Nuclear Sharing". NATO, po zakończeniu zimnej wojny, zobowiązało się przy tym, że nie będzie rozmieszczać broni nuklearnej na terenie nowych członków NATO, czyli m.in. Polski. Jednakże ostatnie działania i pogróżki Putina oznaczają, że nie ma to już żadnego znaczenia.

NUKLEARNA TRIADA

Istnieje kilka systemów przenoszenia głowic jądrowych. Zarówno w przypadku USA, jak i ZSRS/Rosji oparte jest to na tzw. nuklearnej triadzie, tj. lądowych międzykontynentalnych pociskach balistycznych, pociskach znajdujących się na łodziach podwodnych oraz bombowcach strategicznych. Pociski balistyczne dzielą się przy tym na dalekiego zasięgu (międzykontynentalne) o zasięgu ponad 5,5 tys. km, pośredniego zasięgu, średniego zasięgu oraz taktyczne. Rakiety międzykontynentalne są w posiadaniu siedmiu spośród dziewięciu państw nuklearnych (bez Izraela i Pakistanu). Iran z kolei rozwija bardzo szybko swój program balistyczny, co w powiązaniu z jego programem nuklearnym budzi obawy niektórych państw. Obecnie najdalszy zasięg irańskich pocisków to 2 tys. km. W 1987 r. USA i ZSRS podpisały układ o zakazie pocisków pośredniego (3 tys.–5,5 tys. km) i średniego (1 tys.–3 tys. km) zasięgu, ale w 2019 r. Donald Trump wycofał się z tego traktatu. Z kolei taktyczna broń jądrowa to taka, której zasięg wynosi do 500 km i ma znacznie mniejszą moc niż broń strategiczna. Wciąż jednak jej siła rażenia jest od kilkunastu do kilkudziesięciu razy większa niż bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki, a to oznacza, że w wyniku jej użycia ofiar może być kilkaset tysięcy, o ile nie kilka milionów. Amerykanie dysponują ok. 500–1000 pociskami taktycznymi, a Rosja 2–6 tys. Rakietami taktycznymi, zdolnymi do przenoszenia głowic nuklearnych, są iskandery rozmieszczone w obwodzie kaliningradzkim. Mają one zasięg 50–500 km.

To właśnie prawdopodobnie użycie taktycznej broni jądrowej zrodziło się w szalonej głowie zbrodniarza wojennego z Kremla. Choć obecnie stan umysłu Putina powoduje, że Kim Dzong Un wyrasta przy nim na rozsądnego męża stanu, to nie należy się obawiać, iż rozwścieczony niepowodzeniami na Ukrainie moskiewski tyran zafunduje światu zagładę. Słynne naciśnięcie guzika atomowego poprzedzone jest bowiem procedurą, a w Rosji jest zbyt wiele osób, które mają świadomość, że uderzenie odwetowe, nawet w przypadku użycia broni taktycznej, byłoby pewne. Rosyjscy oligarchowie nie mają zamiaru rezygnować z luksusów na rzecz życia w świecie postapokaliptycznym. Prędzej więc odsuną Putina od władzy lub go zamordują. Trzeba więc zachować spokój, co oczywiście nie zmienia faktu, że Putin stanowi egzystencjalne zagrożenie dla świata i musi zostać jak najszybciej wyeliminowany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

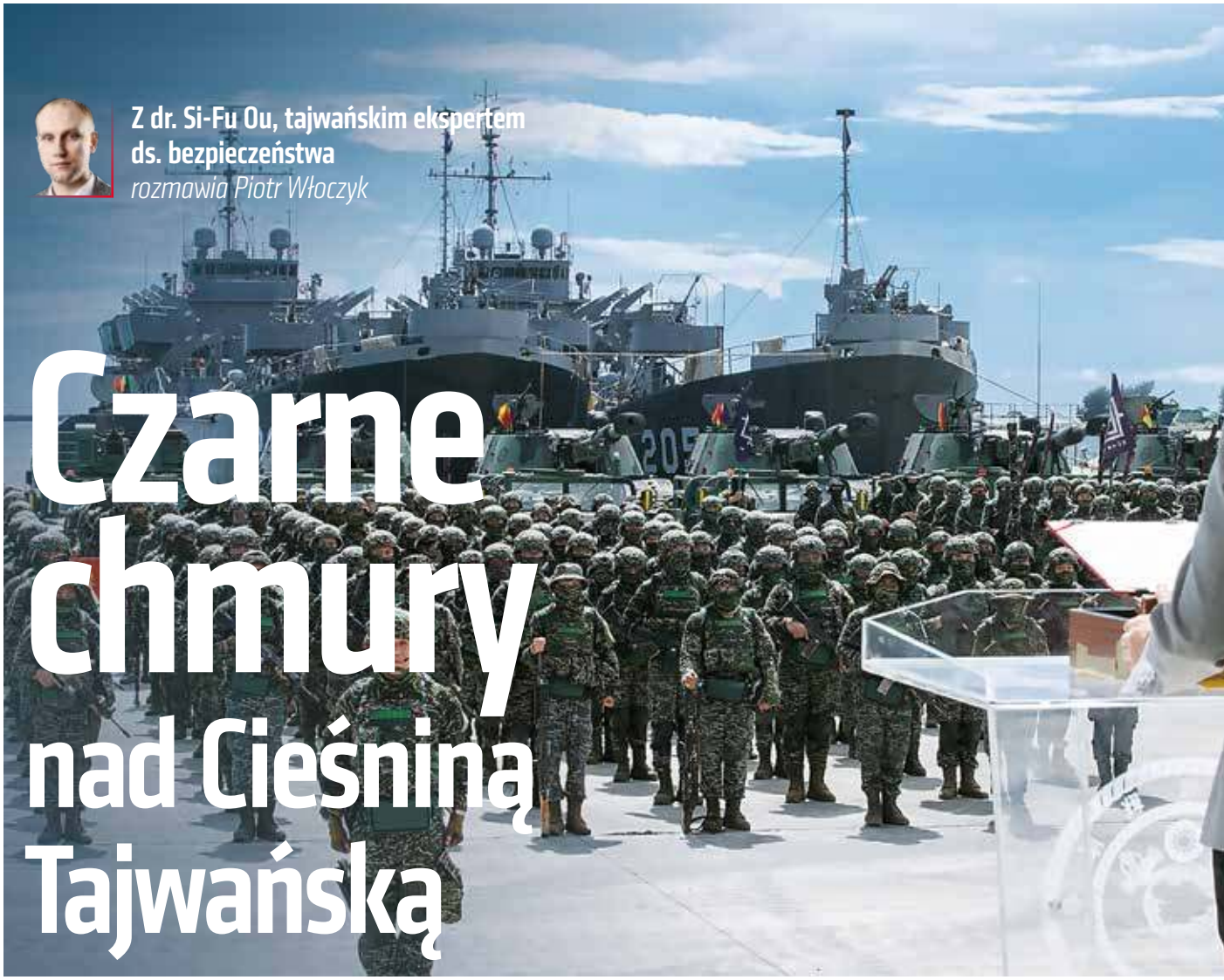

Z dr. Si-Fu Ou, tajwańskim ekspertem ds. bezpieczeństwa
rozmawia Piotr Włoczyk

Czarne chmury nad Cieśniną Tajwańską

PIOTR WŁOCZYK: Czy Tajwańczycy boją się, że Pekin wykorzysta agresję Rosji na Ukrainę i sięgnie po pański kraj? Wielu ekspertów ostrzegało, że to może być skoordynowana akcja, by wykorzystać rozproszenie uwagi USA.

DR SI-FU OU: Tajwańczycy bardzo sympatyzują z Ukraińcami, bo jesteśmy w podobnej sytuacji. I my, i oni to jak Dawid naprzeciw Goliata. Z tym że nasz Goliat jest jeszcze większy od ich wroga. Obaj nasi przeciwnicy marzą o tym, by narzucić nam swoją hegemonię, by nas zniewolić. Dziś wiele osób na Tajwanie głośno mówi, że to, co obecnie zagraża Ukrainie, jutro może spotkać naszą wyspę. Jeżeli jednak z bliska przyjrzymy się sytuacji obu państw, to widać tu olbrzymią różnicę.

Cieśnina Tajwańska?

Tak jest. Dzieli nas od Chin ponad 100 km morza. Tragedią Ukrainy jest to, że ma granicę lądową z Rosją. W przypadku Tajwanu agresor musiałby wystawić gigantyczną flotę oraz siły powietrzne, by spróbować przerzucić swoje wojska na wyspę. To skrajnie trudna operacja wojskowa. Obrońcy mają w takiej sytuacji mnóstwo atutów. Chiny chcą nas najechać od 1949 r. Przez siedem dekad zdążyliśmy przywyknąć do tej groźby i jesteśmy gotowi. Jeżeli ten dzień w końcu nadejdzie, to Tajwan nie będzie zaskoczony i stawi czoła agresorowi.

Amerykanie od wielu tygodni alarmowali, że Rosja wzmacnia armię nad granicą z Ukrainą i szykuje się do uderzenia. Takich sygnałów nie słyszymy jednak w kontekście Chin. Czy to oznacza, że – przynajmniej w najbliższym czasie – inwazja na Tajwan jest niemożliwa?

Tak, w tym momencie nic nie zapowiada, by Chiny szykowały się do inwazji i miały wykorzystać wojnę Rosji przeciw Ukrainie. Takie przygotowania są doskonale widoczne dla wywiadów, więc obecnie nie ma takiego zagrożenia.

Jednak tuż przed rosyjską agresją na Ukrainę media podawały niepokojące doniesienia o zwiększonej aktywności lotnictwa ChRL w Cieśninie Tajwańskiej. Minister obrony Tajwanu powiedział niedawno wprost, że napięcie w relacjach z Chinami jest największe od 40 lat.

Takie nękanie samolotami myśliwskimi i bombowcami to już niestety „normalne" zachowanie ze strony Chin, szczególnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Przywykliśmy do tych prób zastraszania i te loty blisko naszych granic nie robią już na Tajwańczykach większego wrażenia. Wszyscy wiedzą, że to broń psychologiczna, która ma nas złamać.

W tym momencie nic nie wskazuje, by Chiny chciały nas zaatakować w najbliższym czasie, ale niebezpieczeństwo cały czas nad nami wisi. Amerykański wywiad donosił niedawno, że do 2027 r. nic nie powinno się zdarzyć, ale właśnie ten rok może być rokiem starcia. Będzie to bowiem setna rocznica utworzenia Chiń-

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen dokonuje przeglądu batalionu piechoty morskiej FOT. PRESIDENT.GOV.TW/WIKIPEDIA/CC BY 2.0

skiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i Pekin może zechcieć „uświetnić" 2027 r. agresją na Tajwan. Bez względu na wszystko cały czas musimy być przygotowani, że pokój nagle może się skończyć i znajdziemy się w zupełnie nowej rzeczywistości.

Ewidentnie Xi Jinping coraz mocniej akcentuje konieczność „przywrócenia" Tajwanu Chinom.

Xi Jinping mówi, że odzyskanie Tajwanu to „historyczna misja" dla Chin. To część tzw. chińskiego snu, czyli wielkiej komunistycznej strategii. Pekin łudzi się, że Tajwańczycy przyjmą za dobrą monetę chińską ofertę „jeden kraj, dwa systemy" i „zjednoczenie" dokona się w sposób pokojowy.

Przykład Hongkongu nie jest chyba specjalnie zachęcający...

Prawie wszyscy na Tajwanie widzą, jak skończyła się dla mieszkańców Hongkongu oferta „jeden kraj, dwa systemy". Przejmując od Wielkiej Brytanii zwierzchność nad tym terytorium, Pekin obiecywał, że przez 50 lat nic się nie zmieni w Hongkongu. Tymczasem teraz mamy tam do czynienia z zasadą „jeden kraj, jeden system". Nikt rozumny nie uwierzy chińskim obietnicom utrzymania autonomii.

Jak Chiny wyobrażają sobie „reunifikację"? Miałoby do tego dojść poprzez agresję wojskową czy raczej poprzez presję gospodarczą?

Próba podbicia Tajwanu będzie z pewnością prowadzona w sposób hybrydowy. Pekin będzie używał wojska i instrumentów gospodarczych. Musimy być gotowi na każdy scenariusz. Od wielu lat przygotowujemy się na dzień, kiedy będziemy musieli toczyć wojnę asymetryczną. Chiński potencjał jest ogromny, ale ich armię trzeba przerzucić przez cieśninę. Dlatego mamy potężną obronę przeciwlotniczą oraz bardzo zaawansowane środki zwalczania okrętów. Jesteśmy jak jeżozwierz. Chodzi o to, żeby nawet potężny smok miał problem z „połknięciem" takiego przeciwnika. Każda kolejna rakieta przeciwlotnicza czy pocisk przeciwokrętowy zdolny zatopić największą nawet jednostkę kosztującą fortunę oznacza, że Chiny będą musiały liczyć się z jeszcze większymi kosztami inwazji.

Przez długie dekady kolejni amerykańscy prezydenci żyli mrzonkami, że można Chiny zdemokratyzować poprzez globalizację. Co Tajwańczycy sądzili o takiej polityce?

To prawda, że przed objęciem rządów przez Donalda Trumpa Amerykanie chcieli zmienić Chiny i mieli nadzieję, że rozkwitnie tam demokracja. Z Tajwanu płynęło wiele głosów ostrzegających, że to błędna polityka. Komunistów nie sposób zdemokratyzować, demokracja to dla nich koniec, więc będą się przed nią bronili. Amerykanie przez bardzo długi czas tego nie rozumieli. My jesteśmy małym krajem i nie mieliśmy wielkiego wpływu na Waszyngton. Jednak od czasów Trumpa sytuacja się diametralnie zmieniła. Waszyngton dostrzegł w końcu, że Chiny to „strategiczny rywal", i pozycja Tajpej bardzo wzrosła w kontaktach z Amerykanami.

Jeden rzut oka na mapę wystarczy, żeby zrozumieć, że z punktu widzenia Chin podbój Tajwanu to nie tylko kwestia prestiżu.

Chiny zawsze były imperialne i Tajwan niestety jest dziś uważany za klejnot koronny. Pekin uważa, że nie będzie prawdziwym imperium bez podbicia Tajwanu. Pod względem strategicznym mój kraj znajduje się w absolutnie kluczowym miejscu na mapie: jesteśmy częścią tzw. pierwszego łańcucha wysp. Dla Ameryki to bardzo ważna linia, dzięki której powstrzymuje ona ekspansję chińskiej floty. Krótko mówiąc, Tajwan blokuje Chinom swobodne wyjście na Pacyfik. Jeżeli Pekin podbije pierwszy łańcuch wysp, to cały ocean stanie otworem przed Chinami. Jeżeli więc to tak ważne dla USA, to nietrudno wyobrazić sobie, jak ważne musi to być dla Chin...

Jak na niepodległość zapatrują się dziś Tajwańczycy?

Proniepodległościowa część narodu jest zdecydowanie silniejsza. Za „zjednoczeniem" z Chinami opowiada się zaledwie ok. 10 proc. Tajwańczyków. Szczególnie młodsze pokolenie chce niepodległego Tajwanu. Obecnie ponad 60 proc. Tajwańczyków uważa naszą wyspę za niepodległy kraj, a w sumie ok. 90 proc. chce utrzymania odrębności od Chin. Oczywiście władze nie ogłaszają formalnej niepodległości, ponieważ liczą się z potencjalną chińską reakcją na taki krok.

Na koniec chciałbym zadać panu pytanie, nad którym zastanawia się wielu Tajwańczyków, a także Polaków. Czy Ameryka jest solidnym gwarantem bezpieczeństwa?

USA są bardzo ważne dla naszego bezpieczeństwa. Widzimy po stronie Ameryki determinację, by bronić tajwańską demokrację. Ale przede wszystkim jednak liczymy na siebie. Dlatego, jak już wcześniej wspomniałem, zamieniliśmy się w jeżozwierza. Cieszy, że Tajwańczycy wykazują wolę walki. Morale jest u nas bardzo wysokie. Sondaże pokazują, że co najmniej 70 proc. obywateli jest gotowych walczyć o wolność swojego kraju. Taka postawa jest widoczna szczególnie wśród młodych ludzi. Jak pokazuje to obecna sytuacja na Ukrainie, trudno przecenić morale obrońców. Potencjalny agresor musi brać pod uwagę, że w przypadku napaści prawie cały naród będzie z nim walczył. A to nie jest zbyt zachęcająca perspektywa...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Si-Fu Ou jest tajwańskim ekspertem ds. bezpieczeństwa z Institute for National Defense Security Research w Tajpej.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. HANDOUT/GETTY IMAGES

Dziwny trójkąt czarnomorski

Teresa Stylińska

Turcja tłumaczy, że zarówno wobec Rosji, jak i Ukrainy – sąsiadów przez Morze Czarne – ma ograniczone możliwości działania, bo jej „rozległe interesy" mogłyby dotkliwie ucierpieć

Od żadnego z tych krajów nie możemy się odwrócić. Z Rosją utrzymujemy stosunki polityczne, wojskowe i gospodarcze. Z Ukrainą również utrzymujemy stosunki polityczne, wojskowe i gospodarcze. Powie ktoś: »Skończcie z Ukrainą« – ale nie możemy tego zrobić, bo nasz kraj ma tam bardzo rozległe interesy. Powie: »Zerwijcie z Rosją« – i też nie możemy, bo tam także je mamy. Również teraz".

Tak turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan nieco rozwlekle, jak ma w zwyczaju, opisywał dziennikarzom, jakie trudności napotyka Turcja w swej polityce wobec Rosji i Ukrainy. Wobec obu tych krajów – sąsiadów przez Morze Czarne, jak chętnie podkreśla – ma ograniczone możliwości działania, bo „rozległe interesy" mogłyby dotkliwie ucierpieć.

To tłumaczy, dlaczego Turcja lawiruje, starannie ważąc racje, korzyści i potencjalne straty. Czyni to, jak dotąd, nie bez powodzenia. Od dawna też ponawia ofertę mediacji. Ostatnia propozycja dotyczy zorganizowania rozmów w Turcji, na szczeblu przywódców albo na szczeblu technicznym. Szanse, że zostanie przyjęta, są jednak niewielkie. Ukraina zapewne by na nią przystała, Rosja jednak, jak się uważa, na pewno tego nie zrobi. Może robić z Turcją interesy, ale w sprawach fundamentalnych nie uważa jej za partnera.

PORUSZAĆ SIĘ Z WYCZUCIEM

Wszystkie te wyjaśnienia Erdoğan przedstawił 23 lutego, po powrocie z podróży po Afryce, którą przerwał w związku z zaostrzaniem się konfliktu i nadzwyczajnym szczytem NATO. Wieczorem tego dnia, parę godzin przed atakiem Rosji na Ukrainę, odbył jeszcze rozmowę telefoniczną z Władimirem Putinem. To element starannego pilnowania równowagi. Krótką, ale owocną wizytę w Kijowie na początku lutego (której rezultaty Moskwę mocno zirytowały – o czym dalej) równoważyło zaproszenie Putina do Ankary. Skoro wizyta nie doszła jeszcze do skutku, to kontakt telefoniczny był pożądany.

Na aktualne interesy Turcji nakładają się aspekty historyczne, wymykające się racjonalnej ocenie. Chodzi przede wszystkim o Krym. Turcja, w tym jednym wypadku nie zważając na interesy, nie uznała aneksji z 2014 r. i niezmiennie podkreśla, że Rosja uzurpuje sobie prawo do półwyspu. Krym przestał być lennem Turcji już ponad 200 lat temu, emocjonalna, obustronna więź, oparta na poczuciu wspólnoty etnicznej i religijnej, nigdy jednak nie wygasła. Teraz, gdy trwa wojna, apele o ostrożność i rozwagę władze tureckie kierują nie tylko do obywateli Turcji przebywających na terenie Ukrainy, lecz także do krymskich Tatarów.

W specyficznym czarnomorskim trójkącie trzeba poruszać się z wyczuciem, a to bywa niełatwe. Jeśli ogólnikowe uwagi prezydenta przełożymy na język konkretów, to okaże się, że „rozległe interesy" z oboma krajami dotyczą wszystkich podstawowych dziedzin, poczynając od energii, przez eksport i import artykułów rolnych, na turystyce oraz handlu bronią kończąc. W dodatku poza sferą energii, gdzie dominuje Rosja – nie tylko dostarcza Turcji ropę i gaz, lecz także jest w trakcie budowania w prowincji Mersin pierwszej tureckiej elektrowni atomowej – kontakty rozwijają się właściwie równolegle. Zboże na przykład kupuje Turcja w obu krajach, do obu eksportuje owoce

eprasa.pl 7c5b88ceb9

i warzywa, w obu jej firmy działają na rynku budowlanym. Równie gorąco wyczekiwani są turyści z Rosji, jak z Ukrainy. W ubiegłym roku Rosjanie stanowili aż 19 proc., a Ukraińcy 8,3 proc. wśród blisko 25 mln turystów zagranicznych. Jeśli w tym roku ich zabraknie, to będzie to katastrofa i dla sektora turystycznego, i dla budżetu.

Z oboma krajami zawarła też Turcja umowy zbrojeniowe – tyle że w Rosji broń kupuje, a Ukrainie sprzedaje. To jak poruszanie się po polu minowym. Zakup rosyjskich systemów antyrakietowych S-400 ściągnął na Turcję gniew sojuszników z NATO, zwłaszcza USA, które zareagowały nałożeniem na nią sankcji. W Moskwie za to jak najgorzej przyjęto umowę o dostarczeniu Ukrainie tureckich dronów Bayraktar. Zawarta podczas wspomnianej ostatniej wizyty Erdoğana w Kijowie kolejna umowa, dotycząca produkowania na Ukrainie części i silników do dronów, jeszcze dolała oliwy do ognia.

JEDEN OKRĘT W CIEŚNINIE

Jeżeli przyjrzeć się poczynaniom władz tureckich w okresie poprzedzającym rosyjską inwazję i przez pierwsze jej dni, to Turcja okazuje się nadspodziewanie wstrzemięźliwa i w słowach, i w czynach. Wsparcie sprowadza się do banalnych deklaracji o potrzebie respektowania integralności terytorialnej Ukrainy i konieczności rozwiązania sporu na drodze rozmów. Turcja, w przeciwieństwie do innych państw NATO i nie tylko NATO, nie obiecała Ukrainie wymiernej pomocy w postaci dostaw broni (choć Ukraina, jak powiedział minister obrony Oleksij Reznikow, liczy na drony), nie przyłączyła się do sankcji, a w czasie głosowania nad zawieszeniem udziału Rosji w pracach Rady Europy wstrzymała się od głosu.

Słowo „wojna" po raz pierwszy padło dopiero w niedzielę, w czwartym dniu jej trwania, a i to w formalnym kontekście stosowania postanowień konwencji z Montreux z 1936 r., która reguluje ruch statków w cieśninach Bosfor i Dardanele. Minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu poinformował, że rząd podjął decyzję o stosowaniu tych punktów konwencji, które dotyczą ruchu okrętów w cieśninach podczas wojny. „Rosyjski atak – powiedział – przekształcił się w wojnę, dlatego Turcja będzie działać stosownie do postanowień konwencji".

O ile podczas pokoju Turcja musi je ściśle stosować, o tyle w czasie wojny ma pewną swobodę. Nie wygląda jednak na to, by zamierzała z niej szeroko korzystać. – Jeżeli Rosja wystąpi o zgodę dla okrętu, który wraca do bazy na Morzu Czarnym, to Turcja, zgodnie z konwencją, nie będzie miała prawa odmówić – wyjaśniał minister Çavuşoğlu. Dwa dni później, w szóstym dniu wojny, ujawnił, że w poprzednim tygodniu Rosja zwróciła się o zezwolenie dla czterech okrętów płynących na Morze Czarne, otrzymał je jednak tylko jeden, zarejestrowany w jednym z czarnomorskich portów.

Ani minister, ani wypowiadający się dzień później prezydent Erdoğan ani słowem jednak nie odnieśli się do prośby Ukrainy – przekazanej przez jej ambasadora Wasyla Bodnara już w pierwszym dniu wojny – o całkowite zamknięcie cieśnin dla rosyjskich okrętów wojennych. Trudno też było oprzeć się wrażeniu, że ich oględne wypowiedzi mają na celu uspokojenie Moskwy.

Taka ostrożność może mieć więcej przyczyn niż tylko wspomniane interesy gospodarcze. Jest bowiem pewien aspekt, który władze Turcji starają się omijać. Turcja, według obserwatorów, obawia się, by zarzutu militaryzacji Ukrainy, formułowanego przez Rosję, nie wiązano z tureckimi dronami, które mogłyby być użyte przeciwko separatystom z Donbasu. Nie chciałaby także, by w gronie sojuszników sądzono, iż to Ankara właśnie nieprzemyślanymi działaniami mogła podsunąć Rosji pretekst.

DALEKO OD DAWNEJ TURCJI

Czy jest choć trochę racji w domniemaniu, że Turcja, choćby proponując mediację, chce wykorzystać okazję, by poprawić swe stosunki z sojusznikami zachodnimi? Turcję, jako państwo NATO i kandydata do Unii Europejskiej (jest nim nadal, nawet jeśli rozmowy są w impasie), łączą wprawdzie z Zachodem liczne więzy, niemiłe zawirowania ostatnich lat nieco je jednak nadwerężyły. Recep Erdoğan – zwłaszcza od czasu, gdy zdobył pełnię władzy – zrobił wiele, by je popsuć: Nie krył swych proislamskich inklinacji, ustawiał się w roli nieformalnego patrona imigrantów muzułmańskich, w mało dyplomatycznym stylu krytykował Europę i jej przywódców, groził otwarciem granic przed tysiącami ludzi, był podejrzewany o kontakty z Państwem Islamskim, nie mówiąc o współpracy z Rosją i Iranem w sprawie Syrii.

To wszystko razem wzięte (pomińmy wydarzenia z samej Turcji) znakomicie popsuło mu opinię, nawet u tych, którzy początkowo – bardzo naiwnie zresztą – sądzili, że jest demokratą, który chce zmienić Turcję. Nie ma to jednak większego znaczenia wobec faktu, że Turcja z wielu względów jest nadal cennym sojusznikiem. I nic nie wskazuje na to, by w nieodległej przyszłości miało się to zmienić, nawet jeśli do poczynań jej władz można mieć wiele zastrzeżeń.

W kategorii „poważnych zastrzeżeń" wypada umieścić zdumiewającą wypowiedź Erdoğana, wygłoszoną podczas wspomnianej konferencji prasowej 25 lutego, dzień po wystąpieniu ministra Çavuşoğlu. Mówiąc, że Turcja będzie stosować konwencję z Montreux, by nie dopuścić do eskalacji „kryzysu między Rosją a Ukrainą", jak go eufemistycznie określił, Erdoğan krytykował nie Rosję, lecz Zachód i NATO! O ile bowiem – mówił – Turcja skrupulatnie wypełnia wszystkie swe zobowiązania w ramach instytucji i sojuszy, zwłaszcza wobec ONZ, NATO i Unii Europejskiej, o tyle Stany Zjednoczone i Zachód zgrzeszyły „brakiem zdecydowania". Turcja nie odwróci się od sojuszników, zwłaszcza tych z NATO, powinni oni jednak – zaznaczył – pamiętać, że „ma ona w regionie swoje interesy".

Cengiz Çandar, znany turecki komentator, ma być może rację, gdy na łamach bliskowschodniego magazynu „Al-Monitor" wyraża wątpliwości co do możliwości, które przypisuje sobie Turcja. Ankara – napisał w przededniu wybuchu wojny – jest ograniczona w roli aktywnego gracza, skoro tkwi między rosyjskim młotem i NATO-wskim kowadłem. Jest zatem uboczną ofiarą kryzysu, który pokazał, że jej polityka nie ma większego znaczenia. Nawet jeśli Erdoğan próbuje obsadzić swój kraj w roli regionalnego mocarstwa.

Dawna Turcja, w czasach sprzed rządów Erdoğana, w obliczu kryzysu czy wojny działała inaczej. W 1990 r., gdy Irak napadł na Kuwejt, prezydent Turgut Özal jako jeden z pierwszych przywódców dzwonił do George'a Busha, by zapewnić go o gotowości do współpracy. Turcja ceniła swą rolę sojusznika, a jej przywódcy nie snuli mocarstwowych rojeń. Tak jak Erdoğan nie mówił nikt. Bo nikt tak nie myślał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Inwazja na paliwie przejściowym

Jakub Wozinski

Rosja zaczęła uzależniać Europę od swoich dostaw gazu już w czasach sowieckich. Dlatego właśnie zerwanie tej zależności będzie niestety procesem dość długotrwałym

Wedle przyjętej przez Unię Europejską polityki klimatycznej gaz ziemny odgrywa od dłuższego czasu kluczową rolę jako tzw. paliwo przejściowe transformacji energetycznej. Paliwo to okazało się niezwykle wydajne dla Rosji, która zapewniając aż 41 proc. wszystkich dostaw do UE, zdołała zapuścić się ze swoimi czołgami w głąb terytorium Ukrainy. Pomimo tego, że gaz ziemny jest paliwem kopalnym jak wiele innych, potężne lobby pracowało przez lata na to, aby rosyjskie gazociągi stały się narzędziem, które w kryzysowym momencie powstrzyma uzależnioną od rosyjskich dostaw Europę od naprawdę zdecydowanej reakcji.

OD JAMAŁU DO NORD STREAM 2

Jeszcze w latach 60. i 70. państwa Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali nie odczuwały zanadto potrzeby importu bazowych surowców, gdyż zadowalały się zasobami dostępnymi na ich własnym terytorium. Po drugiej wojnie światowej

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. ADOBE STOCK

znaczny udział w europejskich dostawach miały złoża z Morza Północnego, których właścicielami były Wielka Brytania i Holandia. Poza tym nikt jeszcze wówczas nie przejmował się zanadto normami środowiskowymi, dlatego energetyka i przemysł były oparte głównie na węglu.

Błyskotliwa kariera rosyjskiego gazu ziemnego (zwanego też czasami błękitnym paliwem) zaczęła się dopiero w latach 80. Nieustannie rosnące zachodnie gospodarki potrzebowały coraz więcej energii (przede wszystkim w przemyśle), a pomimo odkrycia znacznych pokładów ropy i gazu w Norwegii potrzeba było wreszcie zwrócić się w stronę wschodniego mocarstwa. Od 1980 r. trwały negocjacje między Związkiem Sowieckim a RFN i Francją w sprawie konstrukcji nowego gazociągu Jamał, nazywanego „gazociągiem braterstwa". Przeciwko jego powstaniu występował zdecydowanie prezydent Ronald Reagan, ale w 1981 r. Leonid Breżniew oraz kanclerz Helmut Schmidt podpisali długoterminową umowę o dostawie 10,5 mld m sześc. gazu rocznie. W 2020 r. Gazprom mógł się już pochwalić, że sprzedaje rocznie całej Europie 174,9 mld m sześć.

Wpuszczenie przez Niemców rosyjskiego konia trojańskiego w kulminacyjnej fazie zimnej wojny tłumaczono zawsze tym, że bez dostaw taniego rosyjskiego gazu niemiecka gospodarka, a przez to i gospodarka całej Unii uzyskałaby trwałą barierę rozwoju. Nikt nie zabraniał jednak Niemcom budowania nowych elektrowni jądrowych ani tym bardziej późniejszego zamykania ich. Przykładem tego, jak należało zabezpieczyć się przed intrygami Rosjan, jest choćby Francja, w której atom odpowiada wciąż za 70 proc. energetycznego miksu, a gaz jedynie za 21 proc. (w tym rosyjski odpowiada za 22 proc. całości).

Europa w bliższej perspektywie nie jest w stanie zapewnić sobie żadnych alternatywnych dostaw gazu

Uruchamiając w 2011 r. gazociąg Nord Stream, a następnie podpisując w 2015 r. umowę na budowę Nord Stream 2, Niemcy dokonały aktu spektakularnego sabotażu. Gaz z Rosji zapewnia im 27 proc. całej produkcji energii, lecz wobec planów zamknięcia do końca obecnego roku wszystkich elektrowni atomowych i jednoczesnego rozwoju chimerycznych odnawialnych źródeł energii jego realne znaczenie jest dużo większe. Wynika to także z tego, że Europa w bliższej perspektywie nie jest w stanie zapewnić sobie żadnych alternatywnych dostaw.

BRAK ALTERNATYWY

Największym konkurentem dla rosyjskiego gazu na naszym kontynencie jest ten płynący z Norwegii (odpowiada obecnie za 22 proc. dostaw). Jesienią tego roku poprzez gazociąg Baltic Pipe zacznie z niego korzystać również Polska, lecz pomimo trwającego od dłuższego czasu boomu w norweskim gazownictwie i przyznawania wciąż nowych licencji na wydobycie (liczba pól ma wzrosnąć z 90 do ponad 130) na zwiększenie eksportu z kraju fiordów przyjdzie jeszcze poczekać. Obecnie UE zużywa rocznie blisko 400 mld m sześc. gazu rocznie, a Norwegia produkuje nie więcej niż 120 mld m sześc.

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Do Europy gaz ziemny jest również dostarczany w dużo mniejszych ilościach z innych, bardziej egzotycznych kierunków, m.in. z Algierii i Kataru. Władze Kataru przyznały jednak niedawno, że nie są w stanie dostarczyć wystarczającej ilości skroplonego gazu LNG, gdyż biorąc pod uwagę wszystkie długoterminowe zobowiązania wynikające z kontraktów podpisanych z innymi państwami, arabski kraj jest w stanie przekierować do Europy zaledwie 9–10 proc. ze swego eksportu, który w 2019 r. wyniósł 107 mld m sześc. Z perspektywy Kataru stale rosnący rynek azjatycki z jego ogromnymi gospodarkami to zresztą dużo bardziej perspektywiczny kierunek eksportu niż odległa i wyraźnie słabnąca Europa. Aby nadto przekierować większe ilości gazu dostarczanego obecnie przez Katar Chinom czy Japonii, trzeba byłoby zapłacić im niemałe odszkodowania.

łupkowego, a to wciąż zbyt mało, aby móc myśleć o realnym uniezależnieniu się od Rosji. Tym bardziej że Niemcy nie posiadają wciąż żadnego czynnego terminala przyjmowania dostaw LNG, a dotychczasowe starania o budowę tego rodzaju instalacji skutecznie blokowały organizacje ekologiczne (których źródła finansowania wydają się dość oczywiste).

CHIŃSKI SMOK NA SYBERYJSKIM GAZIE

Cała europejska rozgrywka o dostawy gazu nabiera szczególnych rumieńców, jeśli tylko zestawi się ją z planami Rosji względem największej azjatyckiej gospodarki. Tuż przed rozpętaniem wojny na Ukrainie Władimir Putin wykorzystał pobyt na igrzyskach olimpijskich w Pekinie do tego, aby podpisać z chińskim sojusznikiem nową umowę na dostawę gazu i ropy o wartości ok. 117,5 mld dol.

Chiny to fabryka świata, największy na świecie konsument energii i dlatego w dłuższej perspektywie Rosji będzie się bardziej opłacało skupić na dostawach do Azji. Od dłuższego czasu wśród ekspertów trwają ożywione dyskusje, w jak wielkim stopniu dostawy do Chin mogą na trwałe wpłynąć na eksport gazu do Europy

Trwałym i niezwykle korzystnym dla całej Europy skutkiem prezydentury Donalda Trumpa pozostaje do dziś także import LNG ze Stanów Zjednoczonych. Za sprawą rewolucji łupkowej od 2018 r. w sposób skokowy wzrósł wolumen dostaw, w czym wielki udział mają Polska i jej terminal w Świnoujściu. Od pierwszej dostawy w kwietniu 2016 r. do początku 2022 r. kraje Unii Europejskiej nabyły w ten sposób ponad 60 mld m sześc. amerykańskiego gazu, co oczywiście nadal nie jest w stanie w pełni zastąpić importu z Rosji, lecz prognozy na najbliższe lata są dość obiecujące.

Pod koniec stycznia prezydent Joe Biden spotkał się z przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen i ogłosił, że eksport gazu do Europy staje się absolutnym priorytetem, a część dostaw do Azji zostanie przekierowana wprost do terminali europejskich. Amerykański eksport osiąga właśnie rekordowe wartości, lecz tak jak w przypadku Norwegii nagłe zwiększenie mocy przerobowych zwyczajnie nie jest możliwe. W 2021 r. do Europy trafiło 22 mld m sześc. gazu

Głównym jej przedmiotem jest zwiększenie przesyły gazu ziemnego gazociągiem o nazwie Siła Syberii oraz poprzez terminale LNG. Godne odnotowania jest to, że rozliczenia w ramach kontraktu mają być dokonywane w euro. Syberyjski gazociąg działa od 2019 r. i już w ubiegłym roku zapewnił Państwu Środka 16,5 mld m sześc. gazu, a do 2025 r. przesył ma wzrosnąć do 38 mld m sześc. (docelowa przepustowość zakłada jednak nawet kilkakrotnie większe dostawy).

Chiny to fabryka świata, największy na świecie konsument energii i dlatego w dłuższej perspektywie Rosji będzie się bardziej opłacało skupić na dostawach do Azji. Świadczy o tym również umowa, którą zawarł rosyjski Rosneft należący do najbliższego współpracownika rosyjskiego prezydenta, oligarchy Igora Sieczina, na dostawę dodatkowych 100 mln ton ropy rocznie poprzez rurociąg biegnący przez terytorium Kazachstanu. Wartość umowy to 80 mld dol.

Od dłuższego czasu wśród ekspertów trwają ożywione dyskusje, w jak wielkim stopniu dostawy do Chin mogą na trwałe wpłynąć na eksport gazu do Europy poprzez Nord Stream 2, Jamał, TurkStream (czyli gazociąg prowadzący przez Morze Czarne do Turcji) czy też gazociągi prowadzące przez terytorium Ukrainy. Większość gazu przesyłanego Chinom ma rzekomo trafiać z pól zlokalizowanych na Sachalinie, który nie posiada połączenia z europejską siecią rosyjskich gazociągów. Nowa część gazociągu (tzw. Siła Syberii 2) będzie jednak przesyłała gaz również wprost z zachodniej Syberii, skąd pochodzi gaz trafiający obecnie do Europy.

Szacuje się, że do 2030 r. Chiny będą konsumowały 320 mld m sześc. gazu ziemnego, co stanowi dużo więcej, niż obecnie przesyła Europie Rosja. Mając tak głodnego energii azjatyckiego sąsiada, Rosja mogła więc sobie w pewnym sensie pozwolić na rozpętanie wojny na Ukrainie, gdyż w dłuższej perspektywie i tak wiąże swoje biznesowe plany z Państwem Środka. Na dodatek przy spełnieniu określonych warunków Rosja może umiejętnie rozgrywać Unię Europejską i Chiny jako konkurentów o te same zasoby błękitnego paliwa.

Pomimo tego, że Chiny importują blisko 70 proc. potrzebnego im gazu w formie LNG, zdecydowanie preferują tradycyjne gazociągi. Dostawy drogą morską niosą bowiem ze sobą znaczne zagrożenie ze względu na amerykańską dominację na światowych oceanach i dlatego Xi Jinping preferuje dostawy niosące ze sobą większą stabilność. Oprócz tego Chiny korzystają także obficie z dostaw z Turkmenistanu (31,6 mld m sześć.) oraz innych krajów Azji Środkowej, lecz gazociąg Siła Syberii ma stanowić jeden z filarów rozwoju rządzonego przez komunistów państwa. Obecnie kraje Unii Europejskiej importują aż dwie trzecie rosyjskiego gazu, lecz już wkrótce Chiny doprowadzą do zmiany tej proporcji.

PLANOWANY KRYZYS

Biorąc pod uwagę cały światowy rynek gazu ziemnego, udział Rosji nie jest wcale imponujący, gdyż odpowiada ona jedynie za 6,2 proc. całego eksportu. Sęk jednak w tym, że państwo rządzone przez Władimira Putina posiada zasoby, które są szczególnie istotne w rejonach świata, w których dostęp do paliw kopalnych jest ograniczony, a popyt ogromny. Czysto teoretycznie bardziej dochodowa dla Rosji jest ropa naftowa, której eksport w 2021 r. przyniósł 50 mld dol. dochodu (eksport gazu w tym samym

eprasa.pl 7c5b88ceb9

okresie przyniósł ponad trzy razy mniejsze zyski), lecz gaz ziemny ma mimo wszystko większe znaczenie polityczne.

Celowo zmniejszając dostawy gazu ziemnego do europejskich krajów, Rosja skutecznie wywołała w ostatnich miesiącach kryzys energetyczny, zapewniając sobie finansową poduszkę bezpieczeństwa na najbliższy czas. Zyski z eksportu gazu i ropy naftowej zapewniają rosyjskiemu państwu ok. 40 proc. przychodów budżetowych i dlatego podstawową kwestią dla Putina będzie zdolność do utrzymania ceny ropy naftowej na odpowiedniej wysokości. W przeciwieństwie do gazu, którego ceny ustalane są w ramach długotrwałych kontraktów, cena ropy podlega większym fluktuacjom. Na korzyść Rosji przemawia jednak to, że wśród najważniejszych eksporterów na świecie nie ma wcale woli, aby masowo zwiększyć produkcję.

Jeszcze przy okazji agresji na Krym w 2014 r. Stany Zjednoczone zdołały nakłonić Arabię Saudyjską do tego, aby znacząco zwiększyła wydobycie, i wówczas cena baryłki spadła ze 100 dol. do poniżej 40 dol. Obecnie sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana, gdyż jeszcze w 2020 r. w następstwie pandemii cena ropy spadła do absurdalnie niskich poziomów i dziś większość państw prowadzących jej wydobycie stara się nadrobić wynikłe straty (a na dodatek nie może jeszcze bardziej zwiększyć produkcji, gdyż musi wreszcie zrobić coś ze zmagazynowanymi w ostatnim czasie ogromnymi zasobami). Amerykańskie władze naciskają m.in. na Saudów, aby pomogli zbić cenę ropy, lecz napotykają zdecydowany opór. Pomimo krótkotrwałej covidowej wojny cenowej z 2020 r. Arabia Saudyjska w ostatnich latach wyraźnie zbliżyła się do Rosji (m.in. kupując od niej uzbrojenie) i rozwinęła współpracę z Chinami, dlatego dziś nie chce się narażać i dźwigać nadmiernego kosztu.

EKOLOGICZNY SPRZYMIERZENIEC

Wielkimi sprzymierzeńcami Rosji w obecnej sytuacji są także światowy ruch ekologiczny i globalna agenda zeroemisyjności. Wedle przyjętych w ubiegłym roku ustaleń znaczna część państw na świecie zadeklarowała, że nie będzie finansować żadnych nowych inwestycji związanych z paliwami kopalnymi. Tego rodzaju zobowiązania ograniczają podaż bazowych surowców energetycznych, a jednocześnie zwiększają udział w rynku tych krajów, które traktują zieloną agendę z przymrużeniem oka.

Ogłoszone przeciwko Rosji sankcje dotyczące wykluczenia z systemu transakcyjnego SWIFT nie dotknęły branży energetycznej. Gdyby stało się inaczej, Rosja zapewne natychmiast wstrzymałaby swoje dostawy

Spowodowany przez zieloną politykę oraz pandemię szok cenowy jest również podstawową przyczyną, dla której Stany Zjednoczone i cały świat nie chcą obecnie nakładać na Rosję zbyt daleko idących sankcji. Wdrażanie zasad zeroemisyjności (m.in. poprzez wprowadzanie rynku pozwoleń na emisję, zamykanie elektrowni atomowych i upowszechnianie OZE) doprowadziło do najwyższego od kilku dekad wzrostu inflacji praktycznie na całym świecie. Decydenci światowej polityki obawiają się tym samym, że totalne odcięcie Rosji od systemu SWIFT i zbyt daleko idące ograniczenia w eksporcie wywołają tym samym niepożądany dla nich samych efekt, jakim byłby jeszcze większy wzrost cen. W sytuacji, w której cała światowa gospodarka doznała pod wpływem pojawienia się koronawirusa nagłego wstrząsu, który zachwiał finansami publicznymi i kondycją wielu gospodarek, mało kto chciałby dzisiaj brać na siebie kolejny szok związany z wielkimi zaburzeniami na rynku energii.

Nie dziwi więc, że ogłoszone przeciwko Rosji sankcje dotyczące wykluczenia z systemu transakcyjnego SWIFT nie dotknęły branży energetycznej. Gdyby stało się inaczej, Rosja zapewne natychmiast wstrzymałaby swoje dostawy, gdyż jak dotąd nie ma na świecie żadnego innego systemu, który zapewniałby powszechnie uznany transfer środków finansowych. Rosja wraz z Chinami pracują intensywnie nad integracją własnych systemów transakcyjnych (SPFS oraz CIIPS), lecz na ten moment nie wydają się gotowe, aby się na nie w pełni przerzucić.

BEZPIECZEŃSTWO WAŻNIEJSZE NIŻ EKOLOGIA

Gaz ziemny obwołano paliwem przejściowym zielonej transformacji, a forsowana na każdym kroku zielona agenda (którą przyjęło nawet NATO) ma docelowo doprowadzić do tego, że świat przestanie z niego korzystać. Już dziś widać jednak wyraźnie, że polityka zeroemisyjności okazała się zwykłą mrzonką, która została perfekcyjnie wykorzystana przez Rosję do tego, aby uśpić czujność Zachodu i wyprowadzić potężny cios. Wpędziwszy świat w inflacyjne tarapaty, ekologizm jednocześnie osłabił zdolności szybkiego wydobycia się z energetycznych tarapatów poprzez narastający chaos w całej gospodarce.

W obecnej sytuacji wypada jedynie mieć nadzieję, że szok wywołany przez rosyjską agresję na Ukrainie wywoła wreszcie odpowiednią reakcję ze strony Niemiec i innych europejskich państw, których elity polityczne dały się skorumpować pieniędzmi Gazpromu czy Rosneftu. Do tej pory można było bowiem odnieść wrażenie, że naturalnym zwieńczeniem kariery politycznej w Niemczech czy Austrii jest objęcie posady w radzie dyrektorów jednego z rosyjskich koncernów. Z kolei kwestia polityki klimatycznej powinna wreszcie zostać w pełni podporządkowana priorytetom związanym z polityką bezpieczeństwa. Nie od dziś wiadomo wszakże, że Kreml finansuje działalność organizacji ekologicznych (tak było chociażby w przypadku amerykańskiej Virginia Organizing), zapewniając tym samym odpowiednie warunki zbytu dla swoich surowców.

Częścią umowy, którą Rosja podpisała w 2014 r. z Chinami na budowę gazociągu Siła Syberii, był kontrakt na dostawę dla Pekinu rakietowego systemu obronnego S-400. Rosja od lat wiąże politykę surowcową z rozwojem sektora obronnego. Podczas gdy inne bogate w surowce kraje tworzą własne publiczne fundusze inwestycyjne lub starają się rozwijać nowoczesne technologie w innych branżach, w państwie rządzonym przez Władimira Putina nieproporcjonalnie duży nacisk kładzie się na zbrojenia. To bardzo przykre, że Zachód zrozumiał w pełni, jak bardzo igrał z ogniem, nabywając od Rosji surowce, dopiero w wyniku krzywdy, która spotkała Ukrainę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Z Grzegorzem Pudą, ministrem funduszy i polityki regionalnej
rozmawia Karol Gac

Myślę, że UE się otrząśnie

KAROL GAC: Panie ministrze, nie sposób nie rozpocząć naszej rozmowy od Krajowego Planu Odbudowy. Pieniędzy unijnych jak nie było, tak nie ma. Co dalej?

GRZEGORZ PUDA: Jako Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej prowadzimy od maja dialog z Komisją Europejską i jesteśmy przygotowani na każdy scenariusz. Decyzja o wstrzymaniu środków jest polityczna. KE zamiast myśleć o tym, by jak najszybciej wdrożyć środki finansowe, wybiera sobie kraje, które jej zdaniem są godne przyjąć pieniądze, i takie, które nie. W obliczu sytuacji, w której obecnie znalazła się Europa po napadzie Rosji na Ukrainę i groźbach rozpętania trzeciej wojny światowej przez Putina, pojawiają się w przestrzeni publicznej głosy zwykłych Polaków krytykujące UE za nakładanie sankcji na Polskę z powodu wyimaginowanych zarzutów, a lekceważenie prawdziwego zagrożenia, jakim jest Rosja pod wodzą Putina. Paradoksalnie stanę jednak w tej sytuacji w obronie urzędników unijnych. Prawdziwi sprawcy problemów Polski w UE to polska opozycja, która konsekwentnie rozpowszechnia za granicą nieprawdziwe informacje na temat sytuacji w Polsce. Proszę pamiętać, że w UE Polska jest jedynym krajem, którego obywatele stają przeciwko swojej ojczyźnie i żądają jej osłabienia tylko z powodu chęci odzyskania władzy. W UE naprawdę istnieje przekonanie, że w Polsce na ulicach są czołgi i zasieki. Kiedy Putin grozi wojną, żarty się skończyły. Należy zażądać od opozycji, aby odkłamała wszystkie mity na temat Polski. Niech przestaną osłabiać Polskę i zaczną walczyć o władzę uczciwie. Pomysł środków europejskich dotyczący odbudowy pojawił się w apogeum pandemii, by pozwolić gospodarce europejskiej wyjść z kryzysu. Okazało się, że wstrzymano je decyzją polityczną, za co odpowiedzialna jest polska opozycja.

Wypaczając przy tym pierwotną ideę.

Początkowa idea nie będzie po prostu realizowana. Dodatkowe środki są jednak cały czas potrzebne, a zwłaszcza polskim przedsiębiorcom teraz, w obliczu wojny, kiedy praca nad wzmacnianiem Polski powinna być jeszcze bardziej wzmożona.

Chociaż polska gospodarka i tak poradziła sobie dobrze.

Oczywiście, że tak. I cały czas radzi sobie bardzo dobrze. Nie może być jednak tak, że żyrujemy zobowiązanie w ramach jednego budżetu europejskiego, a nie możemy korzystać z profitów. Jesteśmy jednym z najlepiej rozwijających się krajów w Europie, ale nie możemy być za to karani. Mamy taką politykę, która prowadzi do rozwoju, a dodatkowe pieniądze tylko by to przyspieszyły. Kto wie, może to jest właśnie główny problem?

Bruksela zapewniała nas, że pieniądze należą się niezależnie od politycznych uwarunkowań, akceptacja KPO zaś będzie miała charakter techniczny. Tymczasem usłyszeliśmy żądania dotyczące m.in. Izby Dyscyplinarnej.

Rolą mojego resortu jest przede wszystkim przygotowywanie nowej perspektywy unijnej oraz rozliczenie starej, a przy tym umożliwienie wdrażania środków unijnych jak najszybciej. To, że decyzje polityczne tych, którzy nie zgadzają się z tak szybkim rozwojem naszego kraju, spowodowały opóźnienie w środkach z KPO, jest czymś, co z pewnością nie przynosi chluby ani Komisji Europejskiej, ani tym, którzy mając polskie obywatelstwo, żądali sankcji dla Polski. Tym bardziej gdy mamy tak trudną sytuację na granicy i musimy się jednoczyć, a UE powinna pokazywać, że jest jednym organizmem. Zwłaszcza wobec inwazji Rosji na Ukrainę. To nie jest już tylko walka o wolność Ukrainy, lecz także o pokój w Europie i na świecie. Liczę, że świat wyciągnie wnioski z błędów popełnionych przez sojuszników Polski w czasie wybuchu drugiej wojny światowej.

Nie obawia się pan, że nawet w przypadku zawarcia porozumienia w przyszłości sytuacja może się powtórzyć i kolejne transze będą uzależniane od spełniania dalszych oczekiwań?

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Nie mamy żadnych sygnałów, aby miało dojść do takiej sytuacji. Środki europejskie zawsze były obwarowane normami, w ramach których można je inwestować. Nasz kraj zawsze radził sobie z tym bardzo dobrze. Wiemy, że aby otrzymywać kolejne transze z KPO, będziemy musieli spełnić odpowiednie warunki, ale wcześniej w polityce spójności mieliśmy warunkowość i radziliśmy sobie z tym bardzo dobrze. Teraz też tak będzie.

Chyba że kolejny raz UE będzie chciała wywierać wpływ na to, co dzieje się w jednym z największych, suwerennych krajów w Europie. Myślę jednak, że nikomu nie zależy, by w tak trudnym czasie zaogniać sytuację. Mamy inwazję Rosji na Ukrainę, kryzys energetyczny, a przy tym kryzys dotyczący wartości europejskich. Myślę, że UE się otrząśnie.

A może, w przypadku braku porozumienia, powinniśmy rozważyć wycofanie się z Funduszu Odbudowy? Takie głosy pojawiają się przecież w Zjednoczonej Prawicy.

To proszę zapytać tych osób, jakie mają alternatywne źródła finansowania, aby nasza gospodarka była równie szybko rozwijająca się, jak gospodarki krajów zachodnich.

Środki własne i pożyczki. Prezes NBP prof. Adam Glapiński ocenił np., że bez tych unijnych środków „jesteśmy w stanie doskonale zapewnić sobie ten dynamiczny rozwój", zwłaszcza że „duża część tych środków to pożyczka, a my sami możemy pożyczki brać, jakie chcemy".

Nie jest prawdą, że w głównym stopniu to są pożyczki. Ponad 66 proc. to środki w postaci grantów i dotacji, które powinny zasilić polską gospodarkę. Oczywiście w ramach dużej formacji, która ma wielu polityków i ekspertów, zdarzają się różne zdania. Jednak wydaje się, że to, co zostało zapowiedziane, powinno być normalnie realizowane. Przecież nikt nie przerwie w połowie budowy autostrady czy linii kolejowej. Nasz plan jest dobrze przygotowany. Rozmawialiśmy z regionami, włodarzami miast i miasteczek. Finalizujemy ostatnie prace legislacyjne, które pozwolą finansować przyszłą perspektywę. To pokazuje, że jesteśmy przygotowani, by te środki absorbować i dobrze inwestować.

Zapytam zatem o kuchnię polityczną. Jak wyglądał dialog z KE przez ostatnie miesiące? Ciągle słyszymy, że Bruksela nie ma zastrzeżeń do KPO, ale przecież blokada musiała być jakoś argumentowana.

Zwróciliśmy uwagę KE, by zmienić finansowanie tak, by małe ośrodki mogły korzystać z mniejszej kwoty wkładu własnego. Inaczej istnieje ryzyko, że małe miasta sobie nie poradzą

Trzymając się tej terminologii: jak to w kuchni – raz bliżej lodówki, a raz palnika. Zawsze w negocjacjach są dwie strony, które próbują znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Podczas rozmów nie mieliśmy sygnałów dotyczących tak dużych problemów, dlatego uważamy, że wstrzymanie środków jest decyzją polityczną. Mogę zdradzić, że dialog techniczny z Komisją Europejską przebiegał bardzo dobrze. Problem pojawił się, gdy możni europejscy wymyślili, że zamiast myśleć o przyszłości UE, pomyśleli, w jaki sposób można wywierać naciski polityczne w danym kraju.

Jest pan optymistą w sprawie odblokowania środków z KPO?

Jestem realistą i wiem, że aby było to możliwe, musimy nadal prowadzić dialog z Komisją Europejską i przekonywać ją, że te środki powinny do nas jak najszybciej trafić. Nie wiem, czy możemy liczyć na opamiętanie się opozycji i zaprzestanie prowadzenia kampanii przeciwko Polsce w UE. Żądza władzy jest u nich bardzo silna. Borys Budka nawet w obliczu groźby wojny ze strony Rosji wolał w Sejmie atakować Polskę.

16 lutego TSUE oddalił skargę Polski i Węgier w sprawie mechanizmu „pieniądze za praworządność", który uzależnia wypłatę unijnych pieniędzy od praworządności. Jak pan odbiera to orzeczenie? Nie obawia się pan, że KE w końcu dostała bat, którego będzie mogła używać?

Wśród wielu opinii, które się pojawiły, znalazłem tylko kilka, które były naprawdę merytoryczne. Pozostałe to opinie różnych stron sporu politycznego. Warto zapoznać się z treścią orzeczenia TSUE, który w uzasadnieniu skupił się na tym, by środki były powiązane z zagrożeniem budżetu europejskiego. Każdy Europejczyk chce, aby środki, które są wykorzystywane na inwestycje, były uczciwie wydatkowane. Jesteśmy krajem, który ma jeden z najniższych odsetków błędów przy inwestowaniu, a przy tym niezwykle wysokie standardy. Wykryte nieprawidłowości to zaledwie 0,13 proc., co stawia nas w unijnej czołówce. To wszystko pozwala sądzić, że jeśli ten wyrok będzie traktowany poważnie i uczciwie, to nie mamy się czego obawiać.

Załóżmy, że porozumienie zostaje osiągnięte, a unijne pieniądze w końcu odblokowane. Na co przeznaczy je rząd?

Z pewnością w nowej perspektywie Polska będzie największym beneficjentem polityki spójności w UE. Uzyskamy 76 mld euro, w tym prawie 4 mld euro na łagodzenie skutków transformacji energetycznej z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Kluczowe było określenie potrzeb inwestycyjnych naszego kraju. To np. zwiększenie konkurencyjności gospodarki poprzez wzmocnienie innowacyjności firm czy poprawy stanu środowiska naturalnego. Stawiamy także na cyfrowy rozwój kraju czy wzmocnienie połączeń komunikacyjnych. Myślimy również o poprawie jakości kapitału ludzkiego. Chcemy także walczyć z wykluczeniem społecznym, bo niestety nadal są regiony, w których się z tym zderzamy. Środki z nowej perspektywy będą wspierać działania, które służą tym kierunkom. Chodzi o to, by nie tylko wydatkować, lecz także, by inwestować. To fundamentalna różnica.

Jednym z celów jest więc zmniejszenie nierówności i zrównoważony rozwój kraju?

Postrzegamy funkcjonowanie kraju zupełnie inaczej, niż miało to miejsce za koalicji PO-PSL. Wcześniej stawiano na rozwój dużych aglomeracji, co spowodowało niesprawiedliwość społeczną. Widać to zwłaszcza, gdy porównamy, jak rozwijały się duże miasta i małe miejscowości. Od 2015 r. zmieniliśmy ten kierunek. Strategia Zrównoważonego Rozwoju sprawiła, że chcemy wspierać tych, którzy wcześniej nie mieli takiego wsparcia. Po koronawirusie małe miejscowości będą stały przed dużym wyzwaniem pozyskiwania środków europejskich, bo wiele z nich już teraz sygnalizuje, że będą miały problem z wkładem własnym. Zwróciliśmy na to uwagę KE, by zmienić finansowanie tak, by małe ośrodki mogły korzystać z mniejszej kwoty wkładu własnego. Inaczej istnieje ryzyko, że małe miasta sobie nie poradzą. Liczę na zrozumienie w tej kwestii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7c5b88ceb9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak osłabić wpływ Niemiec?

Niemiecka polityka zagraniczna wobec Rosji, a w istocie polityka zagraniczna Unii Europejskiej wobec Rosji, bo przecież UE, w tym jej polityka zagraniczna, w niemałym stopniu – zwłaszcza gdy idzie o kwestie kluczowe, strategiczne – jest uzależniona od stanowiska Berlina – ostatecznie się skompromitowała, zbankrutowała.

Niemcy – z jednej strony spętane poczuciem winy za swe zbrodnie z okresu drugiej wojny światowej, a z drugiej – przepojone (być może w części nie do końca uświadamianą) odwieczną skłonnością do kontrolowania państw Europy Środkowej – jeśli się nie da inaczej, to wspólnie z Rosją – po raz kolejny swoją polityką nie zapobiegły wybuchowi wojny. Co prawda, tym razem nie one są agresorem, ale rezultat jest przecież, niestety, podobny. Nie zapobiegły wybuchowi jeszcze nie trzeciej wojny światowej, ale już wojny na pełną skalę w samym sercu Europy, a więc tu, gdzie wojny światowe pierwsza i druga się zaczęły.

Polityka Niemiec wobec Rosji rzecz jasna nie zachęcała Putina do rozpętania wojny, wszelako dziś widać, że go dostatecznie od tego nie odstręczała; a ponadto, niestety, zapewniła mu długofalowe finansowanie rozbudowy sił zbrojnych przez coraz bardziej uzależnione od rosyjskiego gazu Niemcy oraz ich sojuszników z UE i europejskiej części NATO.

A zatem wszystko, co w tej kwestii od kilku dni robią Niemcy – i to, niestety, jak widać, robią dopiero po silnym nacisku, pod silną, nieustępliwą presją, m.in. władz Polski – jest w istocie zaprzeczeniem ich kilkudziesięcioletniej polityki wobec Rosji – polityki niesłychanych ustępstw, bezwstydnych, wspólnych interesów robionych ewidentnie kosztem państw Europy Środkowej, nieustannego kupowania przychylności Moskwy, pozwalania kremlowskiemu satrapie na coraz więcej i więcej – mimo najazdów Putina na Gruzję w 2008 r., na ukraińskie Krym, Ługańsk i Donieck w 2014 r., mimo serii mordów politycznych – na Litwinience, Niemcowie, Politkowskiej – i wielu innych aktów agresji.

Czy w tej sytuacji „nowa" polityka zagraniczna Niemiec wobec Rosji może być wiarygodna? Tym bardziej że Berlin do tej pory nie zamknął gazociągu Nord Stream 1, dalej umożliwiając Putinowi korzystanie podczas inwazji na Ukrainę także z jego ulubionej „broni gazowej" – zarówno wobec Ukrainy, jak i wobec Polski oraz dziś już zwasalizowanej przezeń Białorusi.

I, niestety, ta klęska niemieckiej polityki zagranicznej wobec Rosji nie oznacza, że Berlin nie będzie, i to z bezceremonialnością, z której słynie, nadal starał się narzucać swej polityki – w tym wobec Rosji, całej Unii. A przydałoby się niezwłocznie osłabić wpływ Niemiec – jak dziś widać, także dla ich własnego dobra – na politykę UE wobec Rosji, wykazując ich krańcową niewiarygodność w tej kwestii; osłabić tak bardzo, jak tylko się da, i na tak długo, jak tylko się da. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy ktoś myśli?

Polska okazuje się bardzo szczodra dla uciekających przed wojną Ukraińców. Organizujemy im przejazd, mają darmowy transport, na razie głównie prywatne osoby płacą za ich pobyt w Polsce, mają mieć bezpłatną opiekę medyczną na identycznych warunkach jak Polacy, mają dostawać „500+", mają mieć oczywiście dostęp do szkół (to też kosztuje), a nawet przez jakiś czas bezpłatne ubezpieczenie komunikacyjne, które funduje państwowy PZU.

Wydaje się, że nikt nie myśli, że jeśli z przywilejami dla uchodźców się przesadzi, to w efekcie można wywołać napięcia

Kina organizują bezpłatne seanse dla ukraińskich dzieci, a dentyści deklarują, że będą bezpłatnie leczyć Ukraińcom zęby.

To znaczy, żeby było jasne: nic nie jest darmo. Za to wszystko zapłacimy my, polscy podatnicy lub klienci hojnych firm. Ewentualnie część tych kosztów wyrównają nam specjalne fundusze unijne i pomoc z USA, związane właśnie z napływem uchodźców.

W tym samym czasie pod ścianą stanęły tysiące polskich firm, które prowadziły interesy na wschodzie, na Białorusi, Ukrainie, w Rosji. Straciły nie tylko kontrakty, lecz także często swoje aktywa – towary, nieruchomości, samochody. Ile takich firm jest? Nikt dokładnie nie wie. Polskie państwo nimi akurat się nie zainteresowało. Wiadomo – cwaniaki, spekulanci i kombinatorzy. A w dodatku nie potępili Putina.

Aha, ukraińscy przedsiębiorcy otrzymają w Polsce darmową przestrzeń biurową i wsparcie w postaci pokrycia kosztów działalności przez Polską Agencję Inwestycji i Handlu.

Tak, Ukraińcom trzeba pomagać. Ale pomagać trzeba z głową. My zaś, jak zwykle, rzuciliśmy się w typowym polskim zapale, całkowicie bezmyślnie. Nikt nie podaje, ile nas ta akcja pomocy będzie kosztować – a pieniądze, jakkolwiek cynicznie by to brzmiało, nie rosną na drzewach. Wydaje się, że nikt nie myśli, że jeśli z przywilejami dla uchodźców się przesadzi, to w efekcie można wywołać napięcia. Dziś mamy atmosferę wzmożenia. Ale co będzie za dwa miesiące, gdy jakaś część Polaków uzmysłowi sobie, że płaci za przywileje naszych gości, a sama nie ma do nich dostępu? I to wszystko w nieuchronnie coraz gorszej sytuacji gospodarczej, przy pędzącej inflacji i podnoszonych na gwałt stopach procentowych. Czy ktoś o tym pomyślał? Czy ktoś tu jeszcze w ogóle myśli? ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Kto płaci za nowe drogi w Warszawie

Urszula Hofman

Patryk Kozierkiewicz (PZFD)

Realizacja inwestycji deweloperskiej jest niezwykle skomplikowanym i długotrwałym procesem. Od zakupu gruntu przez inwestora do przeniesienia prawa własności lokali na nabywców upływa z reguły kilka lat. W trakcie tego procesu deweloper jest zobowiązany do uzyskania wielu zgód, pozwoleń i decyzji.

Jednym z oczekiwań wysuwanych wobec dewelopera przy okazji budowy nowego osiedla jest zapewnienie właściwej obsługi komunikacyjnej inwestycji. Najczęściej będzie on zobligowany do przeprowadzenia prac budowlanych polegających – przykładowo – na utwardzeniu pobliskiej drogi czy przebudowie zjazdu na posesję. Jeżeli jednak inwestycja powstaje przy niedawno wyremontowanej drodze, to może się okazać, że jedynym wymogiem względem inwestora będzie np. modernizacja sygnalizacji świetlnej.

KTO PONOSI KOSZTY PRZEBUDOWY?

Koszty przebudowy infrastruktury – zgodnie z art. 16 ustawy o drogach publicznych – obciążają dewelopera, który swoim przedsięwzięciem wywołał taką potrzebę.

Mechanizm ten bywa jednak nadużywany przez gminy. Zdarzało się bowiem, że samorządy wykorzystywały swoją pozycję i uzależniały wydanie inwestorowi niezbędnych uzgodnień od spełnienia wygórowanych oczekiwań. W skrajnych przypadkach żądania gmin sprowadzały się do budowy irracjonalnie długich odcinków drogi czy przebudowy skrzyżowań kompletnie niezwiązanych z inwestycją, oddalonych od niej o kilka kilometrów. Natomiast, jak podkreśla w swoich orzeczeniach Sąd Najwyższy, niedopuszczalne jest przerzucanie na dewelopera szerszego zakresu przebudowy infrastruktury, niż wynikałoby to z potrzeby wywołanej jego inwestycją. Należy zachować w tym względzie proporcje.

Nieuzasadniony zakres przebudowy, który często narzuca gmina, prowadzi do impasu w negocjacjach umowy drogowej i blokuje cały proces inwestycyjny. Co oczywiste, każde opóźnienie naraża inwestora na znaczne straty finansowe. Gminy próbują często przeciągnąć negocjacje tak długo, aż inwestor – w obawie przed utratą rentowności projektu – godzi się na ich wygórowane oczekiwania. Problem ten od kilku lat zgłasza m.in. Polski Związek Firm Deweloperskich, postulując przy tym wprowadzenie systemowych rozwiązań, które uporządkują proces zawierania umów drogowych.

PRÓBA REGULACJI

Przeciągające się negocjacje i niepewność co do oczekiwań gmin skłoniły do poszukiwania bardziej efektywnych rozwiązań w zakresie partycypacji. Jednym z takich pomysłów okazało się wprowadzenie przez gminy zarządzeń, które kompleksowo regulują proces zawierania umów drogowych. W ten sposób inwestor – już na etapie projektowania – może oszacować swoje koszty w zakresie budowy infrastruktury, a dodatkowo cały proces negocjacji ulega drastycznemu skróceniu.

Taką ideę w życie zamieniły niedawno władze m.st. Warszawy. Na podstawie wydanego przez prezydenta zarządzenia deweloperzy są w stanie ustalić, jakie oczekiwania względem infrastruktury drogowej będzie miało wobec nich miasto. Dokładny koszt jest obliczany na podstawie specjalnego wzoru. Wartość wymaganych nakładów jest uzależniona od odległości inwestycji względem centrum miasta. Czym dalej od bardzo dobrze skomunikowanego i zurbanizowanego śródmieścia – tym więcej ze swojej kieszeni powinien dołożyć deweloper.

Co istotne, zarządzenie ma charakter fakultatywny. Oznacza to, że koszty przebudowy mogą zostać obliczone również na podstawie indywidualnej analizy wpływu naszej inwestycji na ruch. Jeśli, przykładowo, projektujemy osiedle przy niedawno zmodernizowanej drodze, a samochody przyszłych mieszkańców wpłyną na okoliczny ruch tylko w niewielkim stopniu, to może się okazać, że rzeczywiste koszty przystosowania infrastruktury będą nieznaczne w porównaniu z kwotą wynikającą ze stawek określonych zarządzeniem.

Przykładowo: inwestycja realizowana przez Grupę Inwest na Białołęce – składająca się z 240 mieszkań (11,5 tys. mkw.) i towarzyszących im 250 miejsc postojowych – znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie ul. Ruskowy Bród. Jest to szeroka, zmodernizowana i wyposażona w nową nawierzchnię droga publiczna. Aby zapewnić należytą obsługę komunikacyjną, prawdopodobnie wystarczające byłoby wybudowanie zjazdów.

Zgodnie z zarządzeniem w powyższym przypadku deweloper byłby zobowiązany przeznaczyć ok. 2 mln zł na modernizację układu drogowego. Skoro jednak okoliczna infrastruktura drogowa jest w przeważającym stopniu przygotowana do obsługi przyszłej inwestycji mieszkaniowej, to deweloper może zdecydować o wyborze dotychczasowego sposobu procedowania umów drogowych – opartego na indywidualnej analizie. Dzięki temu ma on szanse ponieść dużo mniejsze nakłady finansowe niż przy zastosowaniu zarządzenia. Należy jednak pamiętać, że w przypadku umów zawieranych w oparciu o indywidualną analizę wpływu naszej inwestycji na infrastrukturę musimy uwzględnić dłuższy czas procedowania.

Pamiętajmy przy tym, że – o ile przedsięwzięcie deweloperskie spełnia wymogi formalne określone zarządzeniem – wybór sposobu procedowania pozostaje każdorazowo po stronie inwestora.

PODSUMOWANIE

Dzięki takim regulacjom jak wspomniane zarządzenie proces zawierania umów drogowych ma szansę ulec znacznemu skróceniu. Przyczyni się to również do zwiększenia transparentności i wyeliminowania zjawiska nierównego traktowania inwestorów – zdarzało się bowiem, że mimo bliskiego sąsiedztwa dwóch inwestycji koszty partycypacji znacząco od siebie odbiegały.

Pamiętajmy jednak, że w gestii inwestora pozostaje, czy wybierze ścieżkę przewidzianą zarządzeniem czy też zawrze umowę drogową na dotychczasowych zasadach, opartych na indywidualnej analizie komunikacyjnej dotyczącej wpływu inwestycji na przyszły ruch drogowy.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 7c5b88ceb9

TEST „DO RZECZY": SMARTWATCH MOBVOI TICWATCH PRO 3 ULTRA LTE

Eleganckie wzornictwo, wsparcie dla eSIM, niezła bateria, pięciosystemowy GPS, wbudowane NFC oraz „podwójny" wyświetlacz umożliwiający zmniejszenie zapotrzebowania na energię – to największe zalety inteligentnego zegarka chińskiego producenta wyposażonego w system Wear OS.

Testowany model nie wygląda może na zegarek za milion dolarów, ale tradycyjny design w połączeniu z paskiem imitującym skórę sprawiają, że TicWatch Pro 3 Ultra na pierwszy rzut oka przypomina zwykły, klasyczny zegarek (do zegarka można zamontować dowolny pasek 22-milimetrowy). Producent chwali się, że obudowa ważącego 41,9 g urządzenia spełnia warunki wojskowej normy MIL-STD-810G, co oznacza, że urządzenie zostało sprawdzone pod kątem wytrzymałości w różnych trudnych sytuacjach.

Dotykowy ekran AMOLED o wielkości 1,4 cala ma rozdzielczość 454 x 454. Dodatkowo producent zastosował w tym zegarku „drugi" wyświetlacz (FSTN), co pozwala na szybkie sprawdzenie godziny bez potrzeby rozbudzania energochłonnego AMOLED-u.

Jak przystało na smartwatcha, testowany model jest naszpikowany czujnikami, które sprawdzają puls, monitorują stopień nasycenia krwi tlenem i mierzą poziom stresu. Zegarek potrafi też – według zapewnień producenta – wykryć arytmię serca oraz migotanie przedsionków. Trzeba jednak pamiętać, że to nadal tylko gadżet, a nie urządzenie medyczne. TicWatch Pro 3 Ultra rozpoznaje również rodzaj treningu, ewentualnie samemu można wybrać jedną z 20 aktywności (od biegania poprzez wspinaczkę aż do taekwondo).

Sercem urządzenia jest procesor Snapdragon 4100 wspierany przez 1 GB pamięci RAM oraz 8 GB pamięci na dane. Aplikacje otwierają się bez żadnych zacięć, nawet jeśli jednocześnie włączonych jest ich kilka. Zaletą TicWatch Pro 3 Ultra LTE jest także wbudowany moduł NFC, który przy użyciu aplikacji Google Pay umożliwia bezproblemowe płacenie zegarkiem w sklepach. Ogromnym plusem testowanego urządzenia jest to, że zegarek w wersji 4G/LTE potrafi samodzielnie łączyć się z siecią (przy użyciu eSIM w Orange). Nie ma więc potrzeby targania ze sobą smartfona na przebieżkę po lesie lub na spacer po górach.

Plusem jest też niezła bateria o pojemności 595 mAh, dzięki której chińskiego smartwatcha trzeba ładować tylko raz na dwa, trzy dni. Chociaż jeśli ktoś będzie regularnie sprawdzał sobie puls oraz przez całą dobę monitorował poziom stresu, to powinien wyrobić sobie zwyczaj codziennego podłączania zegarka do ładowarki.

Wady? Zegarek teoretycznie oferuje funkcję monitorowania snu, ale u konkurentów sprawdzanie głębokości, poszczególnych faz snu, a nawet rozpoznawanie godziny zaśnięcia i przebudzenia użytkownika działa dużo lepiej. Również dane dotyczące tętna podczas biegu u dwa razy droższych konkurentów są bardziej dokładne. TicWatch Pro 3 Ultra daje jednak radę w kwestii dostarczania biegaczom i śpiochom podstawowych informacji. Druga wada: według producenta zegarka można używać podczas treningów i to zarówno na lądzie, jak i w basenie, bo TicWatch Pro 3 Ultra jest teoretycznie wodoodporny (IP68), ale w Internecie użytkownicy tego modelu zgłaszają problemy występujące po dłuższych treningach w wodzie.

Mimo tych minusów osoby poszukujące dobrego smartwatcha z dużą liczbą funkcji, który nie musi mieć na sobie markowych oznaczeń, powinny przyjrzeć się temu modelowi. Stosunek ceny do jakości wydaje się bowiem bardzo przyzwoity. Testowany model kosztuje 1120 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SŁUCHAWKI DLA KURIERÓW?

LinkBuds to nowe słuchawki bezprzewodowe japońskiej firmy Sony. To, co wyróżnia je na tle tysięcy podobnych modeli, to nietypowa konstrukcja w kształcie pierścienia. Pozwala ona na przepuszczanie dźwięków z zewnątrz przy słuchaniu muzyki, dzięki czemu poruszając się po mieście, użytkownik cały czas zachowuje bezpieczny kontakt z otaczającym go światem. Producent deklaruje wodoodporność zgodną z certyfikatem IPX4, co oznacza, że na jogging w deszczu lub intensywne treningi na siłowni raczej się nie nadają. Minimalistyczne słuchawki o oryginalnym wzornictwie nie mają aktywnej redukcji szumów ani kodeka LDAC. Mimo to są koszmarnie drogie. Za nowy japoński gadżet trzeba zapłacić aż 899 zł.

INTELIGENTNE WI-FI

Niemiecka firma AVM – znany producent urządzeń sieciowych – pokazała na targach w Barcelonie najnowszą generację routerów, prezentowanych pod hasłem „The Smart Wi-Fi Experience". Według producenta FRITZ!Box 5590 Fiber umożliwia współdzielenie w sieci domowej Internetu o prędkości do 10 Gb/s. FRITZ!Box 6850 5G wykorzystuje z kolei możliwości nowoczesnych sieci 5G. Specjalne oprogramowanie ułatwia znalezienie miejsca oraz idealnej orientacji anten tak, aby zasięg w danym domu lub mieszkaniu był możliwie jak najlepszy. W razie braku odpowiedniego sygnału router może przełączać się również na sieci 4G oraz 3G. Nowe modele dla linii światłowodowych oraz sieci 5G w połączeniu ze wzmacniaczami sygnału mają zapewniać szybki dostęp do Internetu w dowolnym miejscu domu, dzięki czemu mogą stanowić serce domowego systemu Smart Home. Routery mają również wbudowaną centralkę telefoniczną, co ułatwia prowadzenie rozmów VoIP. Niestety, nie znamy jeszcze polskich cen. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7c5b88ceb9

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Perejasław, przekleństwo Ukrainy

JACEK KOMUDA

Perejasław na wschodnim brzegu Dniepru to miejsce złowieszcze dla Ukraińców i Polaków. 17 stycznia 1654 r. zaczęła się tutaj sławna rada perejasławska, której skutkiem stało się zawarcie ugody, na mocy której kozacka Ukraina przyjmowała władzę cara moskiewskiego Aleksego Michajłowicza, zrywając zarówno związek z Rzeczpospolitą, jak i sojusz z Chanatem Krymskim. Wydarzenie do dziś budzi kontrowersje wśród historyków; dla nas, Polaków, jest bolesne, ponieważ oznaczało utratę terytorium Ukrainy i początek morderczej wojny z Moskwą, zakończonej najazdem szwedzkim i siedmiogrodzkim. Dla Ukraińców jest niemal przekleństwem: od pamiętnej decyzji Bohdana Chmielnickiego aż do dziś Moskwa rości sobie prawa do ziem Ukrainy, uznając je za część swego imperium, chociaż dawna Ruś Kijowska nie miała nic wspólnego z późniejszym Księstwem Moskiewskim. Dla historyków rosyjskich to powód chwały, historyczna konieczność oznaczająca zjednoczenie dwóch nacji pod jedynie słusznym panowaniem moskiewskich carów.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. QBA

Trudno przebić się przez legendę i propagandę – carską, sowiecką, polską i ukraińską – narosłą wokół tego wydarzenia. Czy zatem Bohdan Zenobi Chmielnicki, przywódca Kozaków toczący od 1648 r. wojnę z Rzecząpospolitą, naprawdę zamierzał podporządkować się carskiej Moskwie czy też był to tylko dyplomatyczny wybieg? Sprawdzając jego korespondencję i wymianę poselstw, widać, że od samego początku powstania Kozaków proponował carowi przejście pod jego władzę. Tyle że podobne propozycje składał także sułtanowi tureckiemu, a w tym samym czasie godził się i zrywał związki z królem Polski, formalnie pozostawał zaś w układzie z Tatarami, czyniącym z niego lennika Chanatu. Chmielnicki zapewne traktował tę dyplomatyczną grę instrumentalnie, chcąc wywołać wokół Ukrainy ogromny konflikt mocarstw. „Gdy przyjrzymy się uważniej stosunkom kozacko-moskiewskim w tym okresie, zauważymy pewną prawidłowość – pisał o tym Janusz Kaczmarczyk. – Chmielnicki zwracał się ku Rosji zawsze w sytuacji, gdy groziło mu niebezpieczeństwo. Tak postąpił w okresie bitwy zborowskiej, gdy zdradzał go chan Islam Gerej III, i po Beresteczku, kiedy armia kozacka została rozbita". Jeśli tak było, to tym razem przelicytował, nie spodziewając się, że Moskwa naprawdę weźmie go pod opiekę.

Jak wyglądało przyłączenie Ukrainy do Moskwy? Mało kto wie, że w Perejesławiu, począwszy od 17 stycznia 1654 r., tak naprawdę odbyły się dwie rady. Pierwsza – w nocy z 17 na 18 – była tajną radą starszyzny wojskowej, która zdecydowała się przyjąć władzę cara. O godzinie drugiej po południu zwołano na radę generalną Kozaków na placu przed soborem Uspieńskim. Dziś tej drewnianej cerkwi już nie ma, spłonęła rok po opisywanych wydarzeniach. Około 1760 r. zbudowano wielką drewnianą świątynię, która jednak w połowie XIX w. była już bardzo zniszczona. W 1896 r. zbudowano znajdujący się tam do dzisiaj murowany sobór. W miejscu, gdzie odbyła się rada decydująca o losach Ukrainy, jest dziś pusty plac z dwoma postsowieckimi pomnikami przypominającymi o tych wydarzeniach. Prawie 400 lat temu zgromadził się tutaj tłum – 12 pułkowników, starszyzna, cały pułk perejasławski i delegacje z każdego kozackiego pułku. Chmielnicki wygłosił mowę, w której wezwał do przyjęcia carskiej władzy i spotkał się z akceptacją.

Ugoda z Moskwą od razu wywołała kontrowersje. Kiedy carski poseł Buturlin udał się do cerkwi, aby potwierdzić warunki porozumienia, Chmielnicki zażądał od niego, aby najpierw zaprzysiągł w imieniu cara, że nie będzie naruszał wolności kozackich, podobnie jak czynił to król Polski wobec szlachty. Kiedy Buturlin odmówił, Chmielnicki i pułkownicy przerwali ceremonię i zaczęli radzić, jak zmusić carskiego wysłannika do przysięgi. Gotowi byli nawet złamać zawartą przed chwilą ugodę. Jednak stali się zakładnikami własnych matactw; w tym czasie bowiem wieść o poddaniu carowi poszła już na Ukrainę i nie było możliwości, aby cokolwiek zmienić. Chmielnicki wrócił więc do cerkwi i zaprzysiągł ostatecznie układ. Następnie uczynili to obecni w Perejasławiu Kozacy. Nie był to jednak koniec kłopotów. Opór stawił metropolita kijowski Sylwester Kossow, który nie chciał złożyć przysięgi. Podobnie wstrzymywali się od niej przedstawiciele duchowieństwa, a i sami Kozacy niechętnie całowali krzyż w carskie imię. Unia nie rozwiązywała żadnych problemów Kozaczyzny; przede wszystkim nie zapewniła jej spokoju. Moskwa skierowała główne siły na Litwę, w celu odbicia Smoleńska, pozostawiając Chmielnickiego prawie bez pomocy. Z kolei Tatarzy przeszli na stronę Rzeczypospolitej i okrutnie spustoszyli południową Ukrainę. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lepszy rydz niż nic

Czas karnawału dobiegł końca, a w Kościele katolickim rozpoczął się okres Wielkiego Postu. Jest to dla nas idealny czas przemiany i nawrócenia. Ci, którym zależy na dobrym zdrowiu i doskonałej kondycji fizycznej, rozpoczynają diety oczyszczające, głodówki, posty, ruszają swoje ciała z kanap, wychodzą na biegi. Według badań naukowych niedojadanie, czyli krótkotrwałe posty, i zarazem ruch fizyczny mają bardzo korzystny wpływ na nasze zdrowie, szczególnie psychiczne. Już w dawnych czasach w tym okresie ograniczano jedzenie pokarmów pochodzenia zwierzęcego – mięsa, nabiału, a nawet masła, nie jadano nawet słodyczy. Dawniej jadano mniej i rzadziej, maksymalnie trzy posiłki dziennie bez przekąsek, których po prostu nie było, niektórzy trzymali się zasady, że do Wielkiej Soboty jadano tylko raz dziennie, ale za to do syta. A byli też i nadal są tacy, którzy w okresie postu po prostu nie jedzą wcale. Jako główne i zarazem najzdrowsze źródło tłuszczu stosowano oleje roślinne. Tłoczone na zimno oleje z rzepaku, lnu, ze słonecznika, szczególnie upodobano sobie olej z lnianki, czyli właśnie olej rydzowy, nie mylić z grzybem. Olej ten ma specyficzny cebulowy lub orzechowy smak. W okresie Wielkiego Postu stosowano przez 40 dni, w nawiązaniu do 40-dniowego postu Chrystusa na pustyni, post ścisły, jadano śledzie z cebulą w oleju rydzowym oraz postne kasze, ziemniaki w mundurkach okraszane tym olejem i posypane pietruszką. Mawiano wtedy, że lepszy rydz niż nic, w domyśle: lepiej okrasić olejem, niż jeść bez niczego.

Dziś znajdujemy wiele przepisów z wykorzystaniem tego bogatego w cenne właściwości oleju, który ma optymalny stosunek nienasyconych kwasów tłuszczowych Omega-3 i Omega-6, opóźnia procesy starzenia, obniża ciśnienie i cholesterol. U nas na stole wiosenna, bo już prawie wiosna, sałatka z olejem rydzowym, bo mówi się, że aby przedłużyć życie o 10 lat, należy zjadać dwie miski świeżych warzyw i sałat dziennie.

Składniki:

- kilka liści sałaty rzymskiej
- kilka liści sałaty lodowej lub innych wedle uznania
- rukola (garść)
- pomidorki koktajlowe
- ogórek świeży, ogórek kiszony
- rzodkiewka
- połówka awokado
- kilka sztuk orzechów włoskich
- przyprawy: sól, pieprz, zioła suszone i świeża bazylia

Wszystko okraszamy olejem. Smacznego, lekkiego postu. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kto jest bardziej młodzieżowy

Nawet jak jesteś na maksa zanurzony w sieci, w rapie i w ogóle we wszystkim, co się dzieje, to w pewnym momencie przestajesz ogarniać, tracisz kontakt. I tego się boję". To na koniec bardzo ciekawego wywiadu w tygodniku „Plus Minus" mówi Krzysztof Cieślik, tłumacz i ekspert nowych mediów (czytaj: społecznościowych).

Ja też się boję, tym bardziej że jestem o dobre trzy dekady starsza od pana Cieślika, należę do pokolenia, które moi rodzice nazywali wapniakami. Rówieśnicy moich wnuków mówią na nas boomersi, bośmy urodzeni w fali trwającego 10 lat powojennego przyrostu naturalnego.

Boję się, bo chciałabym jak najdłużej móc rozumieć rzeczywistość. To nie jest łatwe, bo ona pędzi coraz szybciej. Nie jestem na TikToku, nie nadaję wiadomości głosowych, tylko pisemne, pisząc w necie lub na Facebooku, stawiam znaki przestankowe i duże litery. Kiedy słowami roku ogłoszono „dzban" oraz „śpiulkolot", nie miałam pojęcia, co one znaczą, bo nigdy się z nimi nie zetknęłam. Nie wiedziałam, co to inba, w ogóle co pewien czas muszę aktualizować wiedzę o nowe słowa z Internetu, pytając syna (28 lat, prawie genzet, czyli pokolenie Z). A on także przyznaje, że nie wszystkiego używa. Czterdziestolatkowie (generacja X) w wyścigu, kto jest bardziej młodzieżowy, w ogóle nie mają szans. A z generacją alfa, czyli urodzonymi po 2010 r., już niech nie startują; ci już tak bardzo odbili od reszty.

Zastanawiam się tylko, czy ten pościg ma sens. W czasach, gdy rządzą technologie, młodszy ma zawsze rację. Usiłuję sobie przypomnieć, czy moja babcia starała się zrozumieć język, którym mówiliśmy w szkole. Raczej nie bardzo. A mnie nawet do głowy by nie przyszło, żeby mogła się o to starać. Babcia to babcia. Z nią rozmawia się inaczej niż z koleżankami z klasy.

W książkach z początków XX w. czytam o rodzinach wielopokoleniowych, w których dziadkowie odgrywali rolę łącznika z historią. Dzisiaj mogą najwyżej prosić wnuczka, żeby pomógł z komputerem, który się zawiesił. Wnuczek zrobi to z sympatią, ale i dozą politowania dla dziadziusia, który nie kuma współczesności.

W roku 1991 tłumaczyłam z francuskiego tekst, w którym było słowo „rap". W słownikach nie było, znajomi Francuzi nie znali. – No jak to? Rap to przecież taka muzyka – powiedział 14-letni syn, który właśnie wrócił ze szkoły. Zdziwiony, że nie wiem. ©℗

edonisa.pl/725b88ceb9

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wojna a COVID

Mamy wojnę i stało się coś ciekawego. Wirus zniknął. Najpierw z mediów, bo go zastąpiła wojna, czyli zniknął naprawdę. Teraz zniknął na serio. Ale… obostrzenia pozostały. Choć w dniu, w którym to piszę, zmarła jedna osoba, w dodatku z chorobami współistniejącymi, to minister Niedzielski, jak Chińczyki, trzyma się mocno.

W sieci, oprócz oczywiście relacji z wojny, dominują alarmistyczne wieści – pod przykrywką wojny proces sanitaryzmu… przyspieszył. Odbył się właśnie zjazd sanitarystów w ONZ i tam nasz pan minister dał mowę, która potwierdza tę prawidłowość. Wybuchy bomb mają zagłuszyć powrót szczepionkowych akcji, walki z antyszczepionkowstwem, paszportyzację świata. Poczytajmy, co tam powiedział pan minister: „Naukowe autorytety środowiska medycznego oraz kampanie informacyjne prowadzone przez WHO pomagają w walce z infodemią i zwalczaniu ruchów antyszczepionkowych. Międzynarodowa solidarność jest teraz potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, aby posunąć naprzód proces szczepień. Nikt nie będzie bezpieczny dopóty, dopóki wszyscy nie będziemy bezpieczni".

Zwracam uwagę na nowe słowo „infodemia". Czyli zaraza informacyjna. Niektórzy uważali od początku, że mamy do czynienia wyłącznie z taką postacią epidemii. Teraz potwierdzają to oficjele.

Wojna ma swoje prawa – przykrywa wszystko. Ale wtedy można ugrać rzeczy do tej pory niewyobrażalne. A więc wojna nie „zabiła" wirusa, tylko ten się pod nią ukrył. Pamiętajmy, że fascynacja Ukrainą szybko minie, świat uważa ten konflikt za lokalny, odbywający się gdzieś tam na peryferiach świata. Widać, że procesy pandemiczne miały chwilową pieriedyszkę. Wcale się nie skończyły. Ze szczepionkami, jak czytać pana ministra, to się zapowiada na dłużej, mimo że ich nieskuteczność przechodzi powoli (?) w ich szkodliwość.

Ale słychać już oświadczenia np. takiego Forum Ekonomicznego w Davos, że doświadczenia w paszportyzacji szczepionek zostaną zastosowane do uniwersalnego paszportu dla ludzkości, w który ma być wpisany system kredytu społecznego. Kryteria wyznaczy powoływany już powoli światowy superrząd pandemiczny pod egidą WHO. Skoro kontynuowany jest projekt pozbawiony swego merytorycznego uzasadnienia (wstrzymanie transmisji wirusa), to znaczy, że ma on posłużyć innym celom niż sanitarne.

A u nas co? Mamy podział na nietestowanych, niekwarantowanych, nieszczepionych i odmaseczkowanych uchodźców i z drugiej strony Polaków podlegających zachowanemu sanitaryzmowi. Przymus szczepień medyków oraz szykany wobec nieszczepionych umundurowanych. I wojnę tuż przy granicy. Co oznacza, że świat sobie, ba – wirus sobie, ale doświadczenia z ostatnich dwóch lat pandemii będą kontynuowane i rozwijane. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Wracamy do realu

Z dnia na dzień nastąpiło szybkie przeniesienie z wirtualu do realu. Nagle za sprawą obrazów z Kijowa, ze Lwowa, z Żytomierza prysnęła umowność wojny, która zwykle była gdzieś daleko. Batalistyczne sceny stały się rzeczywistością, dodatkowo urealnioną świadectwami ludzi uciekających przed rosyjską agresją. Odwaga i determinacja ludności cywilnej na Ukrainie przywołują skojarzenia z postawą powstańców w 1944 r.

Wielu z nas od kilku dni uczestniczy w tym realnym świecie, nie tylko wpłacając datki na rzecz Ukrainy, lecz także angażuje się, organizując pomoc, przyjmując pod dach autentycznych, a nie farbowanych uchodźców. Z wielu pomocowych inicjatyw, o których dowiadujemy się każdego dnia, wymienię dwie niepokazane w telewizji. Pan Jacek, właściciel hotelu w niewielkiej miejscowości pod Olsztynem, dowiedział się od pracującego u niego ukraińskiego kucharza, że tym, co bardzo jest teraz potrzebne, są ambulansy. Choć przedsiębiorca mocno odczuł pandemiczne restrykcje, przeznaczył kilkadziesiąt tysięcy na zakup karetki wycofanej z polskiego pogotowia. Auto wprawdzie ma kilkanaście lat, ale jest sprawne, ma podstawowe wyposażenie i bardzo mały przebieg. Inny mój kolega, architekt z Warszawy, w sklepie z militariami zakupił osiem zestawów maskującej odzieży myśliwskiej, profesjonalne buty, bieliznę termiczną i noktowizory. Okazuje się, że podobnych inicjatyw jest więcej. Realność wojny nie tylko sprawiła, że w sklepach myśliwskich i surwiwalowych brakuje towaru, bo ludzie zaopatrują walczących na Ukrainie, ale wiem, że wielu kupuje też z myślą o sobie. Kilku moich znajomych zaczęło lub wznowiło szkolenia na strzelnicy.

Powaga sytuacji wymusza poważne decyzje i poważne zachowania. Pozostaje mieć nadzieję, że obok takich postaw zwykłych obywateli władze MON poważnie traktują sytuację. Widzieliśmy zaangażowanie polskich formacji w obronę granicy na Bugu, ale wiemy też, że ten sprawdzian ujawnił sporo niedociągnięć. Teraz zagrożeniem nie są już uzbrojeni w kamienie egzotyczni najeźdźcy, ale regularna armia. Czy resort obrony jest w stanie uczynić wszystko, by odwrócić fatalne decyzje, które doprowadziły do zakończenia kontraktów żołnierzy wracających z misji? Przymuszanie do szczepień, mobbing, niesprawiedliwy podział nagród (i inne problemy, o których nie czas i miejsce pisać) spowodowały, że do cywila przeszła spora grupa doświadczonych, świetnie wyszkolonych żołnierzy.

Ktoś, kto doprowadził do tej sytuacji, dopuścił się osłabienia obronności kraju. Konwoje czołgów i ostrzał artylerii kilkadziesiąt kilometrów od naszej granicy powinny być otrzeźwieniem. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Czasem trzeba

Obrazki, obrazki. Siedzi Putin przy stole, stół ma z kilometr długości, a na końcu stołu siedzą generałowie z rosyjskiej armii. Prezydent Rosji się naradza w bardzo poważnej sprawie: jak mordować Ukraińców. Stół niby jeden i niby siedzą wszyscy przy jednym, ale i tak muszą się komunikować przez elektroniczny sprzęt, więc właściwie mogliby zrobić telekonferencję. Podobnie dystansowo Putin zachowywał się na przedwojennym spotkaniu z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Wtedy jednak próbowano to interpretować jako być może rodzaj pogardy dla Macrona i zachodniego świata. Takie izolowanie, żeby nie powiedzieć – okazywanie obrzydzenia przez odległość stołową.

To błędny trop. Dziwaczny, często powielany w mediach obrazek długaśnych stołów z Putinem pokazuje nam… Właściwie co? Jakąś obsesję, fobię, strach satrapy? Czego się tak boi? Że go zarażą COVID czy błyskawicznie podskoczą i poderżną gardło? No wiem, wiem, COVID nie wyklucza poderżnięcia gardła, a – zdaje się – Putin ma powody do niepokoju. Jego działania wobec ludności cywilnej są już oficjalnie nazywane zbrodniami wojennymi, a jeden z zamożnych Rosjan, Alex Konanykhin, który uciekł z Rosji do Stanów jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku, oficjalnie wyznaczył nagrodę w wysokości miliona dolarów za Putina. Teoretycznie za schwytanie zbrodniarza i uzurpatora żywego, ale przecież… Ten, co to ja chciałem? Zresztą proszę sobie przeczytać, gdyby ktoś przeoczył: „Obiecuję zapłacić 1 mln dol. oficerowi (oficerom), który spełniając swój konstytucyjny obowiązek, aresztuje Putina jako zbrodniarza wojennego zgodnie z prawem rosyjskim i międzynarodowym. Putin nie jest prezydentem Rosji, gdy doszedł do władzy w wyniku specjalnej operacji wysadzania budynków mieszkalnych w Rosji, a następnie naruszył konstytucję, likwidując wolne wybory i mordując przeciwników. Jako etniczny Rosjanin i obywatel Rosji postrzegam jako mój moralny obowiązek ułatwienie denazyfikacji Rosji. Będę kontynuował pomoc Ukrainie w jej heroicznych wysiłkach, aby wytrzymała atak ordy Putina”.

Komunikat o nagrodzie pokazał się i zdobył popularność w mediach społecznościowych oraz – sądzę – nagroda może ulec podwyższeniu, ponieważ majątki rosyjskich oligarchów ulegają zdecydowanemu obniżeniu, pikowaniu w stylu rubla. Jednemu tłustemu Ruskowi związanemu z Putinem zaaresztowali jacht wart 600 mln dol. Inny Ruski, też oligarcha putinowski, panicznie chce sprzedać klub piłkarski w Londynie i swoje nieruchomości też w Londynie. Pisząc te słowa, nie wiem, czy mu się uda, gdyż mogą mu wszystko Angole w każdej chwili zabrać, bo majątek zgromadził dzięki łaskawości zbrodniarza Putina. Nikomu nie można życzyć źle, ale czasem trzeba. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Trzeci Rzym a 10 plag

Małgośka, mówią mi, wojna wydobywa z ludzi to, co w nich najlepsze, i to, co najgorsze. Owszem, testuje każdego, ile ma w sobie odwagi, a ile zwierzęcego instynktu przetrwania. Ukraińcy przechodzą ten test drastycznie i heroicznie zarazem. Nas dotyczą na razie zaledwie wstrząsy wtórne inwazji, za to zdzierają nam maski i odsłaniają prawdziwe oblicze: na ile jest ono szlachetne, a na ile szpetne – to się jeszcze okaże.

Skończyło się życie w strefie komfortu, zacznie nas otaczać coraz więcej cierpienia, na które przyjdzie nam reagować. Jeden szaleniec swoim kaprysem przygotował każdemu z nas nowy rozdział życia. W moim przypadku zakończył też etap katorżniczej i syzyfowej pracy, choć wcale mnie to nie cieszy. Tyle lat próbowałam bezskutecznie przekonać znajomych Hiszpanów i Francuzów, że NIE istnieje Rosja, którą się zachwycają. Tyle lat przekonywałam bez skutku, aby przestali mówić o wydumanym Trzecim Rzymie, który prędzej odnaleźć można w Wąchocku niż w Moskwie. I nagle deus ex machina – pojawił się ich „katechon” z maczugą nuklearną w łapie, aż wszyscy zamarli ze strachu. I to nawet w hiszpańskim Kadyksie, gdzie NATO ma największe w Europie bazy US Navy.

Gdy trzy lata temu wydrukowano w jednym z największych dzienników hiszpańskich moją polemikę z ich słynnym pisarzem i wielbicielem Putina, przylgnęła do mnie w pewnych kręgach metka „polskiej rusofobki”. Teraz świat boleśnie zrozumiał, że nie istniała nigdy polska rusofobia, ale po prostu pamięć i doświadczenie, które uczyniły nas roztropniejszymi i przewidującymi. Niestety, Zachód wciąż widzi w nas „Irokezów Europy” i prędzej przejdzie na islam, niż przyzna nam rację.

27 grudnia 2021 r. pewien francuski dziennikarz i ekspert od Rosji, podśmiewając się z moich intuicji, zaproponował mi publicznie (tzn. na Facebooku) zakład o skrzynkę francuskiego szampana, że wojny nie będzie. Przyjęłam zakład, bo już wtedy pilnie słuchałam najtęższych polskich ekspertów, ale zaznaczyłam, że z mojej strony może liczyć tylko na skrzynkę Igristoje. Nigdy nie byłam tak przygnębiona jak w dniu, w którym wygrałam skrzynkę prawdziwego szampana. Nigdy nie byłam tak rozgoryczona jak w dniu, w którym zmaterializowały się nasze ostrzeżenia o odradzaniu się imperialnej Rosji. Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie dzień, w którym będę podziwiać Ukrainę, a gardzić Zachodem. Czy pozwoli wykrwawić się Ukrainie? Pisząc te słowa, jeszcze nie wiem, ale wy, czytając, już wiecie. I czy… aby na pewno wkraczamy w Wielki Post czy może już od razu w nasz Wielki Piątek? ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kompromitacja

Cechą poważnego polityka, nie mówiąc już o „mężu stanu", jest zdolność przewidywania. Czy trudno było przewidzieć, do czego zmierzał krok po kroku prezydent Rosji Putin? Czym w tym czasie zajmowano się głównie na Zachodzie?

Tematem numer jeden były w ostatnich dwóch dekadach globalne ocieplenie i środki zapobiegające średniemu wzrostowi temperatury. Można to traktować jako poważny temat w Europie, gdyby drastycznemu ograniczaniu emisji CO_2 przez kraje Unii Europejskiej towarzyszyły podobne kroki w krajach, które emitowały tego gazu najwięcej, a więc na przykład w Chinach. Tymczasem polityka klimatyczna Unii oznaczała po prostu przesuwanie produkcji do Chin. Szczyt ekologizmu osiągnięto wraz z projektem „Fit for 55", który będzie wprost zabójczy dla niektórych gospodarek unijnych. Innym problemem Europy Zachodniej jest starzenie się społeczeństw. Lekarstwo na to znaleziono nie w polityce prorodzinnej, ale w sprowadzaniu imigrantów muzułmańskich i to w sposób zupełnie szaleńczy.

Kiedy w krajach zachodniej Europy ograniczano wydatki na zbrojenia, Rosja zbroiła się na potęgę. Kto tego nie zauważał? Prezydent USA Barack Obama zrealizował swój „reset" w stosunkach z Rosją i obiecywał prezydentowi Miedwiediewowi, że w drugiej kadencji pójdzie dalej. Na szczęście się cofnął. Prezydent Biden wręcz zachęcił Putina do większej asertywności podczas rozmów strategicznych, godząc się na Nord Stream 2 czy chaotycznie wycofując się z Afganistanu. Kanclerz Niemiec Angela Merkel brnęła w ślepy zaułek polityki imigracyjnej i uzależniała Niemcy od rosyjskiego gazu, beztrosko wspierając oba Nordstreamy. W tym czasie były kanclerz Gerhard Schröder pobierał sowite wynagrodzenia z Gazpromu. Premier Włoch Silvio Berlusconi radośnie pląsał w rosyjskim towarzystwie. Prezydent Francji Emmanuel Macron firmował wszystkie szaleństwa polityki europejskiej. Bardzo wiele czasu zajmowała elitom europejskim walka o specyficzną „edukację seksualną" dzieci, walka z dyskryminacją homoseksualistów, transwestytów i na nowo wymyślanych mniejszości. W Stanach Zjednoczonych szczególnie ważna była „wojna o sedes", czyli zmagania o prawa do korzystania przez mężczyzn z damskich toalet. Wyjątkowe miejsce w unijnej agendzie zajmowała i zajmuje walka o „praworządność" w Polsce i na Węgrzech. Trudno wręcz zrozumieć zajadłość Brukseli w obsesyjnym powracaniu do spraw, które nie leżą w kompetencjach organów Unii Europejskiej. Jeśli mamy serio traktować jedność europejską w obliczu agresji rosyjskiej, to niech unijne elity odczepią się w końcu od Polski i Węgier.

Sygnałów były tysiące. Wszystkie zlekceważono. Nie zauważono rosyjskiej polityki utrzymywania zamrożonych konfliktów w Abchazji, Osetii czy Naddniestrzu ani inwazji Gruzji w 2008 r., cyberataków przeciw Estonii, katastrofy smoleńskiej, zajęcia Krymu oraz Doniecka i Ługańska

Czy można się dziwić, że zaabsorbowane tak ważnymi tematami jak „powszechne prawo do aborcji" zachodnie elity nie zauważały, co się dzieje w Rosji? Sygnałów były tysiące. Wszystkie zlekceważono. Nie zauważono rosyjskiej polityki utrzymywania zamrożonych konfliktów w Abchazji, Osetii czy Naddniestrzu ani inwazji Gruzji w 2008 r., cyberataków przeciw Estonii, katastrofy smoleńskiej, zajęcia Krymu i Doniecka i Ługańska, bo w 2014 r. ważna była olimpiada w Soczi. Nieważny był skandal dopingowy z udziałem rosyjskich organów państwowych. Wszystko brano za dobrą monetę w trosce o business as usual. Nie zauważano śmierci Anny Politkowskiej, otrucia Aleksandra Litwinienki, zabójstwa Borysa Niemcowa, zestrzelenia samolotu holenderskiego. Wszystkiego było mało. Prezydent Joe Biden też zaczął swą kadencję od kolejnego resetu. Czy tak postępują poważni politycy?

W tym kontekście reakcje rządu Donalda Tuska na katastrofę smoleńską, jego „błąd krymski", „hołd berliński" i odprawa posłów polskich z ministrem Siergiejem Ławrowem, Rok Rosji 2014 i inne kroki poprzedniej koalicji rządzącej w Polsce trudno uznać za kompromitację poważnych polityków. Były to raczej żałosne potknięcia politycznych statystów, niewiele różniące się od występów pani Jachiry lub pana Sterczewskiego. Zresztą nikt z nich nie aspirował nawet do poważnych ról. Nie oczekujmy więc, że uderzą się oni dziś w piersi za głupoty, które wyprawiali. Niech tylko już przestaną mówić. Sytuacja jest zbyt poważna.

O naszej opozycji nie ma więc co wiele mówić, ale pozostaje pytanie: Czy nowej determinacji głównych aktorów Zachodu wystarczy, by odwrócić bieg zdarzeń na Ukrainie? W momencie, gdy to piszę, trudno orzec, choć nie traćmy nadziei. ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

LIKWIDACJA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Właśnie likwidują wiele rzeczy, a narody tego nie zauważą, bo ich uwagę skupia Ukraina. Reset pod osłoną wojny.

COVID zniknął tak nagle, jakby został odwołany dekretem dyktatora. Reset.

Zniknął tak nagle, że najbliżsi współpracownicy Bidena się nie zorientowali. Na fotografii z narady wojennej w sprawie Ukrainy wszyscy siedzą w maskach. Pomimo że zaszczepieni po zęby, po trzy razy i badani dokładnie przed każdym wejściem na spotkanie w Białym Domu, to jednak siedzieli w maskach. Trzy dni później w sali Kongresu maski już nie są wymagane. Biden czyta raport o stanie państwa. Wniesiono dodatkowe krzesła, zaproszono gości. Ci sami ludzie kilka dni wcześniej bali się zarazy, ale po ataku na Kijów COVID uległ likwidacji. Reset.

Podobnie w polskich szpitalach, gdzie z dnia na dzień zlikwidowano tysiące łóżek dla chorych na COVID, a w to miejsce pojawiły się łóżka dla Ukraińców. Śmiertelne zagrożenie pandemią znika z dnia na dzień.

***

W niektórych miejscach likwidacja przebiega trochę wolniej. Właśnie lecę do Polski i nadal muszę okazać kwity, testy, ale setki tysięcy imigrantów z Ukrainy już nie muszą. Podobne rozwiązanie stosuje Biden na południowej granicy USA. Gdy przekraczasz granicę samolotem, podlegasz zamordyzmowi, ale gdy idziesz piechotą przez rzekę – zamordyzm znika. Jedni są uchodźcami i są „lepsi", a drudzy są obywatelami własnego kraju i są „gorsi". Polacy na własnej granicy mają gorzej od Ukraińców. Polscy bezdomni też są „gorsi", bo nie dla wszystkich jest miejsce w noclegowniach, a jednocześnie „dla każdego uciekiniera z Ukrainy znajdziemy dach nad głową i darmowy posiłek" – mówi minister.

***

Sprawa kanadyjskiego zamordysty Trudeau, który wciąż prześladuje przeciwników żelazną ręką, też została zlikwidowana i zapomniana z okazji wojny na Ukrainie. Trudeau skonfiskował ludziom pieniądze, ciężarówki, benzynę, zapasy żywności, zamyka biznesy, a w miejscowościach na prowincji – tam, gdzie go nie lubią – nagle przestają działać banki i... nie wypłacisz gotówki, nawet jeżeli masz oszczędności na rachunku.

W tym czasie w Polsce władze zapewniają, że u nas gotówki nie zabraknie. Moja Mama stała w kolejce pod bankiem w środku Warszawy. Bankomat pusty, a w kasie przy okienku limit i nawet gdybyś chciał zamówić z wyprzedzeniem wypłatę powyżej limitu, to „nie wolno".

Likwidacja gotówki to także część resetu. Kilka lat temu to była teoria spiskowa, teraz już się nie kryją i mówią oficjalnie, że w związku z takimi sytuacjami, jakie mamy teraz, trzeba przejść na płatności wyłącznie elektroniczne i wtedy bankomaty niepotrzebne, banknoty niepotrzebne – wszyscy będziemy mieli kredyty na kartach.

A do pary z pieniądzem czysto elektronicznym źli ludzie od resetu proponują płacę gwarantowaną. Płaca minimalna już jest, a teraz będzie jeszcze pensja gwarantowana, którą władza wypłaci każdemu niezależnie od tego, czy ten ktoś pracuje czy nie pracuje. To oficjalne stanowisko i program wyborczy lewego skrzydła demokratów w USA. Likwidujemy gotówkę, rząd ci przydziela pewną pulę kredytów na zakupy, a przy okazji zaczyna kontrolować WSZYSTKIE transakcje. Nie zostanie ani jeden skrawek wolnego ryku, chyba że obywatele przejdą na handel wymienny.

***

Z okazji wojny likwiduje się też trochę pustego pieniądza na giełdach. Reset. Bogatym nic nie będzie, ale stracą drobni inwestorzy, bo oni się w panice wyprzedają, czyli część ich kapitału bezpowrotnie znika, gdy sprzedają akcje poniżej ceny, za którą kupowali.

Giełdy papierów wartościowych zatrzymały obroty akcjami wybranych firm rosyjskich – sankcje. Czy to zaszkodzi Putinowi? Nie. Czy to zaszkodzi tym ruskim firmom? Też nie, bo one nadal będą istnieć, nadal będą produkować to, co produkowały. Po prostu przez czas jakiś nie da się kupić akcji tych firm na giełdzie. Nie da się kupić, czyli nie da się sprzedać. Jeżeli jesteś w posiadaniu tych akcji, to nie możesz się ich teraz pozbyć. Zablokowano ci twój majątek w papierach ruskiej spółki i nie zrobił tego Putin, lecz giełda nowojorska.

I to jest jakaś grubsza ustawka, bo na razie z powodu wojny akcje ogólnie spadają. A te ruskie zablokowane sankcjami nie spadają, bo gdy się nie odbywa handel, cena stoi w miejscu. Czyli sankcje zabezpieczają akcje ruskich spółek przed giełdowymi spadkami.

W dodatku Chiny już wyraźnie powiedziały, że do żadnych sankcji się nie przyłączą, bo wojna na Ukrainie to wewnętrzne sprawy Rosji. A przecież w Chinach też jest giełda i też są banki, czyli to, czym nie chcą handlować w Nowym Jorku, da się przenieść do Chin. Reset.

***

Z okazji wojny likwiduje się też w UE wybrane media. Komisja Europejska kazała je pozamykać, „aby rosyjskie firmy nie mogły szerzyć swojej propagandy i dezinformacji". Ten ruch jest kompletnie niepotrzebny, bo ludzie i tak wiedzą, że nie ma co słuchać ruskiej propagandy, ale tu nie chodzi o ludzi, lecz o arbitralną likwidację pewnych podmiotów gospodarczych i zaprowadzenie cenzury. Komisja Europejska zrobiła to teraz pod pretekstem wojennym i od tej pory, skoro zrobiła raz, będzie mogła to samo robić z każdej innej okazji, każdemu innemu podmiotowi, który uzna za źródło „niebezpiecznej propagandy i dezinformacji".

***

Na świecie jest tylko kilku wielkich graczy i każdy z nich odnosi korzyści z wojny na Ukrainie. Putin – wiadomo – skoro tę wojnę wywołał, to widzi jakieś swoje korzyści. Bidenowi wojna bardzo na rękę, bo odwraca uwagę od kłopotów wewnętrznych USA, można pomachać szabelką i słupki rosną, można usprawiedliwić wzrost cen wojną, no i lobby zbrojeniowe zadowolone, a ono finansuje wybory. Chiny też się cieszą, bo im większe zamieszanie u konkurentów, tym lepiej dla Chin i za chwilę będzie można zająć Tajwan, gdy USA są zaangażowane po szyję w Europie.

Reset był po pierwszej wojnie światowej, był po drugiej i odbywa się teraz. Podałem tylko kilka przykładów. Co jeszcze likwidują pod osłoną tej wygodnej dla nich wojny? ©℗

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK
„CZARNE BATALIONY 2.0"
„WIDZENIE ENEASZA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~491 ZŁ~~

215,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 276 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7c5b88ceb9

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl 7c5b88ceb9